

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/607**

**1998**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**M. WILK: ZAPISKI SOŁOWIECKIE (VIII)**

**G. POMIAN: ŁÓDŹ – MIASTO NIEZNANE**

**A. MICIŃSKA:**

**...Z WIELKĄ WALIZKĄ ROZPACZY**

**L. UNGER: IMPERIALISTA BEZ KOMPLEKSÓW**

## SPIS RZECZY

Mariusz Wilk:	<i>Zapiski solowieckie (VIII)</i> . . . . .	3
Grażyna Pomian:	<i>Łódź – miasto nieznane</i> . . . . .	15
Anna Micińska:	<i>...Z wielką walizką rozpoczą</i> . . . . .	24
Izaak Babel:	<i>Dziwięciu ich było</i> . . . . .	42
Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Okruch opłatka</i> . . . . .	46

### WIERSZE

Carlos Drummond de Andrade:	<i>Złudzenie emigranta</i> . . . . .	50
Marta Jedliczko:	<i>...My nie kochamy mężczyzn. – ...Ładnie nam w poezji</i> . . . . .	51
Jarosław Klejnocki:	<i>Epigramat pokorny</i> . . . . .	53
Mira Kuś:	<i>Prawda</i> . . . . .	53
Joanna Manc:	<i>...Czasem gdy pada pytanie. – ...Przed spotkaniem</i> . . . . .	54
Aldona Pieńczewska:	<i>Czas czy zegar</i> . . . . .	55
Artur Szlosarek:	<i>Kołąda – Wyciszenie</i> . . . . .	56

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Imperialista bez kompleksów</i> . . . . .	58
Stefan Abner:	<i>Trudna droga do Rygi</i> . . . . .	75

### KRAJ

Smecz:	<i>Z ukosa</i> . . . . .	87
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> . . . . .	100

### SPRAWY I TROSKI

–	<i>Polskie zabiegi o wejście do UE</i> . . . . .	106
---	--	-----

### SĄSIEDZI

Mariusz Sielski:	<i>Notatki rosyjskie</i> . . . . .	108
Bohdan Osadcuk:	<i>Wewnętrzne konflikty ukraińskie</i> . . . . .	118
L. Sirenko:	<i>Katastrofa czarnobylska – 10 lat później</i> . . . . .	124

### NOTATKI REDAKTORA

127

### CI, CO ODESZLI

Basil Kerski:	<i>Gabriel Laub – uczeń Leca</i> . . . . .	129
---------------	--	-----

### KRONIKA KULTURALNA

–	<i>Bogdan Czaykowski i Adam Czer- niawski rozmawiają</i> . . . . .	131
Jerzy Timoszewicz:	<i>Filosofów – Czapski – Stempowski</i> . . . . .	139
–	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i> . . . . .	150

### KSIAŻKI

Andrzej Pasternak:	<i>Polskie patriotyzmy</i> . . . . .	151
–	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i> . . . . .	153
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i> . . . . .	155
A. Albrecht. J. Turowicz:	<i>Listy do Redakcji</i> . . . . .	158
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> . . . . .	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień/Avril 1998

INSTYTUT  LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Brata śp. Tadeusza Ungara w 4-tą rocznicę Jego śmierci – siostra Jadwiga (Irvington, NJ, USA) – dol. 500,00 .....	F. 3.000,00
Dla uczczenia pamięci Przyjaciół: Romana Palestra, Karola Wagnera-Pieńkowskiego i Feliksa Konarskiego REF-REN-a – Weronika i Jacek Machniewiczowie, Paryż .....	F. 300,00
Mieczysław Kruszewski, Buenos Aires – dol. 40,00 .....	F. 240,00
Juliusz Łukasiewicz, Ottawa – zamiast kwiatów na grób Adeli Żeleńskiej, żony Władysława, dol. 100,00 .....	F. 600,00
Pamięci mojej Matki, Ameli Gordziałkowskiej i mego Męża Henryka – Hanka Weynerowska, San Francisco, CA, dol. 200,00 .....	F. 1.200,00
Lucja Zaręba, Westlake Village, CA, dol. 100,00 .....	F. 600,00

DZIĘKUJEMY

## DO PRENUMERATORÓW «KULTURY»

Mniej więcej od połowy 1997 r. wielu naszych prenumeratorów z USA, Kanady i innych krajów Ameryki, Afryki i Azji skarży się na ogromne opóźnienia w dostarczaniu *Kultury*. Ostatnio reklamuje Szwecja, że dostaje nasze pismo po 40 dniach! Jesteśmy tym naprawdę przerażeni – nasze reklamacje nie odnoszą żadnego rezultatu. To wszystko zaczęło się od chwili, kiedy zmuszono nas do naklejania na koperty różnych nalepek, bez nich nie przyjmują przesyłek. Podobno jest to polecenie Unii Europejskiej, która chce ujednoczyć sprawy pocztowe.

Od lat dopłata za wysyłkę *Kultury* lotniczo wynosiła od 8 do 10 dol. US rocznie. Obecnie to skasowano – bez uprzedzenia – kazano jedynie naklejać nalepkę SAL, co oznacza, że przesyłka odejdzie lotniczo jeżeli będzie miejsce w samolocie, jeśli nie, wyślą ją pocztą zwykłą! O tym dowiedzieliśmy się niedawno. Poczta na nasze zapytanie nie odpowiada, podaje jedynie, że można wysyłać pismo lotniczo, płacąc wg taryfy na listy, co w danym wypadku kosztowałoby rocznie ok. 300 FF, tj. około dol. US 50,00 (wysyłka do Stanów Zjednoczonych). W takim wypadku nalepiałoby się „Prioritaire”, ale kto może tyle zapłacić?

Jesteśmy tu całkiem bezsilni. Możemy jedynie prosić naszych Czytelników o cierpliwość, to się w końcu musi jakoś usprawnić. Obecnie możemy tylko wspominać dawne dobre czasy, kiedy nie było jeszcze internetu, komputerów, faxów, a nawet ZIP Codów, ale za to *Kultura* wysyłana pocztą zwykłą była w Ameryce po dwóch tygodniach, a w Europie po dwóch dniach. To jednak było już tak dawno, że to chyba nieprawda.

REDAKCJA

## Zapiski sołowieckie (VIII)

„Pan mnie wini za moje ruskie okulary, zapominając o sardyńskich szklach na swoim nosie. Cóż, pragnę zauważyć, że rozprawiam o Petersburgu wedle petersburskich reguł i moje rozważania w pełni odpowiadają tutejszej rzeczywistości. Pan mi dowodzi, że dla Petersburga jest odpowiednie to, co obowiązuje w Sardynii. Myślę, że to nie tylko narusza prawa optyki, ale także zasady logiki”.

Joseph de Maistre

1. W. Bukowski porównuje sytuację w dzisiejszej Rosji do *poszłój* (wulgarnej) tragikomedii, gdzie byli partyjni bossowie średniej ręki i generałowie KGB grają rolę głównych demokratów i zbawców kraju od komunizmu. Na *polit*-scenę wylazło wszystko to, co najbardziej przegniłe i spodłate siedziało w szczelinach komunistycznego baraku i przetrwało dzięki zupełnej atrofii sumienia. Ci, których na błatnym żargonie zwą „szakalami” – dopóki w celi są prawdziwe wory, ich nie widać i nie słycać, skrytych pod narami. Dopiero gdy worów posyłają na etap, „szakale” wypęzają i zaczynają rządzić, i swoje porządki zaprowadzają. Lecz wystarczy, by w celi znowu się pojawił prawdziwy wor, a tych jakby wiatrem zmiotło – z powrotem do nary. Patrząc na tę „szakalą demokrację” – dodaje autor „Moskiewskiego procesu” – mimo woli wspominasz prorocze słowa Wysockiego:

*Ja żywu. No tiepier' okružajut mienia  
Zwieri, wolcz'ich nie znawszije klicziej.*

*Eto psy – otdalionnaja nasza rodnia,  
My ich ran'sze szcitali dobycziej.*

## 2.

Tradycja *potiomkinskich dieriewien'* w Rosji nie umarła, bynajmniej. Na odwrót, obecni faworyci Jego Wysokości nie muszą nawet fałszywych fasad stawiać, wystarczą *mass-media*, by całą Rosję w stylu *potiomkinskim* zbudować. Ot, weźmy, dla przykładu, sposób, w jakim rząd wypłacił budżetówce zaległe zarobki. Jelcyn rzekł: do Nowego Roku wszystkie długi mają być uiszczone i basta! Zaraz po Sylwestrze obaj faworyci – najpierw Niemców, potem Czubajs – zameldowali o wykonaniu zadania: rząd długi uiszczył, co do rubla. Jelcyn się zbulwersował: jak to uiszczył, *panimajesz*, kiedy słuchy niosą, że ludzie nie wszędzie pieniądze dostali. Faworyci na to: co prawda, to prawda, tu drogi śniegiem zaniosło, ówdzie gubernator nawalił (w Rosji mamy teraz samorząd terytorialny i centrum za regiony nie może odpowiadać), ale to wyjątki, a w ogóle uiszczono. Prasa i TV, na wypródkę, to potwierdza. Tylko niekiedy, raz na jednym kanale, raz na drugim, sączą półgębkiem, że gdzieś długi zostały. Dla przykładu: wśród pięciu regionów wymieniają Chakasję, nazajutrz Chakasji już nie ma, ale jest Buriatia, której wczoraj nie było, a dwa dni później jest i Chakasja, i Buriatia, za to Czity brak, i tak w kółko...

Przyjrzyjmy się zatem rzeczywistości w rzeczy samej, a nie jej odbiciu w mediach. I tak na Sołowkach nauczyciele swoje dostali, wprawdzie nie w styczniu, a w lutym, lecz jednak. Przy tym powiedziano, żeby oszczędzali, bo nie wiadomo, kiedy znowu wypłatę zobaczą. Służbie zdrowia i muzealnikom jeszcze za grudzień nie wydali, ale obiecują, że wkrótce dadzą. (Piszę o gołych pensjach, o żadnych dodatkach, w tym na dzieci, mowy nie ma, choć to zawsze były ważne pozycje w rodzinnym budżecie na Północy). Za to milicji płacą skrzętnie, i regularnie. No i, oczywista, czynownikom z Administracji. Ba, tym ostatnim nawet premię dali – sto milionów do podziału. Wyszedł skandal, bo komunalniczki się dowiedzieli i krzyk podnieśli. Komunalniczki nie widzieli zapłaty od maja zaprzeszłego roku. Problem w tym, że państwo na nich położyło lachę (jak na górników,

energetyków, etc.), twierdząc, że mają sami na siebie zarabiać. Lecz jak tu na siebie zarabiać, kiedy inni im nie płacą za pracę? Np. szkoła wisi za usługi komunalne siedemset milionów i zamiast oddać długi (nawet gdyby chciała), wpiersię musi rozliczyć ze swoimi pracownikami, aby wypełnić obietnice rządu. Ostatnio rzucono propozycję, by część pieniędzy, przeznaczonych dla budżetówki, oddać komunalniczkom, ale wszyscy byli przeciw – i służba zdrowia, i nauczyciele, i muzealnicy. A najgłośniej gardłowali z Administracji. Ludzie teraz szakalem patrzą, jeden na drugiego. Warto dodać, iż Sołowki są przy tym szczególnie uprzywilejowane, bo UNESCO je wzięło pod ochronę. Względ na turystów, zwłaszcza cudzoziemskich, i chęć podtrzymania dobrych układów z Patriarchą, nie pozwalają Moskwie o Wyspach zapomnieć i od czasu do czasu jakiś ochłap stamtąd spada. A inne regiony, nie tak prestiżowe? Dokąd samoloty przestały latać, poczta przestała dochodzić, produktów nie dostarczają... Gdzie brak opału, wokół tundra, brak kontaktu, i prądu... Skąd nie dochodzi już żadna skarga, żaden głos...

## 3.

Dawniej na wzgórzu przy Zaoziernoj był cmentarz klasztorny i stała cerkiew Onufrijewska. Później, za czasów SŁON-a, masowo rozstrzeliwali tam zeka i grzebali ich w zbiorowych mogiłach, wrzucając świeże trupy między stare truchła. W latach 30-tych cerkiew zburzyli i rozpoczęli budowę łagiernego szpitala. Fundament stanął na kościach. Obok nadal rozstrzeliwali i grzebali więźniów. Budowę szpitala zakończyli w 1939 r. – kamienny gmach z arkadą i kolumnami, ni to dworek, ni urząd. Potem zeka z Wysp wywieźli, a szpital przejęła armia. Najstarsi Sołowczanie wspominają wojskowych z nostalgią: znakomici lekarze, fachowa obsługa, darmowe leki. W 1953 r., po śmierci Stalina, szpital zmodernizowano, a przy okazji dobyto kupę ludzkich kości. Potem jeszcze nieraz, przy byle wykopkach, ludzkie szczątki wyłaziły na wierzch. Pod koniec lat 80-tych, w ramach *pieriestrojki*, wojsko opuściło Wyspy. Szpital przejęła Administracja. Brakowało lekarzy, gmach wymagał remontu, pieniędzy nie było, wysiadł rentgen, zwolniono laborantkę... Dziś ani dentysty, ani chirurga, ani położnej, ba, nawet

siostry z prawdziwego zdarzenia nie uświadczysz. Tylko *glawwraz* się ostał, Lina Cz. Jedyne, co potrafi, to muzyka z zapału wyciągnąć i do kroplówki podłączyć. Budynek się sypie, ściany gniją, rury ciekną, a na kojках dogorywają sołowieckie staruchy, którymi w domu nie ma się kto zająć. Za to jest światło i ciepło, choć szpital tonie w długach, lecz prądu wyłączyć nie można, bo przecież staruchy zamrzną. (Innych dłużników już dawno odcięli – i Muzeum, i Dom Kultury, i Straż Pożarną i nawet Administrację.) W tej sytuacji Głowa wydał *ukaz* o przeniesieniu siedziby Administracji do... szpitala. Czynownicy zajęli cały parter: dział socjalny urzęduje w gabinecie stomatologicznym, księgowość w izbie przyjęć, sekretariat w porodówce, a sam Głowa zasiadł w rentgenie. Miejscowe staruchy, jak dawniej, umierają na piętrze, a czynownicy się przy nich grzeją...

4. Mascha P., córka niemieckiego dziennikarza, który jeszcze przed wojną pracował w ZSSR, potem odsiedział parę lat w łagrze, gdzie poznał i zaprzyjaźnił się m.in. z Lwem Kopieliewem, po śmierci Stalina wrócił do Niemiec, nie odnalazł tam siebie i ponownie przyjechał do Moskwy, jako korespondent *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, otóż jego córka, Mascha, powtórzyła mi kiedyś słowa ojca, że większość Europejczyków robi zasadniczy błąd, utożsamiając Rosjan ze swoim światem. Jeśli Europejczyk przybywa do Pekinu i widzi skośne oczy, żółte lica, wschodnią architekturę, kimona i riksze, to od razu pojmuje, że znalazł się w innym kręgu kulturowym – w innej tradycji. Natomiast w Moskwie Europejczyk widzi białe twarze, odzież podobną do tej, jaką noszą w Berlinie, czy Paryżu, sklepy i auta nie odróżniające się od rodzimych, i sądząc, iż w dalszym ciągu jest w Europie, oczekuje od Rosjan europejskich standardów zachowań, poszanowania tych samych wartości, etc.

Dzisiaj, kiedy nieco popuścił reżym wschodniego samodziarzwawia, wszystkim się zdaje, że droga Rosji do Europy, rynku i demokracji stoi otworem. I że Rosjanie o niczym innym nie marzą, jak tylko do Zachodu się przyłączyć. Stąd zagraniczne interwencje w restrukturalizację rosyjskiej gospodarki – inwestycje i kredyty, stąd rozmaite fundacje na rzecz

liberalnych reform w Rosji – granty i stypendia, stąd wreszcie nie kończące się dyskusje na niezliczonych forum – panele i sympozja. (Przy tym owe sympozja z reguły odbywają się w szwajcarskich kurortach, bądź na amerykańskich uczelniach, nigdy w Norilsku, Kuzbasie, czy Workucie.) I stąd na koniec – konsternacja i strach. Że zmiany idą nie w tę stronę, że mafia umacnia wpływy, że byli demokraci stracili twarz, a byli generałowie rwą się do władzy, i że korupcja, i że bandytyzm, i czynowników coraz więcej. Ludziom z Zachodu nie mieści się w głowie, że ruski muzyk ma dosyć *dier'mokratii* (od słowa *dier'mo* – gówno) i tęskni za silną ręką (czego dowodem są rezultaty wyborów w rosyjskich prowincjach), że słowo *prichwatizacija* (od *prichwatit'* – ukraść) najlepiej oddaje sens rosyjskich reform, a słowo *kormuszku* (koryto) – istotę życia rosyjskiego czynownika od niepamiętnych czasów. Człowiek z Zachodu nie może także pojąć, że ruski muzyk woli pójść na rybakę z pół litrem, niż robić karierę, lub *zabit' kozła* (pograć w domino), niż zbijać majątek, i że ruska dusza jest szeroka jak rosyjskie pole – *wszego nie pierie-paszesz'*, a ruski los jest zmienny jak tutejsze dziewczki – *wszech nie pierietopczesz'*. I dopiero kiedy trochę tu pożyjesz, jak ojciec Maschy, to być może zrozumiesz, że Europejczyk w Rosji to *inostraniec*, czyli przybysz z innej strony świata – nie tylko z cudzego kraju.

5. Wspomniałem o Maschy, czytając „Rosję w pierwszej połowie XVI w.: spojrzenie z Europy” – zbiór renesansowych traktatów o Moskiewskiej Rusi: „De Moscovia” Albertusa Campensisa, „Moscovitarum religio” Ioannesa Fabri, „Libellus de lagatione Basillii magni Principis moscoviae ad Clementem VII Pontificem Maximum” Paulusa Iovusa i in. Rzecz wydana pieczętowanie, w dwóch językach, każdy z traktatów opatrzone wstępem o życiu i twórczości autora, szczegółowymi przypisami, ilustracjami starych grawiur, pośród których zamieszczono rycinę jednej z pierwszych map Moscovii – Anthoniusa Wieda z Gdańska. Tom otwiera esej O. Kudriawcewa, redaktora zbioru, a całość zamyka bibliografia przedmiotu.

Pierwsze relacje cudzoziemców o Moscovii (początki

*genre'u*) przypadają na okres narodzin Imperium. Granica Europy na wschodzie przebiegała wtedy wzdłuż Donu, czyli Moskwa leżała w Azji – wedle pojęć i map tamtych czasów. W XVI wieku Europejczycy odkrywają nowy świat – Ruś Moskiewską. Polak Maciej z Miechowa pisał w przedmowie do „Traktatu o dwóch Sarmacjach”: „Południowe kraje i narody aż do Indii zostały odkryte przez króla Portugalii. Niechaj więc i północne kraje, oraz narody żyjące nad Oceanem Północnym, odkryte przez wojska króla polskiego, staną się znane światu”. „Traktat” Miechowity (którego niestety brak w zbiorze) jest – według Kudriawcewa – przykładem tendencyjności Polaków, piszących o Rosji: „pod koniec XVI wieku – w znacznym stopniu pod polskim wpływem – powstaje obraz Rosji barbarzyńskiej, azjatyckiej i wrogiej, zaś stosunek Zachodu do Rosji przybiera charakter religijnego izolacjonizmu i ksenofobii”. Oprócz Miechowity, do roli „odkrywców” nowego świata pretendowali też autorzy traktatów pomieszczonych w zbiorze. Co znamienne, żaden z nich nigdy nie był na Rusi i detale swoich relacji przepisywali – jeden od drugiego. Głównymi informatorami europejskich pisarzy o *Moscovii* byli tłumacze ruskich posłów.

Ow nowy świat, odkrywany za pomocą tłumaczy, niby był podobny do krajów Europy (nie ma nic bardziej zwodnego, niż to pozorne podobieństwo), ale niezupełnie: i skala nie ta, i obrządek religijny nieco inny, i porządek państwowy dziwaczny... Autorzy pierwszych relacji o *Moscovii* nie zawsze dokładnie pojmowali to, co im mówiono, często przykrawali informacje do realiów, znanych sobie i swoim czytelnikom, wyrwali fakty z kontekstu i oceniali je wedle własnych norm, a obce pojęcia wkładali w swój system odniesień – co zrazu przydawało im inny odcień, lub sens. Krótko mówiąc, od początku pisania o Rosji, obok problemu językowego, pojawiła się kwestia przekładu z jednego kodu kulturowego na drugi. Poza tym europejscy pisarze, uwikłani w religijne i polityczne spory epoki, często naciągali opis Moskiewskiej Rusi pod swoje tezy w kłótniach z przeciwnikami, dając w efekcie obraz pożądany, miast prawdziwego. Dla przykładu: rzekoma skłonność ruskiego cara do przejścia na katolicyzm służyła jako argument przeciw reformacji. Można wreszcie znaleźć w XVI-wiecznych traktatach o

*Moscovii* ślady jawnego fantazjowania ruskich informatorów, bądź dla zmylenia przeciwnika (np. w zawyżaniu liczby wojsk cara), bądź dla żartu, czy z niewiedzy, zwłaszcza kiedy rzecz dotyczyła rubieży Imperium, choćby Dalekiej Północy, zamieszkiwanej – wedle europejskich mniemań – przez szczebioczących Pigmejów, Samojedów do pępka kosmatych i ludzi pokrytych rybią łuską. Sądzę, że i dzisiaj wielu Europejczyków wie o Samojedach niewiele więcej...

Zresztą, Europejczycy dziś piszący o Rosji, rzadko wychodzą poza komunały sformułowane wtedy – w pierwszej połowie XVI wieku. Dlatego warto poczytać renesansowe traktaty, by zobaczyć, jak się kształtowały ruskie sztampy w Europie. Na przykład: stereotyp Rosji jako więzienia. Już w 1522 roku Campensis pisał: „cały ten kraj, niezależnie od jego obszerności, jest tak szczelnie zamknięty i strzeżony ze wszystkich stron, iż nie tylko raby, lecz i wolni ludzie nie mogą ani stamtąd wyjść, ani tam wejść, bez carskiej hraboty”. Już wtedy mówiono o przesiedlaniu całych narodów z kaprysu cara, o niezwykłym pijaństwie wśród Ruskich, o ich lenistwie, chytryści i podejrzliwości, a także o lekkich obyczajach ich żon (jakoby każdą można było osiąść za niewielką opłatą), i o brudzie, i o błocie... I wtedy już zauważano, „że żaden inny naród nie cieszy się tak złą sławą, jak Ruscy”. Dlaczego? Bo żaden inny naród nie był tak podobny do Europejczyków, nie będąc nimi. Ani wtedy, ani później, ludzie z Zachodu nie zadawali sobie trudu, by pojąć rosyjską rzeczywistość od środka, tj. spojrzeć na Rosję oczami ruskiego człowieka i tylko potem przełożyć ujrzone na swój język, zachowując odpowiednie proporcje. Niestety, ludzie z Zachodu oglądają Rosję od zewnątrz – z punktu widzenia Europy – i przykrawają to, co byli oglądnięli, na swój ład. Najlepszą ilustracją tej europocentrycznej wizji świata jest mapa Anthoniusa Wieda z 1544 roku, na której strony naszego globu są przesunięte o 90 stopni, tak, że patrzymy na Ruś od zachodu, mając północ po lewej ręce, zaś wschód się rozciąga w górę, a w miejscu bieguna jest... Tartaria.

6. „Imperium” Kapuścińskiego jest ostatnią cudzoziemską relacją o euroazjatyckim mocarstwie, zaś dokładniej – relacją

o jego rozpadzie. Tym samym mamy do czynienia nie tylko z dezintegracją Imperium, ale i z kryzysem *genre'u*, albowiem: „całość nie kończy się wyższą i ostateczną syntezą, lecz przeciwnie – dezintegruje się i rozpada dlatego, że w trakcie pisania książki rozpadowi uległ jej główny przedmiot i temat – wielkie mocarstwo sowieckie”.

Kapuściński penetruje temat i wszertz, i w głąb. Podróżuje i w czasie, i w przestrzeni. To wraca do swojego pierwszego spotkania z Imperium „przy moście łączącym miasteczko Pińsk z Południem świata” w 1939, to się zapuszcza na terazniejszą Kołymę, to w przyszłość wybiega, powtarzając za Tołstojem: „Jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie, co się z nami dzieje!”. Przy tym podkreśla, że te podróże odbywał sam, omijając oficjalne instytucje i trasy, a ich szlak prowadził od Brześcia nad Bugiem do Magadanu nad Pacyfikiem i od Workuty za Kołem Polarnym do Termezu na granicy z Afganistanem. Dodajmy jeszcze: Tbilisi i Baku, Erewań i Górny Karabach, Jakuck, Irkuck i Ufę, i Donieck, i Kijów, i Drohobycz, i Nowogród, i Mińsk, i Pińsk... i tu mi się nasunęła pierwsza wątpliwość: czym był uzasadniony wybór? Dlaczego akurat te (a nie inne?) punkty na mapie Imperium przyciągnęły uwagę Kapuścińskiego?

„Gdyby udało mi się – planował autor ‘Imperium’ – chciałbym przejechać przez cały Związek Radziecki, przez jego 15 republik związkowych...” – niby sprawa się wyjaśnia, ale nie całkiem. Bo planując dalej, wśród najbardziej wysuniętych punktów tej podróży na Północy, Kapuściński wymienia Workutę albo Nową Ziemię. Lecz przecież Workuta i Nowa Ziemia to dwie różne rzeczy. Tu deficytowe kopalnie, resztki łagrów i górnicy bez pracy, tam poligony atomowe, odchody jądrowe i ekologiczna katastrofa. Zaufać przypadkowi przy wyborze drogi, to jakby pisać książkę, rzucając kości, gdzie tematy podsuwa los i wola urzędników (dających pozwolenie na pobyt na Nowej Ziemi) – a nie logika rzeczy. Zamiar ogarnięcia całego Sowietów, od krańca do krańca, kryje w sobie ryzyko niezobaczenia tak naprawdę niczego, zwłaszcza tego, co pośrodku (w *głubinkie*). Choćby post-sowieckiej wsi, której w ogóle brak w „Imperium”. Metoda Kapuścińskiego jest prosta, jak turystyczny wóz: po kilka dni to tu, to tam, i z każdej dziury rozdział-obrazek, niczym slajd

na pamiątkę. Rzecz jasna, świetny pisarz nawet obrazki robi wyśmienite, tylko... po co? By zrobić komiks o Imperium? Próba objechania całego Związku Sowieckiego i zobaczenia, co się dzieje i w Tomsku, i w Omsku, efektywna, acz powierzchowna, siłą rzeczy sprowadza się do uproszczonych diagnoz – skrótów i symboli – w które autor upycha wrażenia, często nie wyklarowane do końca. W „Lapidarium III” Kapuściński notuje: „Żyć tak długo w jakimś kraju, żeby móc powiedzieć: zupełnie go nie znam”. No właśnie! Czym więc, jeśli nie pośpiechem, tłumaczyć tę skłonność do konkludowania w „Imperium”? Ot, ludzie w barze szybko jedzą – zauważa pisarz – to pewnie widmo głodu, zakodowane w pamięci zbiorowej, doszło do głosu... Albo: dlaczego w sklepie brak łyżek i noży? Bo cały surowiec, potrzebny do ich wytworzenia, zużyto na produkcję drutu kolczastego... Wziąłem przykłady pierwsze z brzegu, ich moc. Kapuściński zdaje sobie sprawę z tych uproszczeń, bowiem: „...nie da się uniknąć abstrakcyjnego podejścia. Ogromną skalę dziejących się wydarzeń można przedstawić tylko używając języka i pojęć ogólnych, syntetyzujących, właśnie – abstrakcyjnych, mając świadomość, że raz po raz będzie się wpaadać w pułapkę uproszczeń i łatwo podważalnych twierdzeń”. Lecz, mimo to, skala tematu przerosła możliwości *genre'u*, i zamiast syntezy, rzecz się rozpadła... na detale.

Detale? Siłą dokumentalnej prozy jest szczegół, pod warunkiem, że starannie dobrany, jak soczewka skupia w sobie problem, bądź zjawisko. W przeciwnym razie szczegóły nużą, miast kondensować, rozmazują obraz. Starczy porównać „Pierwsze spotkania z Imperium” (lata 1939-1967), które już osiadły w pamięci autora, niczym osy w bursztynie, z rozdziałem „Z lotu ptaka” (lata 1989-1991), świeżo wyciekłym, doń wszystko się lepi, byle kurz... Tam pył z landrynek miał swoją wymowę, tu pot autora bywa zbędny (np. na lotnisku w Stepanakercie). Albowiem uwaga pisarza rejestruje każdy szczegół, w danej chwili wszystko zdaje się ważne i dopiero po czasie, z dystansu, można odsiać to, co istotne, od chłamu. Dobór detali pokazuje, czy autor panuje nad rzeczywistością, którą wziął by opisywać, czy też owa rzeczywistość narzuca mu swój bezład, w którym rządzi trafa... i wtedy nie pozostaje nic innego, jak się tłumaczyć rozpadem tematu.

(Ba, nawet dobór książek, cytowanych w „Imperium”, sprawia wrażenie przypadkowości, jakby autor przytaczał wszystko, co czytał, podczas pisania: Ingardena i Leonarda, Simone Weil i Bruno Schulza... Czasem źródła świadczą o książce i czerpanie wiedzy historycznej o Rosji u marksisty Ejdelmana, przy pominięciu Karamzina, czy Kluczewskiego, mówi samo za siebie.)

I, na koniec, język: „...staram się pisać krótkimi zdaniami” – czytamy w „Lapidarium III” – „one stwarzają tempo i ruch. Są szybkie i dają prozie jasność. Ale gdy pisałem ‘Imperium’, nagle zdałem sobie sprawę, że w tym wypadku opis wymaga dłuższych zdań. Całkowicie zmienił się styl opisu. Wynikało to z rozlewności tematu, którego nie można ująć krótkimi zdaniami. Styl musi być odpowiedni do przedmiotu. Opis bezmiernie szerokiego, rozległego rosyjskiego krajobrazu wymagał długich zdań”. Zatem porównujemy: „...język rosyjski o frazie szerokiej, rozległej i nieskończonej, jak ziemia rosyjska” – to już z „Imperium” – „żadnej tu kartezjańskiej dyscypliny, żadnej aforystycznej ascezy”. Ejże, a lakonizm Gogola, Achmatowej, Szafłamowa? Ten ostatni pisał, że w rusczyźnie istnieją dwie tradycje, dwa rytmy: fraza Tołstoja, powolna i ciężka, jak odwracanie łopatą skiby, oraz fraza Puszkina, krótka i dzwięczna, jak policzek. Zapominanie o jednej z tych dwóch tradycji rusczyzny sprawia, że i Rosję tylko na poły można pojąć, zgodnie z celną formułą Miłosza, iż to poprzez język rosyjski „który pociąga Polaków i wyzwala ich słowiańską połowę, zdobywają oni intuicję rosyjskości, w nim jest już wszystko czego o Rosji można się nauczyć”.

Są oczywiście w „Imperium” i smaczne opisy, i trafne refleksje (te zwłaszcza, w których autor wykorzystuje doświadczenie Trzeciego Świata i spogląda na Rosję nie z Europy), są wspaniałe portrety i udane grepsy, słowem jest wszystko, co sprawia, iż mamy do czynienia z *le grand reportage* – wszak to Kapuściński. Zresztą, krytycy już dawno oznajmili o kolejnym sukcesie Mistrza. I jeśli pozwoiliem sobie skreślić parę uwag, to raczej pod adresem *genre’u*, niż pióra.

7.

Ostatnimi czasy mnożą się relacje o Rosji – na jedno kopyto: przyjeżdża, kto się nie leni, na parę dni do Moskwy,

poszwenda się tu i tam, okiem rzuci tu i ówdzie, z nieznajomym na ulicy zagada, zajrzy do Chramu Zbawiciela i do Mauzoleum Lenina, po drodze zazwyczaj na jakiś konwentykiel trafi (czyli na *tusowku* po ichniemu), niektórzy jeszcze na Łubiankę się zagapiają, lub na resztki po Dzierżyńskim na placu, coś w rosyjskiej TV zobaczą... po czym piszą, często i gęsto cytując de Custine’a.

W listopadowej *Kulturze* Smecz serwuje „Z ukosa... z Rosji”, choć pobywał zaledwie w... Moskwie. Na lotnisku Szeremietiewo girlandy kurzu, podejrzane typy, kolejki, bród. Na ulicy ponurzy ludzie, pordzewiałe auta, zwały pustych puszek po coca-coli, błoto po kostki, żebracy. W mieszkaniach niechlujstwo. W muzeach pisuary zakryte tekturą, krany ciekną, malarstwo słabe. I wszędzie chamstwo, chamstwo monstrualne, chamstwo wszechogarniające i bezdenne, chamstwo głębinowe i bez formy. Nieraz Smecz przeżywa szok, że „w ramach tego chamstwa, jak w łajnie, czasem nagle błysnie serce, jak na czystej dłoni”. Sercie w łajnie?! Ba: „odległość między sercem a odbytem jest w tym kraju tak mała, że stanowią niemal jedno”. Cóż, można powiedzieć, że *bried* dzisiejszej Rosji zostawił ślad na języku Smecza.

Smecz nie wychodzi poza sztaмпę cudzoziemskich relacji o Rosji: te same banały, te same chwytły (wystarczy skojarzyć rozmyślenia de Custine’a na Kremlu z refleksjami Smecza na łubiańskiej dyskotece...) i klapy na oczach te same. Smecz patrzy na Rosję przez polskie okulary: porównuje wyraz twarzy i biografie (nasze są chudsze), odnajduje powinowactwa w uczuciach, odkrywa, że chamstwo chamstwu nierówne (nasze jest podszyte próbą form) i uświadamia sobie, jak wiele i jak szybko zmienia się w Polsce (na lepsze). Nutę odrazy słychać w tej relacji i ton wyższości, wynikający albo z zarozumiałości, charakterystycznej dla Polaków w Rosji, albo z niewiedzy. Pomijam drobiazgi (że Kobzon Josif, a nie Juri) i rzeczy mało wiarygodne (jak choćby dziesięć dolarów za przekład dwóch książek Gombrowicza, podczas gdy głównowoz na Sołowkach bierze za jedno szambo 120 tysięcy rubli, czyli 20\$), ale już uwagi o słabości rosyjskiego malarstwa w Trietiańskiej Galerii budzą podejrzenia, że Smecz, zajęty oglądaniem pisuarów, po prostu nie zauważył Fiedotowa, Riepina, Lewitana, Wrubla, Chagalla, Kandinskiego...



Podobnie z polityką – zaprzątnięty opowiadaniem anegdot sprzed lat (o telewizyjnym sporze Żyrynowskiego z Niemcowem), nie zauważył ani nowych postaci, ani nowych zjawisk. Doprawdy, nie trzeba jechać do Moskwy, by takie oczywistości o niej wypisywać – od tego są korespondenci. I jeszcze jedno: kwestia gustu. Smecz ubolewa, że w Rosji brakuje klasy, czyli „dobrego smaku”. Naszego publicystę bolą zęby od bogatej secesji hotelu Savoy, drażni go groch z kapustą na koncercie Kobzona i sztuczne strumienie na placu Manieżskim. Jakby zapomniał, że istnieją różne kanony piękna i to, co podoba się w Europie, niekoniecznie musi budzić podziw w Azji, i na odwrót. Innymi słowy, nie należy przekładać ruskiej wiorsty za pomocą polskiego centymetra na angielską miłą. A swoją drogą szkoda, że Smecz nie widział najnowszej kolekcji „Czarno-białe kino” Judaszki, która zrobiła furorę w Paryżu, bijąc najznakomitsze domy mody Europy. I żal, że nie spotkaliśmy się w Moskwie, bo bym pokazał koledze z *Kultury* kilka barów z prawdziwego zdarzenia, kasyno, przy którym Las Vegas się chowa, parę galerii i klubów, gdzie można zobaczyć i posłuchać nowinek z całego świata, i może jeszcze byśmy zajrzeli do moich przyjaciół i ulubionych zakątków, i jednych i drugich przedziwnej urody...

Relację Smecza z Rosji można spuentować słowami K. Dziewanowskiego, który w tym samym numerze *Kultury* pisze: „Główny wniosek jaki trzeba chyba z tego wyciągnąć jest taki, że w Rosji dzieją się rzeczy bardziej skomplikowane – i tajemnicze – niż to się śniło naszym filozofom”.

Mariusz WILK

## Łódź – miasto nieznane

### „PSIEGO POLA” CIĄG DALSZY

Rynek księgarski przepełniony jest wspomnieniami. Swoją przeszłość wpisana w historię ostatniego stulecia opisują przedstawiciele wszystkich warstw i kręgów społecznych. Piszą ci, którzy byli współautorami wydarzeń i ci, którzy byli ich ofiarami. Jedni przypominają nieznane lub zapomniane fakty i starają się odtworzyć niegdysiejszą atmosferę, podczas gdy inni przedstawiają własną wersję wydarzeń, nierzadko dostosowaną do reguł nowego układu politycznego. Dla jednych przeszłość sprowadza się do korowodu kolorowych i zabawnych zdarzeń towarzyskich, dla innych jest wyłącznie procesem historycznym, wypranym z jednostkowych przeżyć. Wspomnienia jednych są chropowate, co nie znaczy, że płytkie i bezwartościowe, innych są natomiast pasjonującą lekturą, niekiedy jednak lekką jak pianka, po której nic nie pozostaje w pamięci.

Na tle tej nawałnicy, niewielka książka Andrzeja Brauna „Psie Pole”<sup>\*</sup> zasługuje na uwagę czytelników. Nie zawiodą się. A wydawałoby się, że temat jest jak najbardziej banalny: kolejny opis dojrzewania syna z inteligentkiej rodziny. We wspomnieniach pojawia się fascynujący dziadek, nieco postrzelona ciotka, są koledzy, szkoła, obowiązkowe i nieobowiązkowe lektury, jednym słowem życie normalnego gimnazjalisty. A jednak opowieść wciąga czytelnika. Otwiera

<sup>\*</sup> Andrzej Braun, „Psie Pole”, Warszawa, Oficyna Wydawnicza „AGAWA”, s. 184.

przed nim świat nieznany: jej głównym bohaterem jest Łódź lat trzydziestych, z jej mieszkanką religijną, narodową i kulturalną. Choćby z tego względu książka Brauna jest wyjątkowa. Od dawna nikt nie pisał w taki sposób o Łodzi: zycliwie lecz bez ławego sentymentalizmu.

Miasto Łódź, jak mówi się powszechnie, nigdy nie było miastem lubianym i interesującym dla polskiej inteligencji, choć przez dziesiątki lat było swoistym miastem kresowym, położonym w samym środku Polski. Nie było lubiane, bo uznano je za brzydkie, mimo fascynujących budynków secesyjnych. Nie było interesujące, bo nie miało legendy powstańczej a przede wszystkim nie miało liczącego się w kraju środowiska kulturalnego, choć właśnie tutaj, w 1931 roku, narodziło się pierwsze polskie muzeum sztuki współczesnej, które po dzień dzisiejszy cieszy się większym uznaniem za granicą niż w kraju. Łódź była i jest zresztą nadal postrzegana jako miasto drobnomieszczańskie, co w kręgach inteligenckich, bez względu na opcje polityczne, jest poczytywane za największą obelgę. Łódź co prawda zna się źle, ale pisze się o niej z pobłażliwością należną mieszkańcom miast nie uznawanych za duchowe stolice kraju.

Niechęć do Łodzi wyraża się w dość powszechnej opinii, że było to miasto żydowskie i nadal takim pozostało. Dziś w Łodzi jest może kilkaset osób uważających się za Żydów, z czego mniej niż setka uczęszcza do Synagogi lecz nie ma to żadnego związku z wieścią gminną. Podtrzymywana jest ona przez kibiców sportowych, którzy zdobią różne miasta Polski, w tym Warszawę napisami „Łódź – miasto żydowskie”, „w Łodzi – same Żydy”; utrwalana jest w szeptanej propagandzie, która handlowe i rzemieślnicze sukcesy Łoździan przypisuje ich żydowskiemu pochodzeniu.

Ale w samej Łodzi znikają ślady obecności Żydów i Niemców. Do 1939 roku, obie grupy były równie liczne co polska. Wszyscy, pospołu stworzyli i rozwijali Łódź. Widowym znakiem niegdysiejszej obecności Żydów i Niemców w Łodzi są kościoły i cmentarze: ewangelicki, dawniej katedra, prawie stale zamknięty; cerkiew co prawda otwarta ale pusta; dawnych, okazałych synagog już nie ma. Ostał się tylko cmentarz żydowski ze wspaniałymi grobowcami i pomnikami, powoli zapadającymi się w ziemię. Do zacierania śladów

„obcych” w niemałej mierze przyczyniły się rządy komunistyczne, dla których Łódź miała być w przeszłości jak teraźniejszości miastem wyłącznie polskim – symbolem rewolucyjnego proletariatu.

Każda z czterech grup narodowościowych przyczyniła się do rozwoju Łodzi i nadania jej niepowtarzalnego charakteru. Wraz z kapitałem żydowskim przybyła do Łodzi biedota, która, uciekając z zapyziałych sztetli, wniosła do nowej zbiorowości smykałkę handlową, umiejętności rzemieślnicze i kult książki. Niemcy przysli nie tylko z kapitałem, choć w początkach Łodzi odgrywał on znaczącą rolę, lecz przede wszystkim z rzeczą bezcenną: wiedzą i umiejętnościami dostosowanymi do epoki przemysłowej. Umieili również narzucić pozostałym grupom rygor fachowości i umiejętności organizacyjne.

Spółeczność łódzka zawdzięcza swoją polskość dwóm całkiem różnym grupom: zdeklasowanej szlachcie – przyszłej klasie średniej – oraz uwłaszczonemu chłopstwu. Pierwsi byli nauczycielami, adwokatami, lekarzami, niekiedy inżynierami oraz urzędnikami państwowymi, lojalnymi wobec caratu. Drudzy startowali z bardzo niskiego progu, toteż mieli do zaferowania wyłącznie swoją pracowitość, posłuszeństwo oraz ambicję. „Ziemia obiecana” mimo swej tendencyjności jest wiarygodnym wizerunkiem Łodzi przełomu stulecia nic więc dziwnego, że Reymont zrosł się z nią na trwałe.

Proletariat polski z czasem uległ rozwarstwieniu i zmienił swoje społeczne oblicze. Największe zmiany zaszły podczas dwudziestolecia Polski niepodległej. Coraz więcej było polskich robotników wykwalifikowanych i techników (kolej, tramwaje, elektrownia, wodociągi, telefony). Coraz liczniejsi byli kupcy, właściciele warsztatów rzemieślniczych i małych fabryczek ostro konkurujących z żydowskim handlem i rzemiosłem. Coraz więcej niegdysiejszych biedaków ziszczali swoje marzenia: stabilny fach, domek z ogródkiem i wykształcone dzieci.

Łódź mieszczała, choć ubogich, bez fachu, bez wykształcenia i bez pracy było ciągle wielu, w czym kryzys odegrał znaczącą rolę. Rozgoryczeni i zbuntowani szukali własnych rozwiązań życiowych: jedni włączali się do ruchu komunistycznego, inni – do nacjonalistycznego. Pierwsi wierzyli, że

po unicestwieniu kapitału i burżuazji zbudują sprawiedliwe społeczeństwo, drudzy byli przekonani, że wystarczy wygnać Żydów, by Polacy osiągnęli dobrobyt. Jedni i drudzy walczyli o wpływy wśród Łódzian; jedni i drudzy je zdobywali.

Cztery grupy narodowościowe, bo na początku byli również Rosjanie, współtworzyły Łódź ale żyły z osobną, wedle własnych tradycji. Przed pierwszą wojną światową było to konsekwencją polityki narodowościowej Rosji, dla której Polacy, bez względu gdzie mieszkali, byli jedną z wielu mniejszości składających się na carskie imperium. Czynnikiem integrującym były małżeństwa mieszane (w przypadku Żydów zawsze połączone z przejściem na katolicyzm) oraz ruchy rewolucyjne, od PPS poczynając.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości zmienia radykalnie sytuację. Państwo określa reguły współżycia i ustala hierarchie odpowiadające polskiemu interesowi narodowemu oraz koncepcji państwa wielonarodowościowego, nawiązującego do ideałów jagiellońskich. Nie wszystkim to odpowiadało: ani członkom poszczególnych grup narodowościowych ani przeciwnikom koncepcji piłsudczykowskiej. Mimo wszystkich rozbieżności rozpoczyna się proces integracyjny, którego główną podporą staje się szkoła, dla wielu uczniów – miejsce pierwszego spotkania z kulturą polską. Lata trzydzieste zahamują integrację. Wpływy endecji na społeczeństwo i aparat państwowy spowodują ustanowienie oficjalnego przeciwnika: Żyda. Tolerancyjna obojętność między grupami narodowymi stopniowo przemienia się w nienawiść. Mnożą się niesnaski, starcia i burdy, w wielu przypadkach podsycane przez zwolenników ideologii faszystowskiej.

I te właśnie lata są głównym wątkiem wspomnień Brauna. Kształtowanie własnej tożsamości i tożsamości narodowej odbywało się w konfrontacji z innymi: Żydami i Niemcami. Dla młodego Andrzeja głównym przeciwnikiem są „Szwaby”, jego rówieśnicy, z którymi skądinąd wiele go łączy. Braun, rocznik 1923, pochodzi z rodziny mieszanej, jakże typowej dla stosunków łódzkich. Matka, zubożała szlachcianka, bez majątku lecz z tradycjami powstańczymi, wyszła za mąż za Niemca, potomka chłopów bawarskich, przybyłych na Mazowsze na przełomie XVIII i XIX wieku. Wrastali w polską ziemię i w jej kulturę. W latach dwudziestych ojciec

Andrzeja był już kierownikiem polskiej szkoły na Bałutach. I ta właśnie dzielnica, konglomerat narodowościowy, staje się dla ich potomka terenem inicjacji w życie społeczne. Dom uczył patriotyzmu i tolerancji, podwórze (ach te łódzkie podwórza, wielkie jak wioski) było miejscem zawierania pierwszych przyjaźni i terenem rozpoznawania przeciwników. Następnie przychodzi gimnazjum, inny świat, jakże odległy od Bałut.

Młody Andrzej wędrując do szkoły na Ewangelicką wkracza do śródmieścia. Spaceruje po Piotrkowskiej, odwiecznym deptaku łódzkich uczniów, oszołomiony wielkomięskością i bogactwem wystaw. Ale głównym wydarzeniem w jego życiu staje się gimnazjum – wkroczenie w świat kultury. Na tej mozolnej drodze mistrzem i przewodnikiem zostaje profesor niemieckiego, wielka osobowość, miłośnik Goethego i Kanta, który nie tylko uczy, ale przede wszystkim rozszerza horyzonty, tworząc z lekcji niemieckiego pomost do świata kultury zachodniej.

Gimnazjum to również koledzy, których wielu wywodziło się z rodzin niemieckich: jedni już wrośnięci w polskość, inni, jak Dedecius, szkolny kolega Brauna, pielęgnujący swoją niemieckość. Gimnazjum powinno uczniów łączyć, tymczasem przyczyniało się do utrwalania podziałów. Polacy skupiali się w harcerstwie. „Każdy porządny Polak... katolik – jak młodego Andrzeja oświecał starszy kolega – powinien przejść przez *skauting*, to najlepsza szkoła” (107). W harcerstwie żyło się Polską i młodzieńczymi przyjaźniami: wycieczki krajoznawcze, biwaki, zdobywanie stopni i zanurzanie się w ojczyściej historii, co nie było złą koncepcją wychowawczą, zważywszy ponad stuletni brak własnej państwowości. Niemcy skupiali się w swoich organizacjach sportowych. Starannie pielęgnowali sprawność fizyczną, własne tradycje i utrzymywali żywy kontakt z Rzeszą. Pojedynczy Żydzi błakali się po gimnazjum samotni, wykluczeni z obu grup. Gdy pod koniec lat trzydziestych Braun wybawi spod żyletek i pałek swojego szkolnego kolegę, zdziwi się niepomniernie, gdy niepozorny Goldstajn zadeklaruje się jako komunista. A jeszcze większą rozterkę spowodują jego argumenty: „Dlaczego nas nienawidzicie? Młodych Żydów pociąga marksizm. A wiesz dlaczego? Bo tylko wśród lewicy czują się ludźmi takimi jak

wszyscy. Nikt cię nie pyta, czy jesteś Żydem, Polakiem, czy Niemcem. Tylko komuniści traktują cię bez uprzedzeń. Każdy chce zachować swoją godność. „Ja nie jestem ‘Żydek’, jestem polski Żyd” (142). Zaskoczony Braun nie wie, co odpowiedzieć. Wedle powszechnej opinii Żydzi byli elementem obcym i wrogim, który zabierał miejsce należne Polakom. Można było ten pogląd odrzucać, ale zawsze w świadomości coś z niego pozostawało.

Podział na dwie, przeciwstawne sobie grupy tj. Polaków i Niemców stawał się w gimnazjum coraz bardziej widoczny. Dawne, niewinne starcia przybierają charakter polityczny. Młodzi Niemcy, zwłaszcza po Olimpiadzie berlińskiej, oszobotomieni propagandą hitlerowską, dumni z przynależności do narodu niemieckiego, stają się butni i agresywni. Przemawiają innym językiem, niepodobnym do języka Goethego. Profesor niemieckiego, mimo swych talentów pedagogicznych jest anachroniczny, bo nie przystosowany do nowych czasów.

Polacy również pogrążają się w oparach nacjonalizmu i szowinizmu. Szły więc gimnazjalne bojkówki, wśród nich również, choć z oporami Andrzej Braun. Szli bić „Szwabów” z gimnazjum z alei Kościuszki – wylęgarni Lodzderdeutsche. Chłopcy z Ewangelickiej manifestowali pod hasłem, że Łódź nigdy nie stanie się niemiecka, bo była i pozostanie polskim miastem, ci z Kościuszki im odpowiadali, że Łódź jest niemiecka, bo zbudowali ją ich pradziadowie i że nadchodzi czas zaprowadzenia porządku. Nie poprzestawano na słownych utarczkach. Nadchodził czas kijów i kamieni.

Braun brał w tym wszystkim udział, ale nie pozbywał się wątpliwości, z łatwością wychwytyjąc sprzeczności swojskiego nacjonalizmu: dlaczego potępiało się Niemców za wypędzenie Żydów, za zabranie Sudetów, a jednocześnie z taką łatwością godzono się na prześladowanie Żydów w Polsce, bez zastrzeżeń aprobowano hasło: „marszu na Litwę” i aneksję Zaolzia. Odpychała niemczyzna hitlerowców, gdy pamiętało się o Goethem, ale język wszechpolaków też niewiele miał wspólnego z Mickiewiczem.

Narrator z pobłażliwością traktuje wątpliwości swojego młodego bohatera. On wie, co było przyczyną narastającego szowinizmu i jaki był finał narastających konfliktów narodowych. Między wierszami można odczytać zdziwienie z naiw-

ności młodego chłopca, który młodzieńcze ideały i obraz wyidealizowanej Polski chciał dostosować do powszechnego życia. A może ta naiwność właśnie pozwoliła jego bohaterowi godnie przebrnąć przez wojnę.

Problemy moralne młodego Brauna były wpisane w normalne życie gimnazjalisty, dla którego polityka pozostawała na marginesie zainteresowań. Na jego proces dojrzewania składało się tysiące drobnych i większych spraw i problemów: wycieczki rowerowe, wątpliwości religijne, historia rodzinna, męskie pogaduszki, olśnienie kinem, niewinne flirty, urok munduru POW i przedmaturalna gorączka. Braun zdaje maturę w 1939 roku. Radość i dalsze plany życiowe, mimo pozorów normalności są podszyte niepokojem. Pożegnaniem ze światem własnej młodości, co po latach okaże się pożegnaniem z bałucką i międzywojenną rzeczywistością, stał się spacer po Bałutach, latem 1939 roku. „Nad ogródkami unosiła się woń czeremchy i mięty, z mijanych drzew biło upojnym zapachem akacji, powietrze drgało przesycone kadzidlanymi wońnościami, jak w progach perfumerii albo podczas kościelnych adoracji. Nigdy przedtem te twoje Bałuty nie kryły w sobie tyle uroku. A przecież miały opinię jednej z najbrzydszych dzielnic. Teraz wszystko skrywała ciemność i światło, jak reflektory w teatrze, co ożywiały tanie dekoracje” (183).

Spacer zapadł w pamięć, bo kilkanaście tygodni później wybuchła II wojna światowa, inna wersja wojny o „Psie Pole”. Łódź przekształca się w *Litzmanstadt* i na „wsze czasy” zostaje włączona do Rzeszy. *Lodzderdeutsche* wraz z przybyłymi z Rzeszy władzami ustanawiają nowe, polityczne i społeczne porządki.

Już we wrześniu rodzina Braunów, jak wiele im podobnych, za odmowę podpisania *volkslisty* zostaje wysiedlona do Generalnej Guberni. Wysiedla się zresztą masowo: inteligentów i robotników, „czerwonych”, „różowych” i gorliwych katolików. Wszystkich, którzy znaleźli się na listach sporządzonych przez V kolumnę, sprawnie funkcjonującą przed wojną. Wysiedlano i tych, którzy zostali zadenuncjowani przez sąsiadów, nie zawsze Niemców. W ten sposób mszczono się za rzekome krzywdy, uzyskując w zamian wygodniejsze mieszkania.

Już we wrześniu pierwsze ofiary zostaną wysłane do Dachau i w tymże miesiącu staną pierwsze szubienice na placach publicznych. Łódź ulegała transformacji. Żydzi zostaną zamknięci na Bałutach, w getcie szczelnie izolowanym od reszty miasta. Wojnę przeżyje spośród nich niecała setka. Śródmieście wokół alei Kościuszki stanie się dzielnicą prawie niemiecką. Polakom pozostawi się w Łodzi dwa szpitale – dwie wymieralnie, dwa kościoły, spod których po sumie policja będzie wyłapywać młodych chłopców na roboty przymusowe.

Jako dziecko uczyłam się sylabizowania na tablicach ustawianych przez Niemców przed każdym parkiem, przed każdym najmniejszym skwerkiem: „Żydom, Polakom i psom wstęp wzbroniony”. I one ukształtowały moją świadomość i postawę wobec życia. Dużo, bardzo dużo czasu upłynęło nim pokonałam uprzedzenia, a kultura niemiecka odzyskała utracony blask.

W Łodzi stworzono również obozy: dla dzieci, które odpowiadając hitlerowskiemu kryteriom rasowym zostały przeznaczone na zniemczenie oraz obóz koncentracyjny na Radogoszczy. Małe dzieci, do trzech lat, stosunkowo szybko były adoptowane, większość z nich już nigdy nie powróciła do swoich rodzin. Starsze dzieci, gorzej poddające się wynarodowieniu, pamiętające o swoich rodzinach, buntowały się, toteż były traktowane jak przestępcy, łatwo więc umierały. Na pożegnanie z *Litzmanstadem*, Niemcy spalą żywcem na Radogoszczy około 200 więźniów. Gdy w mroźny, słoneczny dzień 19 stycznia oddziały sowieckie wkraczały do Łodzi, unosiła się nad nią czarna chmura i czuć było swąd palonych ciał.

Potem nadszedł polski rewanż. Były kolejne wysiedlenia i kolejne obozy i łatwo zapadały wyroki śmierci. Ilu zginęło niewinnych, tzw. porządnym Niemców? Bóg raczy wiedzieć. Płacili za okupację przez siebie nie zawinioną, być może niechcianą. Ale niewielu było wówczas Polaków, którzy by im współczuli.

Od zakończenia wojny upłynęło blisko 50 lat. Zbliżniły się rany lecz jej ślady pozostały na zawsze. Łódź z miasta wielonarodowego przekształciła się w miasto wyłącznie polskie. Nie ma już Żydów i nie ma Niemców. A co ważniejsze,

znikła wspólna historia. Ślady ich obecności w Łodzi są zacierane, ulatnia się ich obecność z pamięci jej mieszkańców.

W momencie zaost్రzenia się konfliktów narodowych nikt z ich autorów, a tym bardziej uczestników, nie spodziewał się podobnego zakończenia. Bo wszystko zaczynało się od drobnych, zgoła niewinnych zatargów, jak na Bałutach, gdzie grupy chłopaków walczyły o panowanie na swoim podwórku i walczyły o prawo do łąki zwanej „Psim Polem”. Zawsze i wszędzie w takim przypadku są dwie grupy: my i oni. Nieszczęście polegało na tym, że w Łodzi (czy tylko w Łodzi?) ci obcy to były „Żydki” i „Szwaby”. Jak ich rozpoznawano? W najprostszym sposobie: „Czesiek wychylił się zza drzewa i krzyknął: ‘Szwaby!’ Jeśli nie byli Niemcami to powinni warknąć: ‘Sam jesteś Szwab!’, a jeżeli byli, to zacisną tylko zęby oraz popatrzą spode łba. Tym razem potwierdzili wasze podejrzenia. Sprawa więc była jasna. Należało bronić waszego terenu i wygnać najeźdźców siłą” (81).

Dorastając, jedni pozbywali się dzieciennych uprzedzeń, inni wręcz przeciwnie, coraz bardziej przyswajali sobie nacjonalistyczną ideologię. Niestety, lata trzydzieste, nie tylko w Polsce sprzyjały utrwalananiu postaw nacjonalistycznych.

Wspomnienia Andrzeja Brauna nie są rozprawą o stosunkach narodowościowych w Łodzi lat trzydziestych, ale są do tych stosunków przyczynkiem niezwykle cennym. Narrator stara się opowiedzieć to, co mogło spozstrzec, zrozumieć i zinterpretować dziecko a następnie gimnazjalista. Jeśli narrator czasem przekracza swoje uprawnienia i wzbogaca wspomnienia o własne doświadczenia, w niczym nie umniejsza to wartości książki. Andrzejowi Braunowi udało się za pomocą prostych środków pokazać w sposób przekonujący a zarazem wzruszający proces dojrzewania chłopca w okresie nietolerancji i grupowych nienawiści. Żył w miłym, kulturalnym otoczeniu, wśród całkiem zwyczajnych ludzi, a jednak wielu z nich było święcie przekonanych, że fakt przynależności do własnej grupy narodowej daje im szczególne prawa, łącznie z prawem decydowania o życiu i śmierci „obcych”. Temat ciągle aktualny. Przykładem może być Bośnia.

## ...Z wielką walizką rozpaczy

O JANIE ULATOWSKIM (1907-1997)

Zmarły w początkach ubiegłego roku Jan Ulatowski – krytyk, publicysta, intelektualista niecodziennego charakteru i formatu – był mężem mojej Ciotki, Anieli Micińskiej, siostry mojego Ojca, Bolesława. Dzielili nas zatem nie tylko różnica pokolenia, ale i całkowita odmienność doświadczeń, nazwijmy je „geograficzno-historycznymi”. On opuścił Polskę w roku 1939, by nigdy już do niej nie wrócić, świadomie wybrawszy los emigranta, ja urodzona we Francji, po wojnie – kilkuletnia – wróciwszy wraz z matką do kraju, zostałam „dzieckiem Polski Ludowej”, w niej wchodząc w dorosłość i w niej wypracowując sobie sposób na życie.

Przez wiele więc lat, podczas moich prawie corocznych wizyt u Ciotki, widzieliśmy siebie wzajemnie jako twory dość egzotyczne. Wuj traktował mnie z góry i na dystans, dając mi do zrozumienia, że uważa mnie za kompletną idiotkę, która nic z tego świata nie rozumie, ja bałam się Wuję panicznie i choć słuchałam jego wywodów z zaciękwioną uwagą, w istocie – na początku przynajmniej – niewiele z nich do mnie docierało. Dochodziła do tego wreszcie wzajemna zazdrość o uczucia Ciotki, która – jako jedyną córkę jej ukochanego brata – obdarzała mnie prawdziwie macierzyńską miłością, co Wuj – zachłanny i zaborczy – poczytywał niemal za zdradę, ja ze zdziwioną urazą – jak to, przecież przyjechałam specjalnie do niej – przyjmowałam jej płochliwe – „wiesz, to może pójść teraz na spacer, bo ja muszę wrócić do Janka, żeby mu nie było przykro”.

A przecież, choć ów podszyty wzajemną nieufnością dystans trwał wiele lat, nie mogę powiedzieć, by Wuj od początku nie starał się wywiązywać ze swoich obowiązków wobec przyjeżdżającej z Polski bratanicy żony – możliwie najlepiej jak potrafił. Tym zaś, co uważał za obowiązek swój, było dopełnianie mojej edukacji, przez co rozumiał nie tyle generalne przemeblowanie mi w głowie (wychowywana najpierw w artystycznym domu mojego Ojczy, rzeźbiarza Kenara, a następnie, w czasie studiów w Krakowie, w domu Jerzego Turowicza, miałam w niej „umeblowane” wcale poprawnie), co uzupełnienie tej wiedzy o to wszystko, czego życie w Polsce dać mi nie mogło.

Tak więc, kiedy latam 1961 roku, świeżo po studiach, po raz pierwszy od dzieciństwa przyjechałam do Francji i znaleźliśmy się z poznanym dopiero wówczas Wujem pod wspólnym dachem, co wieczór znajdowałam przy łóżku nową porcję lektur do przeczytania, na stole w jadalni leżały albumy z historii sztuki („to Janek zostawił dla ciebie, żebyś sobie pooglądała”), pokolacyjne zaś posiały przy kominku zmieniały się głównie w wykłady Wuję na temat dziejów najnowszych – przed i pojałtańskiego ładu i jego dla nas, Polaków, implikacji.

Z wywodów Wuję, jak wspomniałam, rozumiałam jeszcze wówczas niewiele, przyznać bowiem trzeba, że były najłagodniej mówiąc, niekonwencjonalne i daleko odbiegające od czarno-białej wizji świata, w jakiej byłam wychowana („Sowiety” i komunizm – złe, Zachód z Ameryką włącznie i kapitalizm – dobry). Lektury jednak, które mi podsuwał, rzeczywiście poszerzały moje horyzonty i wiedzę o świecie i historii. To dzięki Wujowi przewertowałam wszystkie roczniki „paryskiej” – jak się w Polsce koniecznie zaznaczało – *Kultury* (z każdym przyjazdem czekały na mnie nowe), przeczytałam Czapskiego i Herlinga-Grudzińskiego, Weisberga-Cybulskiego i Swianiewicza, Pasternaka i całego Sołżenicyna po francusku. Nelunia ze swojej strony podrzucała „coś dla ducha”: coraz to nowe tomiki Miłosza, Gombrowicza, „Turystów z bocianich gniazd” Straszewicza, którego niezwykłą prozą mówiliśmy potem do siebie przez lata jak naszym własnym, dla innych zakodowanym, językiem... Pracowite więc były to wakacje – zachował się też z tych czasów „dowód

rzeczowy”: fotografia, na której golotka jak mnie Pan Bóg stworzył, na leżaku pośrodku łąki, pogrążona jestem w lekturze *Kultury*, pstryknięta *in flagranti* przez spacerującego nieopodal Wuja...

Skoro o fotografii tej mowa, muszę opisać miejsce, w którym odbywały się te nasze doroczne odtąd letnie spotkania, wielką ono bowiem odgrywało rolę w życiu Neli i Janka. Mała wioseczka w górnym biegu Rodanu we francuskiej Sabaudii, o 70 kilometrów od Genewy, nazywała się Massignieu de Rives, nazywaliśmy ją w skrócie po prostu Mass. Tam to właśnie, u szczytu spływającego ku Rodanowi dziczatego sadu grusz, pigw i czereśni, stał dziwaczny, jaskrawo odbijający kształtem i kolorem od porozrzucanych po okolicznych wzgórzach wielowiekowych, kamiennych farm chłopskich, piętrowy domek, otynkowany na różowo. Stanowił on – od przedwojennych jeszcze czasów – własność Feli i Kazimierza Kranców, którzy wyjechawszy w czasie wojny do Ameryki i w niej osiadli, nie potrafili się jednak z nim rozstać. Klucze i pieczę nad domem pozostawili więc ciotki Neli – tam spędzała odtąd wszystkie swoje wakacje, tam też przyszło i mnie, bodaj do roku 1977 (kiedy to w końcu, po śmierci Kazimierza ku naszemu nieutulonemu żalowi, Fela zdecydowała się jednak dom sprzedać), zjeżdżać na rodzinne spotkania.

Ten domek, pozbawiony wszelkich wygód, bardzo zniszczony i zdewastowany przez czas i całoroczne opuszczenie, mimo zacieków na ścianach, zwisających tapet i wylażących zza nich olbrzymich pajaków, napełniony był jednak duchową i intelektualną aurą jego właścicieli i współmieszkańców. Stare meble zostawione jeszcze przez Kranców, resztki pięknej porcelany, mnóstwo książek zwożonych tu przez Ciotkę i Wuję, których nie mieli gdzie pomieścić w swoich ciągle zmienianych sublokatorskich pokojach, na ścianach obrazy Czapskiego, Kaziela, Lutki Pink (świetnej malarki zaprzyjaźnionej z Nelą i wielokrotnej „bywalczyni” Massignieu), rysunki Wuję, kolorowe reprodukcje i plakaty ze zwiedzanych wystaw malarskich, wreszcie stojące we wszystkich pokojach przepiękne bukiety Ciotki Neli, w których była niedościągła mistrzynią – wszystko to składało się na atmosferę odtwarzanego z ułomków „prawdziwego” domu, którego Janek i Nela

– od wybuchu wojny nieustanni tułacze i prawie nędzarze – przez całe lata byli pozbawieni. Jeśli tak się o Massignieu tutaj rozpisalam (pisze o nim i Fela Krancowa w swojej książce „Powroty”, Białystok 1991), to dlatego, że jak dziś to widzę, było to miejsce, w którym Wuj po raz pierwszy od wylotu z rodzinnego domu czuł się „u siebie”, bezpieczny i chyba na swój sposób szczęśliwy. Wolny od zniechęcających obowiązków (w okresie, o którym mowa, uczył w Bordeaux języka niemieckiego w jakimś gimnazjum) – całymi dniami czytał, pisał, bądź na długie godziny zniknął w „wolnej okolicy”, by szkicować coraz to zmieniające się nadrodzańskie pejzaże, zaklinane na papierze czułą, wrażliwą i prawie nieomylną kreską. Równie dobrze czuł się tu w roli gospodarza i „pana domu”, Massignieu było bowiem również miejscem rodzinnych i przyjacielskich zjazdów z nieodmienną pieczęcią cielecą Neluni w roli głównej. Zjeżdżali więc z Genewy – siostrzenica Neli Marysia i Jacek Prentcy z dwójką swoich chłopaków, z Rzymu „linia włoska” – kuzynka Neli, Wanda Wyhowska de Andreis i jej synowie, wpadały do swoich „włości” z Ameryki dorosłe już dzieci Kranców: Karol, Jędrę i Magda. Dla mnie największym przeżyciem było poznanie w Mass Konstantego Regameya i Czesława Miłosza. „Kosticzka Regamietników” przed wojną najbliższy przyjaciel mojego Ojca i (o czym się nie mówiło przy wuju) wieloletni cichy „apsztyfikant” Neluni, był najbardziej czarującym panem, jakiego w życiu spotkałam. Zamieniona więc w zachwycony wzrok i słuch chłonełam jego opowieści i wymieniane z Nelą wspominki; z Wujem rozmawiali o literaturze i sztuce, w przykominkowe zaś wieczory domek rozbrzmiewał muzyką z Wujowego radia, którą Kostek nieporównanie komentował. Miłosz przyjechał do Mass na tydzień już z Ameryki, gdzieś po koniec lat 60-tych. Był w towarzystwie żony, Janki i choć oboje zachowywali się naturalnie i serdecznie, budzili we mnie wielki respekt i poczucie dystansu. Za to Wuj był w swoim żywiole. Nie dopuszczając nikogo do głosu godzinami klarował Czesiowi jak naprawdę jest w Ameryce (w której nigdy nie był), czym jest poezja i jak ją pisać należy, udowadniał, że Miłosz nie ma pojęcia o sztuce i w ogóle jest pod wszystkimi względami „ciemna masa”. Słuchałam tego

w osłupieniu, dopóki nie zrozumiałam, że w ten właśnie przewrotny sposób Wuj okazywał swojemu gościowi uznanie i szacunek. Wedle Wuja bowiem, spośród wszystkich ludzi na świecie, Czesław był jedynym godnym go w rozmowie partnerem; skoro tak, to należało go prowokować do dyskusji atakując najczulsze jego punkty. Tak też, mniemam, traktował to i Czesio, nie obrażając się i gęsto się przed Wujem „tłumacząc”... Za to muszę przyznać, że wieczory niepodzielnie należały do niego. Po kolacji Wuj z namaszczaniem znosił do jadalni wielki szpulowy magnetofon i nie znoszącym sprzeciwu tonem ordynował: – „A teraz, Czesiu, czytaj!”. I Czesio czytał. Cóż to były za wieczory! W pamięci utkwił mi zwłaszcza jeden z nich, kiedy to podczas lektury cyklu wierszy, które znalazły się potem w tomie Miłosza „Miasto bez imienia”, wybuchła na dworze straszliwa burza z piorunami i ulewnym deszczem, podkładając niezwykle zaiste „tło dźwiękowe” pod czytane utwory... W kilka lat później z podobnych „wieczorów autorskich” Czesława w Massignieu poznać miałam z rękopisu jego wiersze wydane potem w „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada”, a nasza – ośmielał się powiedzieć – przyjaźń utrwaliła się na dobre.

Wracając jednak do Wuja. Niewiele jeszcze wówczas wiedziałam o jego losach. Odślaniały mi się bardziej w jego reakcjach, strzępach rozmów z Ciotką i własnych podpatrzeniach niż w relacjach, których mi szczenił. Był Poznaniakiem – i to było widać (i słychać) gołym okiem. Te nieustanne awantury z biedną Nela o rzekomo niedomyte szklanki, pozostawione na spodku niedopałki, porzucony w jadalni szlafrok, otwartą książkę położoną grzbietem do góry... To prawda – talent Ciotki do obracania w perzynę każdego ładu wokół siebie nie miał sobie równych – zachodziło więc pytanie jakim cudem tak różne od siebie w przyzwyczajeniach i nawykach stało może z sobą wytrzymać (ba, szczęśliwie przeżyło ze sobą lat ponad czterdzieści!) – nie mniej dzięki ryki Wuja – „to cośś nie- sły- chaneego!” – do dziś brzmią mi w przerażonych uszach.

Z domu wyniósł Wuj jednak nie tylko zamiłowanie do systematyczności i porządku, żeby nie powiedzieć – wręcz maniackiej pedanterii. Jak miałam się dowiedzieć, to po swoim ojcu, znanym w Poznaniu zawodowym fotografiku,

Wuj odziedziczył tyleż upodobanie do podpatrywania świata za pomocą obiektywu, co i oko artysty. W przyływach lepszego humoru pozwalał mi wertować albumy swoich fotografii i teki z rysunkami – tak w Massignieu jak i w latach późniejszych budziły we mnie nieklamany zachwyt oraz zdumienie rozległością jego talentów. Uważna wrażliwość, mozolna dociekliwość i formalna odkrywczność, poparte ogromną, „własnoręcznie” zdobytą (bo studiował polonistykę i filozofię) wiedzą o sztuce, były zresztą widoczne nie tylko w jego rysunkach i fotografiach. Wuj był niezrównanym – o czym się sama miałam przekonać – odbiorcą sztuki, wypracował też sobie bardzo własny krytyczny aparat, którym się w pisaniu o sztuce posługiwał. Jego recenzje z wystaw, artykuły o malarstwie, rozprawy z dziedziny estetyki, które w latach 50-tych publikował w *Kulturze* i które mi podtykał do czytania, choć wydawały mi się wtedy zbyt „trudne” i zawiłe, dziś oceniam jako majstersztyki gatunku, wyznam też szczerze, że w moim najgłębszym przekonaniu Wuj się „zmarnował”. W każdym razie jako krytyk i historyk sztuki, porzuciwszy tę dziedzinę z niewątpliwą stratą tak dla siebie samego, jak i dla niej, na rzecz politycznej publicystyki. O ile mi wiadomo, nie jestem w tym przekonaniu odosobniona.

W owych pierwszych latach, Massignieu nie było jedynym miejscem naszych spotkań. Mieszkający w prowincjonalnym Bordeaux (w latach 50-tych bezrobotna w Paryżu Nela dostała posadę lektorki języka polskiego na „bordelackim” uniwersytecie, *nolens volens* musieli się więc z Wujem tam przenieść), tęskniący za przyjaciółmi i „światowym” (a raczej kulturalnym) życiem, Janek i Nela rokrocznie spędzali w Paryżu święta Wielkanocy i pierwszy miesiąc letnich wakacji przed wyjazdem do Mass. Ponieważ w latach 1961-1963 i ja przebywałam we Francji – ściślej mówiąc w Grenoble, gdzie uzupełniałam studia na tamtejszym uniwerku – miałam okazję kilkakrotnie włączyć się w te ich rytualne peregrynacje. Janek i Nela zatrzymywali się zawsze w tym samym hoteliku przy Place St. Sulpice, mnie gościła przyjaciółka Matki na rue de Babylone – codziennym punktem zbornym była mała kafejka „pod Henrykiem IV” przy Pont Neuf na rogu Placu Dauphine. Tam też Wujostwo odsiadawali wszystkie swoje *rendez-vous* z najbliższymi przyjaciółmi, wciągając i mnie



w swój ówczesny paryski świątek. Pod Henryka IV ścigali więc Maria i Józef Czapscy, Konstanty Jeleński, Antoni Szalowski, Michał Spisak, Paweł Zdziechowski, Irena Gabaud-Paczkowska, Allan Kosko, Maryna i Janek Pugetowie, tam poznałam też wreszcie Felę Krancową, która akurat jakiejś wiosny zjechała z Ameryki do Paryża do Rubinsteinów.

W dni wolne od towarzyskich spędów Nela i Janek – choć każde z osobna – wprowadzali mnie w swój Paryż. Nelunia po raz pierwszy zaprowadziła mnie do Biblioteki Polskiej przy Quai d'Orleans, gdzie odwiedzała panie Irenę Gałęzowską i Wandę Borkowską, ona też pierwsza wskazała mi drogę do „Libelli” – księgarni i galerii państwa Romanowiczów. Kilkakrotnie wizytowałam z Ciotką pracownię wspomnianej już Lutki Pink oraz podparyską pracownię Kazimierza Zielenkiewicza (Kaziela); nie pamiętam już dlaczego nie doszło do wizyty u Konstantego Brandla, choć wiem, że się z Ciotką bardzo przyjaźnił (mam nawet tego dowód rzeczowy: przesłaniczną jego akwarelkę – pejzaż z francuskiego pogórza bardzo przypominający Massignieu – którą dostałam od Neli w kilka lat później).

Rzecz ciekawa – nigdy nie odwiedzaliśmy Maisons-Laffitte, choć wiedziałam, że Janek i Nela na różne sposoby byli z *Kulturą* i Jerzym Giedroyciem powiązani; mieszkali tam zresztą przecież Czapscy, z którymi oboje utrzymywali najserdeczniejsze stosunki. Na moje nieśmiałe zapytania dostawałam wymijające odpowiedzi, składałam je na karb charakteru Wujka i zasłyszanych wzmianek o jego konflikcie z Redaktorem. Dopiero po latach zrozumiałam, gdzie tak naprawdę pies był pogrzebany. Owszem – Janek w istocie skłócony był z *Kulturą* z powodów, jak sam twierdził: „ideologicznych” (co po latach poświadczył Jerzy Giedroyc pisząc do mnie oględnie: „nasze [z Ulatowskim] stosunki często były więcej niż burzliwe”) – w tym unikaniu „lafitu” nie chodziło jednak o poglądy. Chodziło... o mnie – a raczej o imaginowane przez Nelę i Janka niebezpieczeństwa, na jakie wizyta w *Kulturze* mogłaby mnie w Polsce narazić, te zaś widzieli w najczarniejszych barwach. Zrozumiałam to wreszcie znacznie później, kiedy któregoś lata, *via* Paryż, przyjechałam do Mass z torbą pełną *Kultur* i innych „trefnych” książek od Romanowicza, którymi hojnie mnie obdarzył, dorzucając

drugie tyle dla swoich przyjaciół w Warszawie. „Jak to, i ty to wszystko będziesz wiozła do Polski? – ryknął Wuj straszonym głosem – czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz!”... Ponieważ robiłam to wielokrotnie już przedtem (choć poza świadomością Janka), nie potrafiłam ukryć zdziwienia. „O co ci chodzi, Janeczku, najwyżej mi te książki odbiorą na granicy, ale jakoś nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło”. Tego Wujowi było już nadto. – „To ty nie wiesz, że nie za takie rzeczy idzie się do więzienia?! Chcesz dostać się w łapy bezpieki, narazić Matkę, złamać sobie karierę, stracić na zawsze możliwość wyjazdu za granicę?!” – Na nic się zdały tłumaczenia, że czasy Stalina dawno już w Polsce minęły, że mamy Gierka i *détente* – książki zostały zarekwirowane, przy wtórze aprobującego kwilenia Neluni; odtąd musiałam już swój „niebezpieczny” proceder uprawiać po kryjomu, by nie budzić w obojgu demonów panicznego, obsesyjnego lęku, którego źródłem były niewątpliwie wojenne urazy i nieuchronnie wynikające z długoletniego emigranckiego bytowania „błędy perspektywy”.

Fakt jednak pozostał faktem. Musiało upłynąć wiele lat zanim „niewprowadzona” w swoim czasie przez Janków i przewyciężając straszliwą nieśmiałość, odważyłam się sama już pojechać do Maisons-Laffitte, żeby się wreszcie przedstawić i złożyć Redaktorowi wyrazy uszanowania.

Kiedy Nela nie ciągała mnie po swoich „kominkach” – niepodzielnie obejmował mnie w swoje władanie Janek. Te całe dni spędzane w Luwrze, a potem – systematycznie – po wszystkich możliwych muzeach Paryża! Te włóczęgi po rue de Seine i okolicach, z zaglądaniem do każdej galerii i galerijki, żeby sprawdzić (i objaśnić mi), co się aktualnie „nosi”, a raczej tworzy w sztuce współczesnej – nikt nigdy nie dał mi takiej „szkoły”, ale też i nikomu w tej materii tak wiele nie zawdzięczam. Wuj rzeczywiście miał oko niezawodne, a jego precyzyjna, analityczno-krytyczna inteligencja oraz dar słowa czyniły zeń niezastąpionego przewodnika i komentatora. W dziele sztuki obojętna była Jankowi jego „treść”, interesowała go przede wszystkim „Czysta Forma”, stąd Wujowa otwartość i na malarstwo abstrakcyjne, i na wszelkie wchodzące w modę artystyczne nowinki. Pamiętam jak nieśmiało pokazałam kiedyś Wujowi skromny katalog z

pierwszej warszawskiej wystawy mojego przyjaciela, Władysława Hasiora, polskiego „pop-artysty” sprzed pop-artu. „– To bardzo zdolny człowiek – wbrew moim obawom orzekł Wuj – i będzie z niego kawał artysty. Ciekaaawe, tak, bardzo ciekaaawe”...

Myszę zresztą, że te nasze wspólne wędrówki po paryskich muzeach po raz pierwszy przełamały lody między nami i zrodziły coś na kształt wzajemnej sympatii. Ja głęboko podziwiałam jego wiedzę i byłam mu wdzięczna za czas, jaki mi poświęcał, zaś moja chłonna uwaga, autentyczna radość jaką czerpałam z bezpośredniego obcowania z wielką sztuką i „postępy”, jakie robiłam w sądach i ocenach, sprawiały Wujowi widoczną przyjemność, zadowalając jego niewyżyte talenty mentatorskie i potrzebę posiadania „adepta”.

W roku 1976 oboje Ulatowscy znaleźli się na emeryturze. Skończyło się znienawidzone Bordeaux, ale i kończyło ukochane Massignieu. Na kupno domu Feli – a przede wszystkim na jego remont, umożliwiający całoroczne w nim mieszkanie, Janek i Nela nie mieli pieniędzy, na powrót do Paryża i nader skromną tam egzystencję nie mieli już siły i ochoty. Rodzinna tradycja – jeszcze przed pierwszą wojną rodzice Neli przyjeżdżali tam (spod Odessy!) – podpowiedziała jej Mentonę na Lazurowym Wybrzeżu. Pojechała na zwiady i... wróciła zdeterminowana, co więcej z upatrzonym domkiem na oku. Kiedy jesienią 1977 roku definitywnie opuszczaliśmy Massignieu po ostatnich wspólnych w nim wakacjach, choć zapłakani (przynajmniej Ciotka i ja) mogliśmy już sobie rzucić na pociechę: „do następnego roku w Mentonie”.

„O Toruniu myślę jak o małym niebku” – pisał kiedyś Witkacy do mieszkających tam przyjaciół. „Małym niebkiem” można też było nazwać ostatnią życiową przystań Neli i Janka Ulatowskich. Był to mikroskopijny domeczek stojący na kilkunastometrowym tarasie wysoko wcięty w strome zbocze spływające ku morzu. Od przecinającej zbocze szosy łączącej Mentonę z Monte Carlo wiodły ku niemu nie kończące się kamienne schody w zielonym tunelu bugenvilei i bluszczu, lecz kiedy wrzeszcie przez furtkę w murze wchodziło się na teren „posesji” widok na całą zatokę mentońską, od przylądka Cap Martin po włoskie już San Remo, zatykał dech w piersi. Uroku miejsca dopełniała ogromna palma, zielonym para-

solem osłaniająca połowę tarasu – ponad nią akurat miejsce na ogrodowy stół i krzeselka – nie zabetonowaną resztę stanowił już maciupęńki, ale kipiący gąszczem zieleni i kwiatów „ogródek”, największa radość i duma Cioci Neli.

Miejsce zatem było rzeczywiście cudowne i myślę, że przez pierwszych przynajmniej kilka lat Janek z Nelą byli tam niemal zupełnie szczęśliwi. Jako tako zabezpieczeni materialnie, otoczeni ukochanymi obrazami i książkami (z wyjątkiem drzwi i okna Janek zabudował caluteńki swój „gabinet” regałami – sam spał na rozkładanym łóżku na środku pokoju!), ze zgromadzoną przez lata ogromną płytoteką – rzecz by niemal można: „żyli sztuką, żyli miłością”, nareszcie mając cały swój czas dla siebie i dla swoich ulubionych zajęć. Nelnia zajmowała się więc ogródkiem i „zwierzyną”, czyli kotem, królikiem i żółciem (nie pamiętam już jakim cudem zgromadzili całą tę menażerię), krzątała po domu, ustawiała piękne bukiety i godzinami spoczywała na leżaku z nie czytaną książką na kolanach, wpatrując się w morze i niebo; z pokoju, w którym siedział całymi dniami Janek, dobiegał szelest przeglądanych gazet i stukot maszyny do pisania – wyłaniał się z niego na ogół jedynie na posiłki i dopiero późnym wieczorem na posiały przy muzyce czy telewizji.

Bywało jednak, że i on na chwilę pojawiał się pod palmą – najczęściej z aparatem fotograficznym w ręku. To, w co potrafił przemienić obiektywem ciociny ogródek, graniczyło z czarami. Z wywoływanych następnie negatywów wyłaniała się nieoczekiwanie bądź prawdziwie tropikalna dżungla w oszałamiającym bogactwie bujnej roślinności, bądź „portrety” pojedynczych liści i kwiatów, bądź ze światła i koloru utkane – impresjonistyczne, Monetowskie z ducha, obrazy. Owo „malowanie” nie tyle farbami i pędzlem, co dosłownie „szkiełkiem i okiem”, stało się w pewnym okresie prawdziwą pasją Janka – powstawały niezwykle pejzaże, martwe natury, z ogromnym smakiem ustawiane mu przez Nelę, czy zupełnie już abstrakcyjne kompozycje światła i cieni, w których dopiero po bliższym przyjrzeniu odnaleźć można było zarys oparcia ogrodowego krzesła, pióro palmowego liścia, porzuconą konewkę...

Jednocześnie z fotograficznymi albumami puchły także i teki Jankowych rysunków. To jednak, czego w nich poszukiwał, z naturą nie miało już nic wspólnego. Pochłonęła go

bowiem niepodzielnie intelektualna spekulacja nad istotą i „sposobami” kreacji artystycznej, które próbował zgłębić i przyszpilić przy pomocy niezliczonych eksperymentów na papierze. Mnożyły się więc cykle maksymalnie uproszczonych znaków–symboli jednorazowego przeżycia obok niesłychanie skomplikowanych „czystych” ornamentów; obserwacje wpływu przypadku – bryzg tuszu ze strzepniętego piórka – na skojarzenia i asocjacje implikujące dalszy rozwój kompozycji: próby budowania i kształtowania przestrzeni jedynie przy pomocy walorów bieli i czerni... Cały ten swój analityczny warsztat „sprawdzał” potem Janek, godzinami wertując malarzkie albumy i monografie, czy notował potem swoje spostrzeżenia i refleksje? Nie wiem, choć mam nadzieję, że tak.

Cała bowiem trudność pisania tych wspomnień o Ulatowskim polega na tym, że piszę je w Warszawie, z dala od pozostawionego przez niego archiwum, którego zawartości praktycznie nie znam. Stąd nie jestem w stanie ani odtworzyć szczegółowej jego biografii, ani omówić najważniejszych dokonań\*.

Wiem jedno: poza rozproszonymi w różnych czasopiśmie – najpierw Polski Dwudziestolecia, a następnie emigracyjnych – artykułami (które też kiedyś będzie należało zebrać i opublikować) – Wuj od wybuchu wojny niemal do śmierci prowadził dziennik, jemu głównie powierzając wszystkie swoje przemyślenia na rozliczne interesujące go tematy.

Nad owym dziennikiem – z którego znam jedynie drobne, udostępnione mi przez Wuję, fragmenty – będę się chciała zatrzymać w ostatnich akapitach tej opowieści. Na razie bowiem wypada mi jeszcze wrócić pod palmę, by przywołać z pamięci ostatnie już lata naszego wspólnego pod nią bytowania.

Napisałam, że w swoim „małym niebku” Nela i Janek byli całkowicie szczęśliwi. Myślę, że pora nieco skorygować tę opinię. Upływał bowiem nieubłagany czas – z nim pojawiały się problemy. Przede wszystkim samotności. Dwoje starszych

\* Zgodnie z sugestią Redaktora Giedroycia całe archiwum Jana Ulatowskiego przekazałam latem ubiegłego roku do Archiwum Emigracji przy Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – na ręce dr. Mirosława A. Supruniuka.

ludzi, emerytów – a więc nie mających w nowym miejscu zamieszkania nawet powiązań zawodowych – i w dodatku „obcych”, emigrantów – własnowolnie znalazło się w całkowitej niemal izolacji. Skończyły się wyjazdy do Paryża, na które nie mieli już siły, a i dawnym przyjaciółom do Mentony nie zawsze było po drodze. O ile Janek, skryty i z natury zamknięty w sobie mizantrop, izolację tę zdawał się znosić wcale dobrze, o tyle – mniemam – Neluni z biegiem lat doskwierała ona coraz bardziej. Żyła więc listami i telefonami od najbliższych w oczekiwaniu ich odwiedzin. Ci, porzuceni po Ameryce i całej Europie, przyjeżdżać do nich mogli o wiele za rzadko jak na jej potrzeby. Raz czy dwa razy pojawiła się pod palmą Fela Krancowa, niewiele więcej „linia włoska”, regularnie, choć też tylko raz do roku przyjeżdżali jedynie Prentcy z Genewy, ja i najwierniejszy z przyjaciół – Miłosz.

Choć związane z kłopotami – w malutkiej samotni Wujostwa nie było miejsca na gości (pamiętam, któregoś roku, kiedy Miłosz przyjechał bez zapowiedzi, nie zarezerwowawszy sobie miejsca w hotelu, musiał spędzić noc na cienkim materacyku na podłodze w jadalni z głową pod stołem, mnie w śpiworze Nela wzięła do siebie, pod biurko obok nocnika i miski z kocim jedzeniem) – wizyty te były dla nich nieodmiennie wielkim świętem. Jak ongiś w Massignieu, Wuj z sadystycznym niemal wyrafinowaniem znęcał się nad Czesławem, pieczołowicie wszakże nagrywając wszystkie ich rozmowy i lekturę wierszy, płynęły potoki wina (gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że pitego głównie przez Miłosza i przeze mnie), Czesio wypisywał czułe dla obojga dedykacje na przywiezionych przez siebie książkach i tomikach wierszy, pozowaliśmy do rytualnych pamiątkowych fotografii...

Kiedy wszakże kończyły się wizyty, dla Janka i Neli w sensie tak przenośnym, jak i całkowicie dosłownym zaczynały się... schody. Owe nie kończące się strome schody w zielonym tunelu, których Nela od pewnego roku nie była już w stanie pokonać – do śmierci uwięziona w swoim podniebnym ogródku – Wuj pokonywał zaś z coraz większym trudem, dźwigając aprowizację i stanowiąc dla obojga jedyny już kontakt ze światem zewnętrznym. Nadal jeszcze codziennie schodził do skrzynki po listy i gazety, by następnie zamykać

się z nimi w swoim pokoju na długie godziny, podczas gdy Nelunia jednak coraz dłużej spoczywała na swoim łóżku, z rzadka już tylko czyniąc użytek ze swojej „zielonej ręki” i cały wysiłek wkładając w przygotowanie „obiadu” – kawałek kurczaka i puszka jarzynek – który jedli w milczeniu, każde pograżone w swoich myślach.

Rzeczywistości nie dawało się bowiem już ukryć. Dla dwojga starych ludzi ich ukochane „niebko” okazało się pułapką bez wyjścia i nikt nie był w stanie temu zaradzić. O „powrocie” do Polski mowy być nie mogło, zdobycie stałej opieki na miejscu przerastało ich możliwości lokalowe, psychiczne, a zapewne i finansowe. Pozostało im jedynie modlić się o lekką śmierć we własnym łóżku, by nie zostać skazanym na łaskę obcych ludzi.

Modły Neluni zostały wysłuchane. Zanim to jednak się stało, danym mi było jeszcze towarzyszyć obojgu w ostatnim wspólnym ich roku. Kiedy Nela przestała już wstawać z łóżka, starałam się z Polski przyjeżdżać jak najczęściej i na jak najdłużej, by pomóc Jankowi pielęgnować ją w chorobie. Wtedy to, po raz pierwszy odkryłam zupełnie nieznanego mi Wuję i odkrycie to wstrząsnęło mną głęboko. Ten zgryźliwy bowiem, weredyczny i pozornie oschły człowiek, przez którego zresztą, przypuszczam, Nela wylała oceany łez – odsonił się oto jako najczulszy i najtroskliwszy, łagodny i cierpliwy mąż, w całej zresztą swojej wzruszającej, praktycznej bezradności. Podczas więc kiedy ja przejmowałam w ich domu „ster rządów” – zakupy, gotowanie, pranie, szycie, sprzątanie – Janek całymi godzinami siedział przy Neli czytając jej głośno co ciekawsze artykuły z gazet, fragmenty swoich dzienników, czy lektur, które sam miał właśnie na podorzędziu, podrywając się przy tym co chwilę, by przymknąć lub otworzyć szerzej okno, poprawić poduszki, podać lekarstwo...

Zdarzało się czasem, że Nela prosiła go o poczytanie wierszy ewokujących jej młodość wśród przyjaciół-poetów: Iwazkiewicza, Sebyły, Gałczyńskiego... Czytał znakomicie, z nieskazitelną aktorską dykcją (jego nagrania Nela wykorzystywała przez wiele lat w swojej pracy ze studentami) a nawet pewną emfazą, jakby upajając się dźwiękiem własnego głosu. Przysiadłam kiedyś i ja na chwilę na Ciotczynym łóżku, żeby posłuchać. Wuj miał w ręku tom Gałczyńskiego. „Przeczytaj

nam, Janku jeśli możesz, 'Notatki z nieudanych rekolencji paryskich' – poprosiłam niebacznie. – To mój ulubiony wiersz, może go zresztą pamiętasz”. Nie pamiętał...

Ziemia i niebo przemijają,  
chwieją się fundamenty światów,  
ostatni slogan snuje pająk:

Vanitas vanitatum –  
Zasłuchana przymknęłam oczy.

Gdy wróci noc, znów pójdę sam  
na pusty plac przed Nôtre -Dame  
i cień mój pomknie za mną tam  
z wielką walizką rozpa...

Czysty i dźwięczny głos Wuję załamał się nagle – spojrzałam przerażona. Janek płakał. Tłumiony szloch trzymał go za gardło, łzy jak groch spływały po pobrużdżonej twarzy. „Przepraszam” – wyjąkał po chwili i szybko wyszedł z pokoju. Nie wierzyłam własnym oczom, a serce ścisnęło mi się z żalu i współczucia. Jak mało – przez tyle lat! – wiedziałam o własnym Wuju...

I ostatnie już nasze spotkanie – przynajmniej z tych, które chciałabym zatrzymać w pamięci.

Po śmierci Neli, latem 1992 roku, zaproponowałam Jankowi, że jesienią przyjadę na dłużej, żeby mu pomóc uporządkować dom, a przede wszystkim pobyc z nim w jego opuszczeniu. Miało to być nasze pierwsze współmieszkanie w *tête-à-tête*, choć więc sama już starsza pani – matka dzieciom i babcia wnukom – jechałam z duszą na ramieniu. Czy Wuj wytrzyma moją obecność, czy mu się czymś nie narażę?

W istocie próba była niełatwa. Pokój Neli, w którym miałam zamieszkać, zamieniony został przez Janka w jej kapliczkę. Obok łóżka, na własnym Ciotki nocnym stoliku, Wuj postawił urnę z jej prochami, pod nią dzbanek z nieudolnie wtykanymi, ale co dzień świeżymi kwiatami z jej ogródka. W tej to „kapliczce”, której pozostałą przestrzeń stanowiła zresztą pozostawiona przez Nelę i nietknięta przez

Wuja „perzyna” jej rzeczy – ubrań, lekarstw, papierów i książek – spędzić miałam ponad miesiąc, segregując, porządkując i rozkładając po szufladach całe życie Ciotki – zajęcie tyleż bolesne, co osławające z jej stałą obecnością na nocnym stoliku i pozwalające mi w jakiś sposób się z nią utożsamić. Ten sam proces najwidoczniej zachodził i w Janku. Mówił do mnie „Neluniu” pozwalał się obsługiwać, przynosił guziki do przyszycia, potulnie zjadał przygotowane przeze mnie „polskie” obiady, bez uwag pozwalał myć naczynia i rządzić się w kuchni, a kiedy wracałam do pokoju Neli, zasiadał w jej fotelu żeby mi poczytać, puszczał płyty, opowiadał o sobie. Wtedy to po raz pierwszy pokazał mi swoje rodzinne fotografie (zbulwersowała mnie zwłaszcza jedna: mały czarnooki chłopczyk na kolanach ślicznej łagodnej pani – to „Straszny Wujaszek” też kiedyś był dzieckiem?...), wspominał dzieciństwo i młodość, czasy wojenne, pierwsze lata emigracji.

Zajęta czym innym nie notowałam jego opowieści – odstaniał mi się jednak z nich człowiek o nie tylko niezwykłej inteligencji i przenikliwości, ale i niezwykłego charakteru, który też, trzeba to przyznać, zaważył na całym jego życiu, bynajmniej go nie ułatwiając. Człowiek, owszem, nieznośny – apodyktyczny i uparty, nie umiejący współżyć z ludźmi, straszliwie wymagający od siebie i od innych, mający za złe całemu światu, że nie wygląda on tak, jakim chciałby go widzieć – ale przecież bezwzględnie dobry, szlachetny i prawy, zdolny do głębokich uczuć, których jedynie nie potrafił okazywać. Nie ukrywam – podczas owych kilku niezwykłych tygodni pozostających jakby poza realną przestrzenią i czasem, w gęstej „bergmanowskiej” atmosferze, z urną z popiołami Neli w roli głównej – zobaczyłam Wuję takim, jakim był naprawdę i takim pokochałam.

Ostatniego wieczoru uparł się, żeby mnie odprowadzić na nocny pociąg, którym wracałam do Genewy czy Paryża. Na dworcu przytulił mnie, pocałował i powiedział krótkie „dziękuję”. Już z peronu zobaczyłam go ostatni raz: zgarbiony stary pan, podobny do własnego zółwia, pełzł wolno wiodącą w górę pustą ulicą do pustego domu. Teraz ja płakałam jak bóbr.

Dzienniki Ulatowskiego. Klucz do jego dziejów, świadomie wybranego losu, przemyśleń, poglądów i postawy. Znam z nich jedynie ułomek. Wiosną 1993 roku przysłał mi bowiem do Warszawy, spory, blisko stustronicowy maszynopis. Jak objaśniał w liście, był to wybór fragmentów z jego notatek, w postaci krótkich maksym czy też „złotych myśli” na najróżniejsze, głównie jednak polityczne tematy. Wuj liczył, że uda się opublikować je w Polsce, na wszelki wypadek opatrzył tomik wstępem, w którym powiedział m.in.:

„...Dwa elementy – proroctwo o przyszłości Anglii i ‘opór’ – tłumaczą zarówno tytuł, jak i treść niniejszej książeczki. Nie są to jednak wspomnienia. Jest to wybór z „Kroniki Oporu”, jaką prowadziłem przez 40 lat powojennych na emigracji. Zeszyt dotyczy epoki, którą otworzyli dwaj kapłani: muzułmanin Chomeini i Papież Wojtyła.

Moje reakcje na wydarzenia, jakie doprowadziły do zimnej wojny a wreszcie do jej końca, różniły się od reakcji moich rodaków. Dla nich wojna była rozprawą z jednym z totalitaryzmów europejskich i powinna była przejść w wojnę z ostatnim z nich. Dla mnie druga wojna światowa była i pozostała końcem *Pax Britannica* i początkiem *Pax America*. Dwie perspektywy, które łączy tylko czas...”

Poza informacjami natury bio- i faktograficznej, słowem najczęściej powtarzającym się w tekście jest: „opór”. „Kroniką Oporu” (przez duże O) – Ulatowski nazwał swoje powojenne zapiski, nadmienia o przebytych „obozach opornych” w Anglii, dowodem „oporu” jest „treść przysłanego maszynopisu ... Przeciwno czemu tak się opierał, co stanowiło dlań zagrożenie, w imię czego uznawał opór za wartość nadrzędną?

Pra-przyczyną i uwarunkowaniem postawy Ulatowskiego wobec świata był jego własny, dany mu od Boga charakter, na który nie miał wpływu. („Charakter silniejszy od człowieka” – mawiał Kenar o podobnych przypadkach). Główną zaś cechą owego charakteru było absolutne, bezwzględne pragnienie wolności i niezależności – w każdym sensie. Wolności i niezależności osobistej, wolności i niezależności działań, mniemań, sądów i opinii. Że zaś wszechstronnie wykształcony i odcytany, wnikliwy i krytyczny – do wszystkiego dochodzić musiał całkowicie samodzielnie – stąd brak „mistrzów” i autorytetów – stąd też natychmiastowy, odruchowy

niemal opór przeciw każdemu, kto myśl jego bądź działanie próbował uzależnić czy zinstrumentalizować.

Pisał: „Wobec alternatyw, jakie stawia przed nami los, jesteśmy samotni. Nikt nie ma prawa dokonywać za nas wyboru, który leży wyłącznie w kompetencjach naszego sumienia. Ale i my nie mamy prawa cedować tej kompetencji na nikogo, czy zgoła oczekiwać, by ktoś za nas tego wyboru dokonał. Wolność nie może być nominalna, a realnej wolności nie zapewni nam żadna 'abstrakcja'. Nie ma 'prawa historii', które pozwalałoby człowiekowi łamać Prawo, jakie odkrywa w sobie. Historyczne abstrakcje, które prawu przeczą, żądają od człowieka kapitulacji i dlatego trwa między nimi a człowiekiem wojna”.\*

Ulatowski nie uprawiał jednak intelektualnej niezależności jedynie jako sztuka dla sztuki. Na jego zachowanie nakładały się również takie niemodne dziś pojęcia jak sumienie, poczucie godności, honor, patriotyzm. To one właśnie kazały mu już po wojnie spędzić dwa lata w obozach opornych, a następnie półtora roku w angielskim więzieniu za odmowę przyjęcia aktu demobilizacji z rąk angielskich i wstąpienia do Polskiego Korpusu Przysposobienia – deportowanemu zaś w końcu do Francji przyjąć posadę ślusarza w jakiejś fabryce, skąd wybawił go dopiero Giedroyc i redaktor *Preuves* umożliwiając mu niezależne życie z niezależnego pióra. Zresztą do czasu.

Tak naprawdę bowiem chroniczny „opór” Ulatowskiego wobec wszystkiego i wszystkich, a czego zapisem jest jego „Kronika”, tkwiło w polityce, wielkiej światowej polityce, która w gruncie rzeczy stanowiła największą i najgłębszą pasję całego jego życia. Rzecz sama w sobie nienowa – cóż, skoro na tę politykę, której był podmiotem i świadkiem, miał poglądy całkowicie własne, a więc... różne od wszystkich innych.

W swych politycznych rozpoznaniach i teoriach Ulatowski wkrótce znalazł się w całkowitym odosobnieniu, nikt nie kwapił się ich publikować i głosić. Pozostawały więc jedynie: codzienne, niezmordowane połykanie kilogramów wielojęzycznych gazet, gniewne nadpiski na marginesach, głośne

\* por. Jan Ulatowski, „Rzeczywistość, ale jaka?” (Bolesław Miciński na tle pokolenia), *Kultura* 1953, nr 6.

parskania, prychnięcia i syki, na koniec zaś pęczniejąca od gorczy, żalu i papieru – szuflada. Istne „wołanie na puszczy”, czyli „głową w ścianę”...

Czytając wydane niedawno w Polsce „Dzienniki” Kisiela miałam chwilami wrażenie, że słyszę głos Wuja. – „Taki mój los: mówić do głuchych. Brak wolności nikomu już nie doskwiera, bo o możliwości takiej wolności nikt już nie wie, nikt w nią nie wierzy ani jej sobie nie wyobraża. Zaiste, na dziwnym samotniczym maniacznie opiera się praca mojego życia”.\*

Czy w tym kontekście nazwanie Ulatowskiego „Kisielem emigracji” jest nadużyciem? Nie sądzę. To jedynie próba objaśnienia – zwłaszcza czytelnikom w Polsce – nieznanego przez znane. Jan Ulatowski czeka na swoje „odkrycie” i z nikim już nieporównywalne zaistnienie w historii polskiej myśli i kultury. Chciałabym, aby to „wspomnienie” moment ten przyspieszyło.

Anna MICIŃSKA

\* Stefan Kisielewski, „Dzienniki”, Warszawa 1996.

## Dziewięciu ich było

Tekst tego opowiadania nie był nigdy publikowany za życia Izaaka Babla i długo czekał na druk: stało się to możliwe dopiero w przeddzień rozwiązania ZSSR. Powody są dla czytelnika, zwłaszcza polskiego, oczywiste. Opis mordowania polskich jeńców przez żołnierzy Konarmii Budionnego jest niemal dosłownym powtórzeniem notatki z „Dziennika 1920” Babla, niezwyklego dokumentu, który ukazać się ma niezadługo po polsku, w pełnej nareszcie postaci (nakładem Wydawnictwa „Twój Styl”, Warszawa). Te same wydarzenia odzwierciedlone są w noweli „Szwadronowy Trupow”, wchodzącej w skład „Konarmii” Babla, w kształcie jednak i skróconym, i wiele mniej drastycznym. „Dziewięciu ich było” stanowi wymowną ilustrację tez, które piszący te słowa zawarł w szkicu „Historia spuszczonej z łańcucha”, drukowanym w *Kulturze*. Jego pełny tekst będzie przedmową do polskiej edycji „Dziennika 1920” Babla.

Jerzy POMIANOWSKI

Dziewięciu jeńców już nie żyje. Czuję to. Kiedy Gołow, dowódca plutonu, robotnik z Sormowa, zastrzelił wysokiego Polaka, powiedziałem szefowi sztabu: „Plutonowy dał żołnierzom przykład, który ludzi deprawuje. Trzeba w załączniku wymienić ilość jeńców i odesłać ich do sztabu na przesłuchanie”.

Szef wyraził zgodę. Wyjąłem z raportówki ołówki i papier, a potem wezwałem Gołowa.

– Ty patrzysz na świat przez okulary – powiedział, zerkając na mnie z nienawiścią.

– A przez okulary – powiedziałem. – A ty jak patrzysz na świat, Gołow?

– Ja to patrzę przez nasze nędzne, robotnicze życie – powiedział i podszedł do jeńca, trzymając w dłoniach polski mundur z wiszącymi bezwładnie rękawami. Mundur nie pasował. Rękawy ledwie dochodziły do łokci. Wtedy Gołow pomacał palcami jegerowskie kalesony jeńca.

– Ty jesteś oficer – powiedział Gołow i osłonił się dłonią przed słońcem.

– Wcale nie – odpowiedź była stanowcza.

– Nasi takich gaci nie noszą – mruknął Gołow i zamilkł. Milczał, dygotał, wpatrywał się w jeńca, oczy białeły mu i rozszerzały się coraz bardziej.

– Matka dziergała – powiedział jeńiec pewnym tonem. Obróciłem się i spojrzałem na niego. Był to młody człowiek, cienki w pasie. Na jego żółtawych policzkach wiły się baczki.

– Matka szydełkiem dziergała – powtórzył i opuścił wzrok.

– Fabryczna twoja matka – wtrącił się Andriuszka Burak, rumiany kozaczek o jedwabistych włosach, ten sam, który ściągnął bryczesy z umierającego Polaka. Bryczesy przerzucione były teraz przez jego siodło. Andriuszka podjechał ze śmiechem do Gołowa, ostrożnie wyłuskał z jego rąk mundur, przyrzucił nim bryczesy leżące na łęku, machnął leciutko biczkiem i odjechał.

Słońce wylało się w tej właśnie chwili zza chmur. Ogarnęło oslepiającym kręgiem konia Andriuszki. Wesoly jego trucht, bez troskie machnięcia jego kusego ogona. Zaskoczony Gołow patrzył za odjeżdżającym. Obrócił się i zobaczył, jak układam spis jeńców. Potem spojrzał na młodzieńca z kędzierzawymi baczkami. Ten spojrzał na Gołowa spokojne oczy, pełne młodzieńczej pobłażliwości i uśmiechem skwitował jego zakłopotanie.

Wówczas Gołow złożył dłonie w trąbkę i krzyknął: „Republika nasza jeszcze nie umarła, Andrzej. Dzielić łupy jeszcze nie czas. Rzuć te ciuchy!”

Andrzej ani mrugnął. Ruszył kłusem, jego konik zwawo wyrzucał spod siebie ogon, jakby opędzając się od nas.

– Zdrada – wyszeptał wtedy Gołow, dzieląc głoski, przysgał i odrętwiał cały. Przykłęknął, wycelował, wypalił i chybił. Andrzej natychmiast zawrócił cwałem i oparł się przed samym plutonowym. Krwista i kwitnąca jego twarz dyszała gniewem.

— Słuchaj, sąsiedzie — krzyknął gromko i nagle sam się ucieszył donośnością swego głosu — żebym ja przypadkiem ciebie nie dmuchnął, kumie plutonowy, prać twoja mać. Ma tu załatwić jakiś dziesiątek szlachty — i patrzcie, jakiego rejwachu narobił. Myśmy po setce załatwiali i nikt cię o pomoc nie prosił... Jak jesteś z robotniczej klasy, to rób swoje...

Spojrzał na nas z miną zwycięzcy i odjechał galopem. Plutonowy nie podniósł na niego oczu. Ścisnął dłonią czoło. Krew ciekła z niego, jak deszcz ze stogu. Padł na brzuch, przyczołgał się do strumienia i na długą chwilę pogрузzył rozbitą, swoją krwawiącą głowę w nienakłą nurt.

Dziewięciu jeńców już nie żyje. Ja to czuję. Siedząc na koniu, sporządziłem ich spis, starannie dzieląc rubryki. W pierwszej rubryce były kolejne numery, w drugiej — imię i nazwisko, w trzeciej numer jednostki wojskowej. Numerów było dziewięć. I pod czwartym wpisany był Adolf Szulmajster, biuralista z Łodzi, Żyd. Cały czas garnął się do mojego konia i gładził moją cholewę drżącymi, czułymi palcami. Ktoś przetrącił mu kolbą nogę. Powłóczył nią, zostawiając cienki ślad, jak ranny, okulały pies i na jego poszczerbionej, pomarańczowej łysinie kipiał pot, błyszcząc w słońcu.

— Pan jest Jude, panie — szeptał Szulmajster, konwulsyjnie pieszcząc moje strzemię. — Pan jest Jude — pópiskiwał, bryzgając śliną i wijąc się z radości.

— Szulmajster, do szeregu — krzyknąłem na Żyda i nagle, czując śmiertelną słabość, zacząłem zsuwać się z siodła. Tracąc dech, powiedziałem: — Skąd pan to wie?

— Żydowskie słodkie oko — zapał on, skąpcząc na jednej nodze i wlokąc za sobą psi, wątły ślad — pan ma słodkie oczy, panie...

Z trudem zdołałem otrząsnąć się z jego przedśmiertnego podniecenia. Wracałem do przytomności powoli, jak po kontuzji.

Szef sztabu kazał mi zająć się sprawą i pojechał do jednostki.

Cekaemy wciągano na wzniesienie jak cielęta — linami. Wpełzały szeregiem, jak zgodliwe stado i poczciwie pobrzkiwały. Słońce igrało blaskiem na ich zakurzonych lufach. I zobaczyłem tęczę na żelazie. Polak, młodzian z kędzierzawymi baczkami, patrzył na cekaemy z wiejską ciekawością. Wychylił

się całym ciałem do przodu i odłonił mi Gołowa, który gramolił się z rowu, był spięty i blady, miał łeb we krwi, trzymał karabin w pogotowiu. Wyciągnąłem do niego ręce i krzyknąłem, ale, krzyk zatchnął się i ugrzązał mi w krtani. Gołow śpiesznie wystrzelił jeńcowi w potylicę i zerwał się na nogi. Polak w zadziwieniu obrócił się ku niemu, robiąc w tył zwrot, jak na komendę. Powolnym ruchem gotowej oddać się kobiety zarzucił obie dłonie za kark, runął na ziemię i skonał w okamgnieniu.

Uśmiech ulgi i spokoju rozjaśnił teraz twarz Gołowa. Kolory wróciły bez trudu na jego policzki.

— Naszym chłopakom matki takich gaci nie robią — powiedział do mnie z chytrą miną. — Wykreśl jednego, dawaj kwitek na osiem sztuk...

Dałem mu mój załącznik i powiedziałem z desperacją:

— Odpowiesz za to wszystko, Gołow.

— A odpowiem — krzyknął z nieopisanym tryumfem — ale nie przed tobą, okularnikiem, tylko przed swoim człowiekiem, z Sormowa. Swój człowiek będzie wiedział co do czego...

Dziewięciu ludzi nie żyje. Ja to czuję. Dziś rano postanowiłem odprawić obchód żałobny za ich dusze. W Konarmii nie ma nikogo, prócz mnie, kto mógłby to uczynić. Nasz oddział stanął na popas w zrujnowanym folwarku. Wziąłem mój dziennik i poszedłem w głąb kwietnika, co jeszcze ocalał. Rosły tam hiacynty i błękitne róże.

Zabrałem się do zapisywania historii o plutonowym i dziewięciu zabitych, ale szum, znany mi szum oderwał mnie zaraz od roboty. Czerkaszyn, sztabowy fagas, szedł do ataku na pasiekę. Mitia, rumiany chłopak spod Orła, kroczył w ślad za nim z dymiącą pochodnią w ręku. Głowy mieli okręcone płaszczami. Szczeliny ich oczu płonęły. Miriady pszczoł odpierały zwycięzców i ginęły na podejściach do uli. Odłożyłem więc pióro. Przeraziła mnie ilość żałobnych obchodów, które będę musiał odprawić.

4 VII 1923. Glikstal

Pierwodruk czasopismo *Ogoniok*, nr 4, 1989.

Izaak BABEL

Przekład Jerzego Pomianowskiego



## Okruch opłatka

*In memoriam: Vytautas Sirijos-Gira, 1911-1997*

W listopadzie 1993 roku Mieczysław Jackiewicz ogłosił w *Kulturze* artykuł o moim wierszu „Do Litwy”, który odnalazł w albumie pani Girowej, żony wybitnego pisarza litewskiego. Album ten znajduje się teraz w Muzeum Maironisa w Kownie. Była to dla mnie niezwykle niespodzianka, gdyż zapomniałem zupełnie o tym utworze, napisanym podczas wycieczki pisarzy polskich na Litwę w lipcu 1939 r., a więc na krótko przed wybuchem wojny. Byłem wśród nich najmłodszy – ja wtedy wszędzie byłem najmłodszy.

Piękna pani Bronisława, jej mąż Liudas Gira, znawca literatury polskiej, a także ich syn, Vytautas, kilka lat starszy ode mnie, trwale pozostali w pamięci. Z młodym Girą miałem ciekawe rozmowy o przyszłości, ale jak mogliśmy z naszym optymizmem ją przewidzieć? I oto ten odkryty „nieznany wiersz”, jak go nazwał Jackiewicz, okazał się dla mnie po pół wieku szczególnie ważny, za co jestem mu wdzięczny. Zainicjował bowiem korespondencję z Witoldem Sirijos-Girą, który pod każdym listem podpisywał się Witold.

Kiedy otrzymałem pierwszy list od niego ze znaczkiem już litewskim na kopercie, a nie sowieckim, pokazałem go Tamarze Karren-Zagórskiej (poprzednio żonie Romana Brandstaettera), którą odwiedziłem tego akurat dnia w jej domu na Ealingu – była już wtedy poważnie chora. Tamara spojrzała na znaczek, potem uważnie przeczytała adres na odwrocie koperty, zbladła i wyszeptwała zmienionym głosem: „Ja znam to nazwisko, uratował nam obojgu życie”. Chodziło

oczywiście o Liudasa, ojca Witolda, który w bardzo krytycznym czasie wystarał się o rosyjską wizę tranzytową, pozwalającą im na wyjazd z Litwy. Już byli czynni wtedy komisarze sowieccy. Major NKWD, niejaki Szwarzman, pisze Tamara Karren we wspomnieniu: „długo tłukł pięścią w blat biurka i krzyczał – Nie dam wam wyjechać do Palestyny, nie dam!”.

Ów list i zdarzenie z przeszłości: dobry przykład *synchronicity*, która niespodziewanie oświetla nam sens życia, one utrwaliły symboliczny jakby powrót przyjaciela po tyłu, tyłu groźnych, czasem beznadziejnych latach dla Litwy i dla jej jagiellońskiej siostry, Polski.

Podziwiałem polszczyznę Vytautasa-Witolda, który jako autor litewski pisał awangardowe wiersze i powieści, jak „Mahoniowy raj”, który przełożył „Grażynę” – zapytałem go w jednym z listów czy może napisał ostatnio jakiś wiersz po polsku. Dostałem niebawem w kopercie opatrzonej, jak zwykle, nowymi znaczkami – Witold miał subtelny smak filatelisty – tekst, trzy zwrotki, na karcie z kolorową panoramą Wilna. Mam pozwolenie, żeby je ogłosić w *Kulturze*:

*Nikt nie uczył od a do zetu*

*Ani pisać mnie, ani rozmawiać.*

*Więc czy mogę być polskim poetą?*

*Teraz marne wysiłki już na nic.*

*I choć jestem gorliwym Litwinem,*

*Polska krew u prababek w żyłach.*

*I odczuwam coś – jakby winę –*

*Że po polsku nic nie tworzyłem.*

*Słowo „tworzyć” chyba za wielkie,*

*Ale mało już znaczą słowa,*

*Kiedy trzeba zawiązać supelki,*

*A nie coś rozpoczynać od nowa.*

Pod tekstem w nawiasie: „Napisane przed paru laty, dedykowane panu Jerzemu 28 II 94”.

Wdzięk i poczucie humoru jest widoczne w jego polszczyźnie – to dawało mu swobodę w wyrażaniu tego co myślał.

Po każdym nowym liście poznawałem go głębiej. Tylko raz rozmawialiśmy przez telefon, kiedy zagubił się mój list (a może go skradli) z serią filatelistyczną w środku. Początkowo operatorka w centrali wileńskiej persadowała mi, że pytam o numer ulicy – tak dowiedziałem się, że jest ulica Liudasa Giry w Wilnie. Wreszcie zrozumiała i połączyła mnie z Witoldem. Bardzo mnie wzruszył jego głos, brzmiał tak jakby mówił ktoś bliski z mojej rodziny. On także był wzruszony, a na końcu roześmiał się: „No, nigdy nie miałem jeszcze telefonu z Londynu”. Pomyślałem, a może jednak polecieć do Wilna. Ale zwyczajem sójki, a dużo ich widzę co rano przez okno, nie polecałem, Drogi Witoldzie.

W ostatnim liście z 1996 roku Witold, lekarz z wykształcenia, przyznał mi się, że jest bardzo niedobrze z jego zdrowiem. Tak się znów zbiegło, że niedługo potem przyszła świąteczna karta z opłatkami od Ojca Świętego – lekarstwo ducha dla mnie. Przelamałem opłatek i zaraz posłałem część do Witolda – oby doszło szybko...

Dostałem wiadomość od jego żony Almy, że umarł wcześniej rano 14 lutego 1997. A przecież Vytautas tak chciał żyć i tak umiał cieszyć się życiem (...) List Pana z opłatkami poświęconym przez Ojca Świętego był dla niego światłą chwilą w Jego życiu”.

Opłatek jeszcze silniej połączył moje myśli z nim; stał się pożegnaniem pobłogosławionym. Została pamięć widziana przez ową „kroplę litewskiej krwi” w wierszu sprzed pół wieku. Ta moja kropla: mit poetycki, czy okrucieństwo prawdy. Jak okrucieństwo opłatek?

We wsi Grodzień w Dobrzyńskiej Ziemi jest kapliczka przydrożna z figurą św. Kazimierza królewicza, „na krzyżówce”, jak tam mówią. Dzisiaj to rzadkość wśród figur, ten królewicz. Moja rodzina z tej wsi się wywodzi: niedaleko figury było gospodarstwo mojego dziadka Józefa. Ojciec twierdził, że część naszych krewnych powróciła tu z Litwy, ale dawno temu; podkreślał że p o w r ó c i ł a. Czy z tą właśnie figurą? Podobno mieli swój zaścianek w pobliżu Szafarni, tej z listów młodzieńczego Chopina.

Może by warto w Roku Mickiewiczowskim wreszcie odmazurzyć ów Zaścianek Dobrzyński w „Panu Tadeuszu”, bo Dobrzyńskie nie jest na Mazowszu. Poeta nie znalazł miejsca

dla chłopów w swej złotej, kontuszowej epopei. A kiedy Tadeusz miał zamiar znieść pańszczyznę, stary wyga Gerwazy powiedział, że bezpieczniej byłoby uszlachcać ich, niż uwalniać, bo z tą wolnością różnie bywa.

Wracając z Litwy w lipcu 1939 roku odwiedziłem, za namową redaktora z polskiego radia w Wilnie, osobliwą wieś na skraju Nowogródzczyzny. Były tam dwa zaścianki i dwie osobne do nich drogi: szlachecka i kmiecia. Wybraliśmy najpierw tę kmiecia. Każdy zaścianek – jak to zaścianek, powiedział dziennikarz – niby podobne, a jakoś inne. Tu Witold dodałby zapewne uśmiech zamiast kropki.

Jerzy PIETRKIEWICZ

---



---

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

---



---

**Wiersze**

Carlos DRUMMOND DE ANDRADE

**ZŁUDZENIE EMIGRANTA**

Kiedy przyjechałem z ojczyzny,  
o ile przyjechałem z ojczyzny  
(czyż tam nie umarłem?),  
nurt rzeki mówił mi  
szemrząc niewyraźnie,  
że powinienem pozostać  
tam skąd wyjechałem.

Wzgórza, przybladłe  
w świetle zapadającego wieczoru,  
zdawały się mówić,  
że nie można wrócić,  
bo wszystko jest konsekwencją  
urodzenia się tam.

Kiedy przyjechałem, o ile przyjechałem  
z jednego miejsca na drugie,  
świat wirował, obcy  
mojej niewyraźnej osobie,  
i w tym wirowaniu zobaczyłem,  
że nie wyjeżdża się ani wraca  
z nikąd ani do nikąd.

Że wszystko ze sobą niesiemy,  
ramę naszego życia,  
sztywną siatkę drucianą  
na najbardziej anonimowej komórce,  
a ziemia, śmiech, głos

rozbrzmiewają nieustannie  
w naszych głębokich ścianach.

Ciągle coś nowego się dzieje,  
oszukując nasz głód  
pierwotnego pokarmu.  
Odkrycia są maskami  
najciemniejszej rzeczywistości,  
tej rany co pokrywa  
skórę naszych dusz.

Kiedy przyjechałem z ojczyzny,  
nie, nie przyjechałem, zgubiłem się w przestrzeni,  
w złudzeniu wyjazdu.  
Biada mi, nigdy nie wyjechałem.  
Tam jestem, pochowany  
pod łagodną mową,  
pod czarnymi cieniami,  
pod żyłami złota.

Carlos DRUMMOND DE ANDRADE

Przełożył Henryk Siewierski

Marta JEDLICZKO

\* \* \*

my nie kochamy mężczyzn  
choć są tęsknymi do nich  
tęsknymi wśród tajemnic nieuniknionych jak życie  
trudnych i tak samo dotkliwych

zachłannie wpatrzone w świat  
rzeźbione tępym dłutem czasu  
ale nie zadziwiają nas już sny  
ani wypełniające nas powietrze nagłych uszczęśliwień

łagodne jakbyśmy czuły że śmiertelne  
z wilgotną muzyką w oczach  
czasem jeszcze chcemy być czyjaś nocą  
oddalać od kogoś śmierć

my nie kochamy mężczyzn  
wymyślamy ich więc są mocni  
od miłości ratuje nas ucieczka  
do wnętrzości własnych słów

ładnie nam w poezji  
każdym zbliżeniem stwarzasz mnie na nowo  
wprawiam cię w rytm życia i miłości  
ale oboje wiemy  
że nie chodzi o to w tym śnie

ślizga się po mnie twój głos  
dotykam cię duszą  
a potem niepotrzebniejemy dla siebie  
samotność osvajana przekleństwem  
otwiera nam oczy

jeszcze wierzymy w obietnice  
na zawsze odwleczone w czasie  
wieczorem zasypiamy w milczeniu  
tocząc do przebudzenia  
osobne sny

Marta JEDLICZKO

Jarosław KLEJNOCKI

EPIGRAMAT POKORNY

Panu Adamowi Zagajewskiemu

Jak stary bocian znoszę resztki  
źdźbło słomy kawałek paznokcia  
zwiędły fragment skóry Ale też  
jakiś grafomańskie skrawki Ostatnie  
minuty snów pierwsze sekundy świtu  
Wszystkie sprzeczki (*stoje bezradny  
wobec uzasadnionych zarzutów*)  
Chwile niepewności (*wtedy twardnieje  
język czarnieje podniebienie*) Z nich  
buduję Bramę ostatni Przyczółek  
(zaprawdę *jesteśmy gośćmi  
kruche apartamenty*) Piruety  
na mokradłach Słalomy po  
falochronie (*wiatr wiatr*)  
Uginam się aby zwyciężyć

Jarosław KLEJNOCKI

Mira KUŚ

PRAWDA

zdanie „pada deszcz” jest prawdziwe wtedy  
gdy pada deszcz  
lecz kiedy mówię: żyję  
nie jestem pewna co porabia prawda  
czy właśnie nie przecieka gdzieś  
pomiędzy kamykami potoku  
lub nie leży pośrodku stulonych płatków piwonii  
by rano

ołśnić mnie rozkwitem i rosą  
 odkrytego bytu  
 a może właśnie unosi ją na rogach samotny  
 stary jeleń  
 który oddala się od stada ku równinom śmierci

co porabia prawda kiedy mówię: żyję  
 tętno natury zlewa się w jedno z tętnem poezji  
 i pulsuje w moich skroniach

*Mira KUŚ*

Joanna MANC

\* \* \*

Czasem gdy pada pytanie  
 milczymy  
 a brak odpowiedzi  
 zahacza o miejsce wspomnień

Milczymy ufnie  
 nieruchomo bezbrinnie

Frankfurt, 15.12.97

\* \* \*

Przed spotkaniem już  
 myślę o naszym rozstaniu  
 o pustce lub pełni  
 która nastąpi  
 która minie tak samo  
 jak pocieszająca myśl  
 o trwaniu

Frankfurt, 13.3.1997

*Joanna MANC*

Aldona PIĘNCZEWSKA

## CZAS CZY ZEGAR

W muzeum zegarów  
 poczułem się prawomocnym  
 mieszkańcem własnej epoki  
 widzę zegar  
 na każdym kroku

patrzę na zacieśniającą się  
 wokół mnie precyzję  
 na przesypującą kwadransie  
 poczwórną klepsydrę  
 na postępującą utratę władzy  
 nad własnymi chwilami

to czasomierz  
 czas już za mnie mierzy  
 napęczniała od wiecznego  
 oczekiwania minuta  
 poeta w sobie zamyka  
 odkąd zegar stał się jego własnością  
 czas zaczął mu się wymykać

Bruksela, 13 lipca 1997 r.

*Aldona PIĘNCZEWSKA*

Artur SZLOSAREK

### KOLEDA

bardzo tu u mnie, bardzo ciepło – wiesz?  
zachorowałem, czytając z kropli, będąc jednym  
z tych, którzy w niej mieszkają,

zateśnił za mną śnieg,  
zateśnił, pod którym cię beze mnie  
schowali –

bardzo możliwe, że jadłem ciastko, kiedy umierałeś,

i nic nie zawrzało we mnie, choć się garbię dokładnie  
tak samo,  
teraz piję i palę świeczuszki na igłakach, świętuję,  
bo lubiłeś,  
dla ciebie –

i we włosach mam wióry pieśni,  
bo wierzę, że słyszysz  
jak wzdychają –

to okrutne, ale od dawna  
patrzę na tych, których kocham  
jak na zmarłych –

wióry głosów palą mi głowę,  
wióry wirują,  
jak śnieg, kraków, łaziska, jak ryby –

a ty powtarzasz: *zły kto zawstydzą,*

i jeszcze te tłuste karpie  
w wannie, i ich usmażone nerwy, które we mnie się wiją,  
ruszają,

wzywają

Joanna MARC

### WYCISZENIE

ucichła muzyka, lecz nie zostawiła po sobie  
ciszy: karmię kwiat, który jest drzewkiem  
szczęścia, jeśli się w nie wierzy – ta noc pije  
pot i milczy upita potem, bo ciemniej nam  
serca, kiedy najbardziej jesteśmy dla siebie –

ucichła muzyka, nie zostawiwszy w spokoju  
ciszy: karmię się tobą, która nie jesteś mną,  
rozlewam w tobie jedwabne nici, uwierz mi:  
daję słowo, aby było jeszcze jednym słowem  
nieczytelnym dla tego, co przyjdzie po nim

Artur SZLOSAREK

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

## Archiwum polityczne

# Imperialista bez kompleksów

(WIDZIANE Z BRUKSELI I WASZYNGTONU)

## I. „WIELKA SZACHOWNICA” I WIELKA AWANTURA

„Wielka szachownica” (w oryginale amerykańskim „The Grand Chessboard”), najnowsza książka Zbigniewa Brzezińskiego, byłego, w latach 1977-1981, doradcy do spraw bezpieczeństwa prezydenta Cartera, ukazała się w USA w październiku ubiegłego roku i, prawie równocześnie, po francusku i niemiecku. Nieco później ukazały się tłumaczenia japońskie i chińskie.\*

Reakcja na treść „Szachownicy” była – zwłaszcza poza granicami USA – ostra i natychmiastowa. W zachodniej Europie, głównie na lewicy francuskiej, zarzucono Brzezińskiemu zuchwałość, egocentryzm i pochwałę amerykańskiego imperializmu, że jest – jak powiedział kiedyś de Gaulle o Izraelu: *sur de lui et dominateur*, pewny siebie i arogancki.

W Niemczech książka figurowała względnie długo (może jeszcze figuruje) na listach *bestseller*ów, a jej analizy (niekoniecznie zgodnej) podjęli się m.in. Helmut Schmidt, były kanclerz i Volker Rühle, obecny minister obrony.

W Moskwie, choć wersji rosyjskiej jeszcze (w chwili pisania tych słów) nie było, była to prawdziwa bomba. Wybu-

chała powoli. Największe gazety omawiały książkę, a zwłaszcza... autora, ocierając się niekiedy o granice hysterii. W artykule podpisanym przez byłego ministra w dużym dzienniku stołecznym, padła propozycja aby Brzezińskiego uznać za *persona non grata*, a nawet aby go aresztować gdyby odważył się przekroczyć granice Rosji. *Komsomolskaja Gazieta* wydrukowała w odpowiedzi spory wywiad z Brzezińskim, który z kolei wywołał szerokie echa i został uznany za najlepszą *story* miesiąca, miał przedruki i omówienia w radiu i telewizji. Około 60% autorów listów do redakcji przyznało zresztą rację Brzezińskiemu („lepiej poznać gorzką prawdę, niż słodkie kłamstwo” – piszą), co, jeżeli wziąć pod uwagę niewesołe opinie jakie autor książki wyraża o ich kraju, jest pocieszającym znakiem, świadczy bowiem o rosnącej dojrzałości niektórych środowisk społeczeństwa rosyjskiego.

W Chinach, sprawa poszła bardzo wysoko. Brzeziński otrzymał mianowicie list od prezydenta Chin. Pisał on, że właśnie czyta książkę i że polecił zapoznanie się z nią swoim najbliższym doradcom.

O co chodzi? Dlaczego tyle szumu? Francuskie tłumaczenie nosi podtytuł: „Ameryka i reszta świata”, co trafnie oddaje zakres książki. Aby jednak oddać, w największym skrócie, treść „Szachownicy”, trzeba sięgnąć po tytuły prasowe. Krótki spis rzeczy wyjaśnia wszystkie wątpliwości. *Die Zeit*: „Europa nie chce być wasalem Stanów Zjednoczonych”. *Liberation*: „Kontrolować Euroazję”, *Le Nouvel Observateur*: „Najlepszy sposób na zdominowanie świata”, *Gazeta Wyborcza*: „Karty trzyma Ameryka”...

Brzeziński – ale kto w to wątpił?! – nie ma kompleksów. Autor nie ma cienia wątpliwości co do nie tylko faktu dominującej roli Stanów Zjednoczonych, jedynej dziś (po implozji ZSSR) autentycznej superpotęgi w skali świata, ale także co do „pożytku” jaki płynie z tego faktu. Zdaniem Brzezińskiego mianowicie, super-potężna Ameryka stanowi dziś jedyną alternatywę do perspektywy chaosu i anarchii, jakie w wyniku rozmaitych „eksplozji”: demograficznej, gospodarczej, religijnej, niekontrolowanej urbanizacji, mogą zagrozić światu. Brzeziński, z właściwą sobie jasnością „architektury” wykładu, dokonuje analizy rozmaitych układów współczesnego świata, skupiając się głównie na jego trady-

\* Polskie tłumaczenie ma ukazać się w końcu kwietnia lub w maju br. (Wyd. Bertelsman) z przedmową Kazimierza Dziewanowskiego b. ambasadora RP w USA.

cyjnie „ulubionych” parametrach, to znaczy posowieckiej Rosji oraz nowego obszaru, nazwanego „Euroazja” (od zachodniej Europy po Chiny), koncentrującego 3/4 ludności świata i 2/3 jego produkcji. „Euroazja, powiada Brzeziński, to dla Ameryki główne dziś wyzwanie geopolityczne. Globalna supremacja Ameryki zależy od jej zdolności utrzymania tam swej przewagi, swej roli głównego tam arbitra”. W tym punkcie, Brzeziński nie różni się z Clintonem, który uważa, że USA powinno dojść do pozycji „potęgi nieodzownej”, ani z Richardem Haas'em, byłym doradcą republikańskim także w Białym Domu, który widzi w Stanach Zjednoczonych „szeryfa wbrew sobie”.

Oczywiście, aby dojść do tego typu wniosku, Brzeziński musiał porozmyślać i nad rolą zintegrowanej Europy i nad przyszłością rozszerzonego Paktu Atlantyckiego i nad rolą i przyszłością Chin, ale przede wszystkim, jakby to powiedzieć, nachylić się nad zwłokami Związku Sowieckiego. Jego diagnoza nie jest dla Rosjan ani sympatyczna ani zabawna. Dzisiejsza Rosja to mocarstwo w skali regionu, z gospodarką o charakterystykach trzeciego świata.

Brzeziński stara się przekonać Rosjan, że pogodzenie się z formułą państwa narodowego, bez imperialnej hipoteki, zmierzającego do utrwalenia systemu pluralistycznego i demokratycznego, żyjącego w zgodzie i współpracy z Zachodem, szanującego suwerenność byłych satelitów i byłych republik ZSSR (zwłaszcza – to znane hobby Brzezińskiego – Ukrainy), nie stanowi aktu kapitulacji, a wprost przeciwnie, jest warunkiem rosyjskiego samo-wyzwolenia.

W odpowiedziach na pytania *Kultury* Zbigniew Brzeziński wypunktował zarówno niektóre z jego długiej (270 stron we francuskiej wersji) analizy, co i ustosunkował się do niektórych kwestii bieżącej polityki. Jego odpowiedzi powinny jednych zachęcić do przeczytania całości „Szachownicy”, innym ułatwić czytanie. Ostrość widzenia i kategoryczność sądów Brzezińskiego mogą wywołać u niektórych czytelników odruch sprzeciwu i polemiki. Tym lepiej. Dla autora. Dla czytelników. Dla książki. I dla polityki.

## II. JEDNOOSOBOWE „LOBBY” POLSKIE

Można powiedzieć, że gdyby nie było Kissingera, wejście Brzezińskiego na szczyty polityki amerykańskiej byłoby równie ważne, ale mniej spektakularne. W Ameryce, kraju gdzie nikt normalny (z wyjątkiem Pani Albright, która nie wiedziała, że jest Żydówką), nie ukrywa swego pochodzenia etnicznego, prasa nie mogła przegapić takiej okazji: skrót, że oto po „niemieckim Żydzie” miejsce po prawicy prezydenta USA zajmuje „polski arystokrata”, musiał trafić na czołówki gazet.

W Moskwie nikogo to nie bawiło. Z punktu widzenia Kremla, to nie była dobra wiadomość. Kreml się nie mylił. Nie wiedział nawet do jakiego stopnia.

Zbigniew Brzeziński, „Zbig” dla przyjaciół i prasy, urodził się w Warszawie, 70 lat temu. W 1938 roku wyjechał z rodzicami do Kanady, gdzie jego ojciec objął polski konsulnat w Montrealu. Po Jałcie, Brzezińscy postanowili zostać na Zachodzie, najpierw w Kanadzie, potem w USA. Brzeziński rozpoczyna studia, nauki polityczne i ekonomiczne, na uniwersytecie McGill w Montrealu, potem przenosi się na Harvard. Tam robi doktorat. Temat (od tego się zaczęło i tak już zostało): czystki w Związku Sowieckim. Jeszcze jeden skok i, w 1960 roku, Brzeziński jest profesorem na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Rok później obejmuje dyrekcję Instytutu Studiów nad Komunizmem, który się później przemienił w słynny Instytut Przekształceń Międzynarodowych. Obecnie wykłada amerykańską politykę zagraniczną na John Hopkins School of Advanced Studies i prowadzi badania w ramach CSIS, prestiżowego Instytutu Badań Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie. Po drodze zdążył być doradcą w sztabie prezydentów Kennedy'ego i Johnsona, jednym z dyrektorów „Trilateral Commission” (Komisji Trójstronnej, grupującej niewielkie grono najbardziej wpływowych osobistości Ameryki, Europy Zachodniej i Japonii).

No i przede wszystkim, Brzeziński był – w latach 1977-1981 – doradcą do spraw bezpieczeństwa prezydenta Jimmy Cartera, zajmując jedno z najbardziej wpływowych stanowisk w administracji Stanów Zjednoczonych.

Brzeziński wywarł niewątpliwie wpływ (niektórzy sądzą,



że za duży; inni żałują, że za mały) na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. I bezpośrednio – jako doradca Cartera – i pośrednio przez swoje liczne książki, wykłady i artykuły.

Z Polską nigdy więzi nie zerwał. Stanowił najważniejsze, jednoosobowe, polskie lobby w Waszyngtonie. Jego obecność w Białym Domu zbiegła się z najbardziej chyba dramatyczną fazą współczesnej historii Polski: pojawieniem się „Solidarności”, groźbą interwencji sowieckiej i proklamowaniem stanu wojennego. W toku tego przełomu, Brzeziński odegrał ważną, współdecydującą rolę.

### III. „NIE MA INNEJ ALTERNATYWY”

LEOPOLD UNGER: – *Niektórzy krytycy sprowadzają Pańską książkę do czegoś w rodzaju instrukcji „jak Ameryka powinna w skuteczny sposób opanować świat”. Wywiad dla Gazety Wyborczej zakończył Pan słowami: „Nawet jeżeli za 20 lat zapanuje wreszcie równowaga między najważniejszymi graczami na globie, to najmocniejsze karty trzymać będą Stany Zjednoczone”. Omawiając Pańską książkę, niektóre pisma określiły Pana jako „amerykańskiego imperialistę bez kompleksów”. Jak Pan reaguje na taką definicję?*

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI: – Obojętnie. Moja książka oparta jest na założeniu, że na obecnym etapie historii, wiodąca rola Stanów Zjednoczonych na świecie stanowi jedyną alternatywę do anarchii. Jest to po prostu stwierdzenie faktu, wynikające z zaniku, po zimnej wojnie, poprzedniego dwubiegunowego świata. Uważam, że Ameryka powinna wypracować koncepcję długofalowej geo-strategii, mającą zapewnić na jedno, albo lepiej – dwa pokolenia, globalną stabilizację i stopniowo, w tym czasie, budować podstawy pod trwałą i skuteczną równowagę w stosunkach między najważniejszymi państwami naszego świata.

L.U.: – *Nigdy jeszcze, zdaniem Pana, żaden kraj nie dominiował w tym stopniu nad resztą świata. Patrząc jednak na Rosję czy Chiny, dwa z bardzo niewielu suwerennych państw świata, można zapytać czy hegemonia USA jest rzeczywiście tak bezwzględna?*

Z.B.: – Moim zdaniem, amerykańska supremacja jest zjawiskiem wyjątkowym w sensie jej globalnego zasięgu. Z tym zastrzeżeniem, że supremacja nie jest jednoznaczna z wszechpotęgą. To zresztą jest jeden z powodów, dla których nalegam, aby, na dłuższą metę, Ameryka starała się o bliższe partnerstwo z bardziej spójną Europą i o bardziej stabilną współpracę z Chinami, które będą, jak mi się wydaje, odgrywać coraz większą rolę na Dalekim Wschodzie.

L.U.: – *„Kto kontroluje Euroazję, kontroluje świat”, powiada Pan. To wydaje się być centralnym punktem książki. Dochodzi Pan do wniosku, że obecna amerykańska polityka wobec tego „kontynentu euroazjatyckiego” jest niespójna, pozbawiona wyraźnej wizji. Czy można kontrolować Chiny albo Rosję?*

Z.B.: – Trzeba się starać. To jest właśnie treścią mojej książki. „Euroazja” to dziś najważniejszy kontynent. Gdyby, w toku zimnej wojny, Stany Zjednoczone zostały naprawdę usunięte z tego obszaru, zwycięstwo Związku Sowieckiego byłoby nieuchronne. Istotą mojej koncepcji jest taka rola USA, która zapobiegłaby pojawieniu się jakiegokolwiek ewentualnej koalicji zdolnej zdominować ten kontynent, rola, która ma pozwolić Ameryce utrzymać na tym obszarze pozycje decydującego arbitra.

L.U.: – *Rosję nazywa Pan „czarną strefą”. Dlaczego „czarną”, kiedy reformatorzy są (w zasadzie) u władzy, rynek funkcjonuje, a Rosja jest już chyba dalej od komunizmu a bliżej demokracji? Czy świat powinien pomóc Rosji wyjść z tej „strefy”? Jeżeli tak, to co świat może zrobić?*

Z.B.: – Obecna rosyjska „smuta”, okres historycznej depresji, potrwa – jak wszystko na to wskazuje – jeszcze jakiś czas,

raczej dłuższy niż krótszy. Mam nadzieję, że, ostatecznie, demokratyczne, proeuropejskie siły wezmą górę w Rosji, że pojawi się nowe pokolenie polityków, pluralistycznych i realistycznych i że podejmą oni energiczne starania w kierunku przekształcenia Rosji w nowoczesne, naprawdę demokratyczne europejskie państwo. Ponieważ jednak jest to perspektywa ciągle niepewna, proponuję w mojej książce zarówno bezpośrednią pomoc dla Rosji, co i równocześnie tworzenie takich warunków, w których bliski związek i współpraca z Europą stanowiłyby dla Rosji jedyną realną opcję. Mówiąc w skrócie, Rosja stoi dziś przed decyzją jaką podjęła w latach 20-tych pootomańska Turcja: dążyć ku modernizacji, europeizacji i demokratyzacji w ramach narodowego, postimperialistycznego państwa.

L.U.: – *Twierdzi Pan, że postsowiecka klasa polityczna nie zrezygnowała z ambicji imperialnych. W jakiej formie się one przejawiają? Jakie kraje znajdują się w orbicie tych „aspiracji”?*

Z.B.: – Uważam, że jesteśmy świadkami ostatniej fazy przejawiania się rosyjskiego imperializmu. Świadczyć o tym może np. fakt, że bardzo wyraźna większość społeczeństwa rosyjskiego była przeciw wojnie w Czeczenii, jak również widoczna obojętność rosyjskiej opinii publicznej wobec sprawy rozszerzania NATO. Naturalnie, poglądu tego nie podziela postsowiecka rosyjska elita polityczna, która ciągle upiera się przy definiowaniu Rosji jako potęgi globalnej. Ta sugestia powraca stale w toku moich rozmów z przedstawicielami tej elity na temat stosunków amerykańsko-rosyjskich. Spora część tej elity, uformowana jeszcze w ZSSR, ciągle tkwi korzeniami w okresie sowieckim czyli imperialnym, myśli kategoriami sowieckimi. Stąd m.in. każdy dokument na temat strategii zredagowany przez członków tej grupy, zakłada, że tak zwane „bliskie sąsiedztwo” stanowi strefę specjalnych i właściwie wyłącznych wpływów Rosji. To stwarza sytuację, w której nowe narodowe elity w byłych republikach sowieckich żywią podejrzenia, iż Rosja ma zamiar posłużyć się instrumentem WNP (Wspólnota Niepodległych Państw, złożona z 12 – bez Bałtów – byłych republik sowieckich. Red.) w celu

nie tylko gospodarczej współpracy, ale także politycznej integracji i dominacji. Spodziewam się, że na dłuższą metę, tego typu aspiracje rosyjskie się rozwiną, ale obawiam się, że potrzeba będzie jednego pokolenia albo nawet dwóch, aby nowa rosyjska elita pogodziła się z rzeczywistością, to znaczy z faktem istnienia postimperialnego, w zasadzie narodowego państwa rosyjskiego. W każdym jednak scenariuszu, doprowadzenie do takiej reorientacji powinno stanowić podstawowy cel polityki zachodniej w ogóle, a amerykańskiej w szczególności.

L.U.: – *Moskwie najtrudniej jest pogodzić się z utratą Ukrainy. Pańskim zdaniem, jest to kraj kluczowy dla układu sił w środkowej i wschodniej Europie.*

Z.B.: – To prawda. Bez Ukrainy nie ma imperium rosyjskiego. Administracja prezydenta Clintona to w końcu zrozumiała. Waszyngton bardzo poważnie Ukrainie pomaga. Pomoc dla Ukrainy jest dziś większa niż dla Rosji.

L.U.: – *Rozmawiałem niedawno, m.in. na temat marcowych wyborów na Ukrainie, z ministrem Geremkiem. Jego zdaniem, ewentualny sukces ukraińskiej lewicy nie musi oznaczać jakiegoś automatycznego niebezpiecznego zwrotu Kijowa w kierunku Moskwy. Czy zgadza się Pan z jego zdaniem?*

Z.B.: – Całkowicie. Nikt naturalnie nie powinien życzyć sobie sukcesu komunistów czy postkomunistów. Odnoszę jednak wrażenie, że nawet na lewicy nie ma widocznej tendencji do powrotu do okresu „przodującej roli Moskwy”. Poczucie państwowości ukraińskiej jest dziś widoczne wśród młodzieży ukraińskiej, nowej klasy politycznej i względnie ugruntowane nawet na lewicy.

L.U.: – *Ukrainie nie grozi więc model białoruski?*

Z.B.: – Wszystko jest możliwe, ale nie sądzę aby taka groźba naprawdę istniała. Ukraina to nie Białoruś. Poczucie odrębności narodowej jest i było na Białorusi znacznie mniejsze niż

na Ukrainie. Rusyfikacja posunęła się tam znacznie dalej. Nie widzę analogii między znaczącymi przywódcami lewicy ukraińskiej a Łukaszenką. Naturalnie, niezależnie od tego założenia, Zachód powinien dać jakiś bardzo wyraźny znak swego poparcia dla niepodległej Ukrainy.

L.U.: – W toku cytowanej rozmowy zapytałem ministra Geremka o dziwny pomysł konkurencyjnego do polsko-niemiecko-francuskiego „trójkąta z Weimaru”, innego „trójkąta”: francusko-niemiecko-rosyjskiego. Powiedział mi, że żaden z licznych jego ostatnio rozmówców francuskich i niemieckich nie mógł wskazać autora tego pomysłu. Co Pan o tym wie?

Z.B.: – Farsa. Pomysł komiczny. Potrójny efekt negatywny: Anglicy są wściekli bo wykluczeni, Polacy zaniepokojeni, Amerykanie zdezorientowani, bo nie wiedzą czy się śmiać czy po prostu zlekceważyć.

L.U.: – Rosja podpisała układ o współpracy z NATO. Czy oznacza to faktyczne pogodzenie się Moskwy z rozszerzeniem NATO o trzy kraje Europy Środkowej?

Z.B.: – W zasadzie tak. Sądzę, że ten proces już nastąpił i że rosyjska elita polityczna skoncentruje teraz swe wysiłki na dążeniu do uzyskania moratorium na dalsze etapy rozszerzenia NATO. Nie wykluczam zresztą, że następne pokolenie polityków rosyjskich zrozumie, że sąsiadowanie z demokratycznymi państwami-członkami NATO, ma swoje dobre, stabilizacyjne strony.

L.U.: – Jakie są szanse ratyfikacji w senacie USA?

Z.B.: – Jestem przekonany, że senat USA ratyfikuje rozszerzenie NATO i to raczej przekonującą większością. Proces ten ma poparcie zarówno sporej większości amerykańskich elit, co i opinii publicznej. Utrwaliło i upowszechniło się przekonanie, że ekspansja NATO leży w interesie USA.

L.U.: – A przecież niektóre poważne pisma amerykańskie (New York Times przede wszystkim) oraz spore grono znanych osobistości świata politycznego (wystarczy wymienić Kennana czy Pipesa) wypowiedziało się i ciągle się wypowiada przeciw rozszerzeniu NATO, posługując się właściwie argumentacją jakby zaczerpniętą z arsenatu rosyjskiego. Jak można wytłumaczyć taką zbieżność?

Z.B.: – To prawda. Są głosy przeciwne temu procesowi, a New York Times rzeczywiście prowadzi prawdziwą kampanię przeciwko rozszerzaniu NATO, atakując ten projekt w swych właściwie cotygodniowych wstępniakach. Pełną miarę wpływów New York Times'a ujawni procent negatywnych głosów w czasie procedury ratyfikacyjnej.

L.U.: – Bałtowie uważają, że imperialne aspiracje Rosji, które Pan przywołuje w swojej książce, dotyczą także ich. Bałtowie, praktycznie biorąc, nie mają szans na szybkie wejście pod parasol NATO. W jaki sposób można uspokoić ich obawy?

Z.B.: – Dalszy ciąg ekspansji NATO, to kwestia decydująca o przyszłości sojuszu. Spodziewam się, że kolejna tura obejmie raczej kraje z południa Europy, np. Rumunię. Państwa bałtyckie znajdują się, moim zdaniem, dopiero w trzeciej fali. W międzyczasie jednak, „Karta Amerykańsko-Bałtycka” powinna przekonać Bałtów, że naszym ostatecznym celem jest także ich obecność w NATO.

L.U.: – Pańska książka spotkała się z ostrą krytyką niektórych kół rosyjskich. Jeden z autorów posunął się do propozycji... aresztowania Pana gdyby się Pan zjawił na terytorium Rosji. Czy jest Pan rzeczywiście persona not grata w Moskwie?

Z.B.: – Reakcje na moją książkę były w Rosji raczej mieszane. Niektórzy wyrażali oburzenie, inni jednak rozumieli, że sens moich spostrzeżeń i propozycji leży w długofalowym interesie Rosji. Jedna z gazet istotnie zaproponowała, aby uznać mnie za persona non grata i nawet aresztować gdybym przekroczył

granice Rosji. Trzeba jednak dodać, że propozycja ta spotkała się z ripostą innej gazety, w tym przypadku masowej, wielonakładowej *Komsomolskiej Prawdy*. Moja konkluzja jest w końcu bardzo prosta: sprowadza się do stwierdzenia, że aby podnieść się ze zniszczeń komunizmu, społeczeństwo rosyjskie i Rosja muszą stać się bardziej nowoczesne, bardziej demokratyczne i bardziej europejskie.

L.U.: – *Dlaczego więc tak ostra krytyka?*

Z.B.: – Nie wiem. Powiadam w mojej książce, że społeczeństwo rosyjskie poniosło, w ciągu tego wieku, więcej strat i cierpień niż jakakolwiek inna grupa (z wyjątkiem Żydów) i staram się nawet skonstruować coś w rodzaju chronologii wydarzeń, które do tego doprowadziły. Życzę narodowi rosyjskiemu, aby udało mu się przekształcić się w naprawdę nowoczesne, europejskie i demokratyczne społeczeństwo, tak aby mógł on – tak jak dzisiejsze Niemcy, czy nawet Polska – korzystać z dobrodziejstw normalnego życia. Dodaję także, że według danych dla ubiegłego wieku, Rosja nie była w sytuacji gorszej od zachodniej Europy i że gdyby normalna historia Rosji nie została brutalnie przerwana, kraj ten żyłby dziś tak dostatnio jak np. Niemcy. Czy to znaczy, że jestem antyrosyjski?

L.U.: – *A może chodzi tu o negację mocarstwowej roli Rosji?*

Z.B.: – Chyba nawet na pewno. Moim zdaniem supermocarstwem jest kraj o decydującej roli gospodarczej, na najwyższym aktualnie poziomie technologicznym, szerokiej strefie wpływów kulturalnych no i naturalnie globalnym zasięgu wojskowym. Tylko połączenie tych czterech czynników sprawia, że jakiś kraj może się uważać za supermocarstwo. Rosja nie spełnia żadnego. Tylko jeden kraj na świecie, Stany Zjednoczone, może pretendować do takiego statutu.

L.U.: – *Wydaje się Pan nie doceniać arsenału atomowego. Tysiące głowic i rakiet nuklearnych to także atrybut politycznej mocarstwowości...*

Z.B.: – Niekoniecznie. W żadnym wypadku nie mogą zastąpić czterech kryteriów o jakich mówiłem. Indie czy Izrael także dysponują możliwościami nuklearnymi, a nie mogą aspirować do rangi supermocarstwa. Broń atomowa, to instrument ostatecznego zastosowania, nieprzydatny do prowadzenia bieżącej dyplomacji. W oczach Ameryki, nie uzasadnia to globalno-mocarstwowych pretensji Rosji.

L.U.: – *A przecież Clinton i Jelcyń pozornie w przyjaźni, mówią do siebie „per ty”, per „Bill” i „Borys”...*

Z.B.: – Tak jest. To śmieszne. To nie są przyjaciele, coż oni mają ze sobą wspólnego? Taka „fraternizacja” stwarza fałszywe wrażenie i ukrywa istotne elementy sytuacji.

L.U.: – *Rosyjska niechęć wobec Pana ma jednak szerszy zasięg...*

Z.B.: – Może dlatego, że jestem ostro krytyczny wobec obecnej rosyjskiej elity politycznej. Z małymi wyjątkami, wszyscy jej członkowie nie tylko urodzili się w Rosji sowieckiej, ale należeli do wysokiego komunistycznego aparatu rządzenia. Nie ma wśród nich dysydentów, członków podziemna antykomunistycznej opozycji, jak np. w Polsce lub w Czechach.

L.U.: – *W wywiadzie dla Komsomółki był Pan ostrzy w ocenie tej grupy...*

Z.B.: – Tak i nie żałuję tego. Wywiad wywołał spore echo, także w rosyjskich mediach. Jestem pod wrażeniem (negatywnym) słabości intelektualnej tej części elity, braku jej poczucia rzeczywistości. Przecież nawet dla niespecjalistów jest jasne, że Rosja nie jest już supermocarstwem, a jest tylko potęgą regionalną, dysponującą, to prawda, poważnym potencjałem nuklearnym, ale o gospodarce tkwiącej w Trzecim Świecie. Pretensje Rosji do równorzędnej roli z USA są pozbawione sensu. Ameryka nie mogłaby dzielić globalnej władzy z Rosją nawet gdyby chciała. Rosja jest za słaba, wyniszczona komunizmem, i zbyt zacofana społecznie aby móc odgrywać

globalną rolę. Niemcy, Japonia czy Chiny są co najmniej równie ważne dla USA. Moim zdaniem, mentalność obecnej politycznej klasy w Rosji ma swe korzenie właśnie w nostalgii za utraconą pozycją wielkomocarstwową, której towarzyszy, w indywidualnym wymiarze, skrajnie agresywna tendencja do bogacenia się za wszelką cenę. Uderzające jest np., że tak zwany nowy rosyjski *businessman* nie inwestuje w Rosji, a eksportuje swój kapitał za granicę. Obserwuję przepaść między ogromną większością społeczeństwa rosyjskiego, zagrożoną w walce o przetrwanie a rosyjską elitą, zajęta budową luksusowych rezydencji i inkasowaniem zysków ze współpracy z zachodnimi przedsiębiorcami...

L.U.: – ... *nawet bez współpracy.*

Z.B.: – Zgadza się, nawet bez współpracy. Według danych Banku Światowego, zachodni transfer finansowy (instytucje i prywatni inwestorzy) do Rosji sięga 130 miliardów dolarów. Spora część tego, ogromnego majątku (65 do 70 miliardów) zawłaszczona została, po prostu skradziona, przez członków tego, co się określa jako rosyjską elitę i, jak już powiedziałem, wraca z powrotem, ale już jako majątek rosyjskich *businessman*'ów, wywieziona na Zachód. To wszystko współtworzy obecną demoralizację Rosji.

L.U.: – *Jaka rada?*

Z.B.: – Nie przypuszczam, aby Rosja mogła tej demoralizacji postawić tamę zanim społeczeństwo rosyjskie nie stanie się bardziej zdecentralizowane, zanim obywatele w rozmaitych regionach nie przejmą odpowiedzialności za ich własny los. Dziś najważniejszym celem jest zredukowanie widma anarchii i nostalgii za dyktaturą. To samo dotyczy sytuacji w strefie zewnętrznej, której stabilizacja miałaby pozytywny wpływ na samą Rosję. Jeżeli Azja Środkowa, Kaukaz czy Ukraina wejdą w fazę rozwoju, Rosja także z tego skorzysta.

L.U.: – *Z wyjątkowo ostrą reakcją spotkała się Pańska teza, że USA prowadzi nie dość aktywną politykę na obszarze Azji Środkowej i Kaukazu. Mówi Pan nawet o amery-*

*kańskim „priorytecie” na tym obszarze, określonym przez Pana jako „Bałkany Euroazji”. Czy chodzi Panu głównie o ogromne (Morze Kaspijskie) rezerwy nafty i gazu?*

Z.B.: – Tak. Uważam, że jest to naprawdę centralny problem zagranicznej polityki amerykańskiej. Nie tylko jednak dlatego, że jest to – co jest prawdą – region przebogaty w surowce energetyczne, ale i dlatego, że jest to strefa potencjalnie niosąca groźbę chaosu i wielkiej destabilizacji, o kontrolę której może dojść do ostrego starcia (Rosja, Iran, Turcja). Stany Zjednoczone powinny starać się nie dopuścić do tych konfliktów, przeciwdziałać aspiracji jakiegokolwiek państwa do przejęcia faktycznego *leadership*'u w tym rejonie.

L.U.: – *W jaki sposób?*

Z.B.: – Udzielając jak największej pomocy kluczowym państwom w tym rejonie, to znaczy Kazachstanowi, Uzbekistanowi i naturalnie Azerbejdżanowi. Azerbejdżan może otworzyć Zachodowi dostęp do bogactw Morza Kaspijskiego. Może także, wprost przeciwnie, odciąć Środkową Azję od Zachodu i stać się ewentualnie instrumentem kolonialnej polityki Rosji. Stąd moja sugestia aby otworzyć szeroko dostęp Azji Środkowej do zachodniej technologii i zachodniego kapitału. Wbrew pozorom, nie jest to wcale stanowisko antyrosyjskie. Odwrotnie: prowadzi ono do stworzenia warunków, których beneficjentami byłiby wszyscy zainteresowani, włącznie z Rosją.

L.U.: – *A propos nafty, bardzo ostro wyraża się Pan o polityce sankcji czy embarga, prowadzonej przez USA wobec Iraku i Iranu. Oba te kraje gwałcą zarówno rezolucje ONZ co i ogólne zasady dotyczące praw człowieka. Jaką inną politykę niż sankcji należałoby wobec nich prowadzić?*

Z.B.: – Sankcje to bardzo tępe narzędzie, które jest skuteczne tylko pod warunkiem jego zbiorowego stosowania, na międzynarodowej bazie. Słabość sankcji skierowanych przeciw Iranowi czy Kubie to ich źródło tkwiące w wąskich interesach

amerykańskich grup nacisku. Nalegają one na stosowanie sankcji bez uwzględniania szerokich celów amerykańskiej polityki zagranicznej i niezależnie od braku międzynarodowego poparcia, bez którego sankcje nie mogą być skuteczne.

L.U.: – *Chiny i USA to według Pana „naturalny sojusz”. Tymczasem, jeszcze niedawno, Jelcyń i Ziang mówili o „strategicznym partnerstwie” Chin i Rosji, jako geo-politycznym instrumencie, którego celem jest stawianie tamy dominacji amerykańskiej. Jak Pan godzi te dwa stanowiska?*

Z.B.: – Chiny i Stany Zjednoczone mają wspólne interesy strategiczne. Chodzi tu przede wszystkim o Azję środkową i południowo-wschodnią, a także o stabilizację w północno-wschodniej Azji. Chiny potrzebują zachodniej technologii i zachodniego kapitału. Ani ta technologia ani ten kapitał nie mogą być dostarczone przez Rosję. Dlatego wszelkie aluzje do specjalnych stosunków między Rosją a Chinami to polityczna retoryka i mogą mieć wyłącznie taktyczny charakter, podczas gdy stosunki między Chinami a Ameryką mogą zostać oparte o trwałe, długoterminowe interesy.

L.U.: – *Proponuje Pan aby do G-8 (grupa siedmiu najbardziej uprzemysłowionych krajów już z Rosją. Red.) dodać Chiny i przekształcić to ciało w G-9. Czy nie będzie to nowe wydanie Rady Bezpieczeństwa ONZ? Dlaczego nie Indie czy Brazylia?*

Z.B.: – Od wielu lat sugeruję włączenie Chin do G-7. Powitałbym gorąco dołączenie Indii i Brazylii. Takie G-10 mogłoby stać się załącznikiem struktury globalnej władzy z korzyścią dla międzynarodowej stabilizacji.

L.U.: – *Nie wyraża się Pan z sympatią o Europie. Określa ją Pan jako „amerykański przyczółek”, a nawet „protektorat”. To nie jest komplement. Europa ma własne ambicje. Zawsze myślałem, że Wielka Brytania to najpewniejszy sojusznik USA w Europie. A tymczasem powiada Pan, że jest to kraj w „pełnej degrengoladzie geopolitycz-*

*nej”. Najwyraźniej woli Pan oś Paryż-Bonn. Dlaczego?*

Z.B.: – Jestem zwolennikiem przywódczej roli niemiecko-francuskiej, ponieważ te dwa kraje są naprawdę zainteresowane w budowie Europy. Wielka Brytania zajmuje inne stanowisko. Na dłuższą metę, uważam, że zjednoczona i rozszerzona Europa jest zasadniczym czynnikiem ogólnej stabilizacji i żałuję, że Wielka Brytania postanowiła pozostać na marginesie.

L.U.: – *Czy zgodzi się Pan, że zasadnicza teza Pańskiej książki o hegemonii amerykańskiej odpowiada w sensie politologicznym modnej do niedawna formule Francisa Fukuyamy o „końcu historii”?*

Z.B.: – Nie. Bardzo wyraźnie stawiam tezę o Ameryce jako pierwszej potędze globalnej, ale formułuję także hipotezę, że może to być taka potęga ostatnia. Nie sądzę, aby moje poglądy miały stanowić prognozę na wieczność. Bardzo wyraźnie mówię o klamrze jednego czy dwóch pokoleń. Ale, powtarzam, że moim zdaniem, w ciągu tego okresu amerykański *leadership* jest zasadniczy dla ogólnej stabilizacji i że bez tego *leadership* 'u świat poszedłby w kierunku chaosu.

L.U.: – *To samo dotyczy innej książki „kultowej” pióra Samuela Huntingtona o nie uniknionym starciu nie państw i nie klas, a cywilizacji (religii). Czy Pańska analiza sytuacji „Na wielkiej szachownicy” nie przeczy całej konstrukcji Huntingtona?*

Z.B.: – Przeczy. Nie sądzę, że konflikty międzynarodowe mogą wybuchać z powodu „cywilizacji”. Co więcej, uważam, że właśnie z powodów strategicznych, współdziałanie i sojusze wielokulturowe są możliwe i pożądane.

L.U.: – *Jakie wnioski z Pańskiej analizy może, w odniesieniu n.p. do stosunków z Rosją, wysnuć Warszawa?*

Z.B.: – Jestem przekonany, że integracja Polski w NATO stworzy subiektywne warunki dla prawdziwego pojednania

polsko-rosyjskiego. Upatruję podobieństwa tego procesu do pojednania francusko-niemieckiego, no i do obecnego podobnego zbliżenia polsko-niemieckiego. Oba te procesy pojednania stały się możliwe w atmosferze bezpieczeństwa wytworzonej przez sojusz euro-atlantycki. Będąc wewnątrz tego sojuszu, Polska znajdzie się w znacznie bardziej dogodnej pozycji aby do zbliżenia z Rosją prowadzić, co leży w interesie i Polski, i Rosji.

L.U.: – Kultura wydrukowała niedawno spory materiał na temat ostatnio wydanej we Francji książki pt. „Czarna księga komunizmu”. Książka wywołała bardzo ostre ataki ze strony nie tylko komunistów, ale, szerzej biorąc, lewicy. Dwa m.in. aspekty wywołały wyjątkowy spór: porównanie nazizmu i komunizmu oraz uznanie zbrodni komunizmu za zbrodnię przeciwko ludzkości. Czy byłby Pan skłonny zgodzić się z tymi definicjami?

Z.B.: – Uważam komunizm i nazizm za produkty bardzo podobnej utopijnej mentalności, sprowadzającej się do całkowicie cynicznej pogardy dla ludzkich wartości. W jednym przypadku, niszczenie przeciwnika miało być uzasadnione kryteriami rasy, w drugim – kryteriami klasy, ale celem obu systemów była budowa społeczeństwa doskonałego na kościach ofiar. Dlatego zawsze byłem zdania, że nazizm i komunizm są częścią podobnego, całkowicie niemoralnego zjawiska.

L.U.: – 150-lecie „Manifestu Komunistycznego” odbiło się pewnym echem na świecie. Jakie miejsce, według Pana, zajmuje dziś jeszcze marksizm w polityce i nauce?

Z.B.: – Jest to intelektualny anachronizm, proponujący prymitywne odpowiedzi na bardzo skomplikowane wyzwania filozoficzne i społeczne, jakie niosła XIX wieczna rewolucja przemysłowa.

L.U.: – W Pańskiej książce określa Pan mauzoleum Lenina jako symbol nostalgii prosowieckiej i porównuje to do sytuacji, w której w centrum dzisiejszego Berlina istniałoby mauzoleum Hitlera...

Z.B.: – Nie chodzi o anegdotę. Naprawdę bardzo żałuję, że postsowiecka Rosja do dziś nie potrafiła kategorycznie zerwać z leninowską tradycją. Świadczy to o ogromnej sile, z jaką przeszłość ciąży na rosyjskiej rzeczywistości.

L.U.: – *Rozmawiałem niedawno z Genadijem Ziuganowem, szefem rosyjskiej partii komunistycznej. Zapytany o Pańską książkę, o której słyszał, ale której nie czytał, odpowiedział, że „Rosja z każdej smuty wychodziła wzmocniona i tak będzie i tym razem...”. Co chciałby Pan mu odpowiedzieć?*

Z.B.: – Że takie rozumowanie przedłuża okres smuty o jakiej wspomnieliśmy na początku naszej rozmowy.

Rozmowa została przeprowadzona w pierwszych dniach marca 1998 r.

Leopold UNGER

## Trudna droga do Rygi

W dniach 22-23 stycznia 1998 odbyło się w Rydze drugie spotkanie na szczycie CBSS (Council of the Baltic Sea States), w którym wzięli udział szefowie rządów pięciu państw nordyckich, trzech – bałtyckich oraz Niemiec, Polski i Rosji, a także przewodniczący Komisji Europejskiej, Jacques Santer. Z biorących udział w szczycie państw, Norwegia i Islandia, nie leżą oczywiście nad Bałtykiem, ale z racji uczestnictwa w Radzie Nordyckiej uznaje się ich polityczną, a zwłaszcza gospodarczą przynależność do regionu Morza Bałtyckiego.

(Mówiąc szczerze, za największe osiągnięcie szczytu w Rydze należy uznać to, że się w ogóle odbył. Choć bowiem

media, przynajmniej nordyckie i niemieckie, dyskretnie milczały o kontrowersjach między państwami Rady, a przygotowujący szczyt dyplomaci i uczestnicy rządowi mieli usta pełne frazesów o braterstwie i współpracy, nie było wcale pewne, czy do spotkania w Rydze dojdzie, ani jakie będą na nim poruszane tematy.)

Przypomnijmy, że pierwsze posiedzenie Rady Państw Morza Bałtyckiego odbyło się w pięknym, hanzeatyckim mieście Visby na wyspie Gotlandii w maju 1996 [pisałiśmy o nim w *Kulturze* 7-8/1996]. Następny szczyt miał się odbyć w Rydze, ale już latem 1997; wybór stolicy Łotwy wynikał po prostu z tego, że kraj ten przejął od Szwecji z początkiem lipca 1997 rotacyjne przewodnictwo Rady. W końcu do spotkania doszło wprawdzie w Rydze, ale dopiero w styczniu 1998, gdy kolejnym przewodniczącym CBSS jest Dania.

Różne były przyczyny odwołania kolejnego posiedzenia Rady. Należy pamiętać, że region Bałtyku jest strefą szczególną: tu ścierają się interesy państw, które już są członkami Unii Europejskiej, państw, które do tego ekskluzywnego klubu dopiero chcą się dostać, a także Rosji, a więc *ex necessitate* Stanów Zjednoczonych, nadal prowadzących politykę globalną.

Premier Persson miał niewątpliwie rację, gdy mówił, że nie jest łatwo stworzyć *network* w rejonie ogromnych napięć, wynikających z różnic gospodarczych i polityczno-systemowych między tworzącymi go państwami (*DN*, 24 I 1998.)

Przed wszystkim Rosja nie chciała się wpiąć w zgodzić na szczyt w Rydze, motywując to dyskryminacją mniejszości rosyjskiej na Łotwie. Gdy w końcu do spotkania w Rydze doszło, hotel – w którym zakwaterowano szefów rządów – pikietowany był przez przedstawicieli Rosjan na Łotwie, a premier Czernomyrdin poruszył ich problem na dwustronnym spotkaniu z prezydentem Ulmanisem. Powiedzmy tu od razu, że Estonia i Łotwa nie potrafiły rozwiązać problemu pokaźnych liczebnie mniejszości rosyjskich ze zręcznością Litwy; w tych dwóch krajach bałtyckich Rosjanie są dyskryminowani, zwłaszcza na rynku pracy, choć nie w stopniu większym niż imigranci w Niemczech czy Szwecji. Porównanie to jest o tyle zasadne, iż przedstawiciele władz

estońskich i łotewskich twierdzą właśnie, że Rosjanie w ich krajach nie są żadną mniejszością narodową, ale imigrantami, którzy napłynęli w ślad za sowiecką armią okupacyjną.

Początkowy opór Rosji nie był wcale jedynym, ani nawet najważniejszym, powodem opóźnienia bałtyckiego szczytu.

Pomysłem premiera Szwecji Perssona, odpowiedzialnego za koordynację współpracy bałtyckiej, było stworzenie nowej *task force*, złożonej z wysokich urzędników rządowych podporządkowanych bezpośrednio premierom. Organ ten miałby się zająć problemami ciągle dużych przeszkód w wymianie handlowej i inwestycjach przemysłowych po wschodniej stronie Bałtyku.

Koncepcji tej otwarcie przeciwstawiała się Dania, uważająca że politycznych bytów nie należy mnożyć bez potrzeby, a istniejące problemy strona zachodnia powinna rozwiązywać wyłącznie przy pomocy już istniejących instytucji Unii Europejskiej.

Premier Persson znajdował się pod pewnym naciskiem wielkiego *business*'u szwedzkiego, który ostatnio poniósł w Rosji kilka poważnych strat; np. koncern drzewno-papierniczy ASSI wycofać się musiał z projektu w rosyjskiej Karelii, który kosztował bardzo poważną sumę 605 milionów SEK. Mówiąc krótko, dyrektorzy wielkich firm uważali, że dobrze byłoby mieć w Rosji awaryjnego rozmówcę o dużych kompetencjach, tzn. stojącego możliwie blisko premiera Czernomyrdina, zwycięzcy w większości ostatnich „walk klanów”.

Stanowisko Szwecji popierała Norwegia i to nie tylko dlatego, że kraj ten cierpi na obrzydliwy wręcz nadmiar naftowo-gazowych pieniędzy. Po prostu Norwegia nie jest członkiem Unii Europejskiej, a więc przy pokonywaniu jakichkolwiek przeszkód nie może liczyć na pomoc instytucji europejskich.

Natomiast dla przeciętnego czytelnika nieco mniej jasny był fakt, że stanowisko Danii poparła Finlandia. Tłumaczy to jednak szczególna sytuacja tego kraju, jak dotychczas jedynego członka Unii, który graniczy z Rosją, i to na długości 1200 km. Premier Paavo Lipponen, dość powszechnie uznawany za polityka nader wybitnego, uważa, że w roku 1995 otrzymała Finlandia wielki dar 10 lat. Dla Norden koniunktura polityczna w Europie będzie trwała do momentu



przyjęcia do Unii nowych członków z Europy Wschodniej, co nastąpi około roku 2005 (bo oczywiście zakładanej w Polsce: daty 2000 nikt na Zachodzie poważnie nie traktował, a jeżeli czasami wymieniał ją nawet jakiś zachodni polityk, to z oczywistym *reservatio mentalis*: „jeżeli do tego czasu byłyby spełnione warunki członkostwa”). Tak więc do około roku 2005, twierdzi premier Lipponen, Unia musi wypracować to, czego chwilowo nie posiada: rzeczywiście wspólną, skoordynowaną politykę dla regionu Bałtyku, Morza Barentsa i Arktyki, uwzględniającą ogromne problemy tych obszarów. Są one nie tylko natury politycznej, ale przede wszystkim energetycznej i ekologicznej (funkcjonujące na granicy katastrofy elektrownie jądrowe, zwłaszcza Ignalina; niezdolne do ruchu, postsowieckie łodzie podwodne o napędzie atomowym, rdzewiejące w arktycznych bazach etc.). Paavo Lipponen jest zdania, że ekspansja Unii na Wschód jest ceną, którą Zachód musi zapłacić za stabilizację w Europie, ale że przyjęcie nowych członków stworzy problemy tak poważne, iż Unia ani nie będzie mogła, ani chciała zajmować się wówczas jakimś subpolarnym Norden. Trzeba więc wykorzystać czas przed rozszerzeniem i Brukseli nie drażnić, a wszak Jacques Santer bynajmniej nie był entuzjastą pomysłu premiera Perssona. Warto też nadmienić, że akurat Finlandia nie potrzebuje w Rosji dla swojego *business*'u żadnego „załatwiacza” przy premierze. Finowie są świetnymi, praktycznymi znawcami Rosji: wiedzą jak się tam poruszać, jak tworzyć *lobbies*, komu i ile „dać” oraz jakiemu konkurentowi utrudniać życie przy pomocy... rosyjskich władz podatkowych.

Według źródeł szwedzkich Wiktor Czernomyrdin odniósł się przychylnie do pomysłu premiera Perssona, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Ruina, do jakiej doprowadził Rosję komunizm, pociąga już za sobą biologiczną degradację społeczeństwa i w tej sytuacji premier Rosji może tylko prosić o pomoc i pieniądze (co też i w Rydze czynił).

Wobec wyraźnie zarysowanego konfliktu Persson-Bondevik *contra* Rasmussen-Lipponen los szwedzkiego pomysłu zależał – jak to określa Percy Barnevik – od Szefa. Helmut Kohl ideą nie był zachwycony i 22 stycznia Göoran Persson

oświadczył na konferencji prasowej, że wycofuje się z postulatu utworzenia międzynarodowej grupy specjalnej do zwalczania przeszkód handlowych i inwestycyjnych.

Przy przygotowywaniu spotkania CBSS w Rydze powstał jeszcze dodatkowo problem amerykański. Wiadomo było od dawna, że rząd USA pragnął, aby w bałtyckim szczycie jako obserwator wziął udział zastępca sekretarza stanu, Strobe Talbott, którego kalendarz wizyt tak ustalono, aby przebywał on w tym czasie w państwach nordyckich. Premier Łotwy, Guntars Krasts nalegał, aby Talbott mógł przynajmniej wziąć udział w nieformalnym śniadaniu przed rozpoczęciem samych obrad. Talbotta jednak w Rydze nie było, gdyż z różnych przyczyn nie zyczyli sobie tego kanclerz Kohl i premier Persson.

Konieczna jest niestety wyjaśniająca dygresja, gdyż choć akurat Strobe Talbott jest politykiem widzącym na świecie głównie Rosję, to w oczach wielu Polaków, a zwłaszcza obecnej konstelacji rządowej, niedopuszczenie Amerykanina na jakiś szczyt polityczny stanowi horrendum. Jednakże zasadą szczytu CBSS jest, iż nie są tam omawiane problemy bezpieczeństwa, rozszerzenia NATO etc. Kanclerz Kohl słusznie mógł się obawiać, iż w wypadku udziału członka amerykańskiego rządu, posiedzenie Rady sprowadzi się *de facto* do dysputy Czernomyrdin-Talbott o ekspansji Paktu Północnoatlantyckiego, w której szefowie pozostałych rządów będą statystami.

Ponadto był też jeszcze inny powód niedopuszczenia Talbotta: Stany Zjednoczone wyszły z zimnej wojny jako supermocarstwo zwycięskie, *ergo* – jedyne. Nikt nie zagraża Ameryce i nikt jej w przewidywalnej przyszłości zagrożić nie może. Amerykańska *prosperity* nie wymaga już od USA pełnienia roli żandarma świata; sami Amerykanie mówią otwarcie, że wolą teraz odgrywać rolę szeryfa. Ważkie to rozróżnienie: *gendarme* ma zawsze automatyczne oparcie w całym aparacie przymusu, *sheriff* (z „końskiej opery”) zależny jest w razie potrzeby od orężnej pomocy obywateli, którzy go wybrali. USA nie muszą już być żandarmem, gdyż Związek Sowiecki nie istnieje, a amerykańskiej hegemonii bardziej niż Rosja zagraża dziś EMU, której euro może stać się walutą światową, w pełni konkurencyjną wobec dolara. *Da liegt der*

*Hund begraben.* Kanclerz Kohl widzi w powstaniu EMU – która nie jest tylko projektem ekonomicznym, ale przede wszystkim politycznym – największy triumf swojej polityki jednoczenia Europy. Amerykanie nie chcą w EMU uwierzyć i Europę, z peryferyjną Szwecją i Finlandią włącznie, objeżdżają zastępy amerykańskich profesorów i innych ekspertów, którzy głosili, że cały pomysł jest szalony i udać się nie może. Helmut Kohl wyraźnie zaakcentował, że szczyt w Rydze jest sprawą Europy i Rosji, a ponieważ problemy bezpieczeństwa nie będą omawiane, to i żaden szeryf nie jest potrzebny, a już zwłaszcza taki, który wątpi w trwałość fundamentu europejskiej polityki kanclerza Niemiec.

Zupełnie inne były powody stanowiska premiera Perssona. Warto wspomnieć, że Strobe Talbott przebywał w Szwecji w dniach 19 i 20 stycznia jako obserwator konferencji Rady Regionu Morza Barentsa, która odbywała się w Lulea. Talbott przyleciał po rozmowach z norweskim premierem i ministrem spraw zagranicznych, a ze Szwecji udał się do Helsinek, gdzie został przyjęty przez prezydenta, premiera i szefa fińskiego MSZ. Dyplomacja amerykańska zwróciła się też naturalnie z prośbą o przyjęcie Talbotta przez premiera Szwecji, proponując dzień 20 stycznia wieczorem. Prośba ta została odrzucona pod zabawnym pretekstem, iż tego wieczoru premier Persson musi wziąć udział w nabożeństwie żałobnym, a ponadto przygotować się do parlamentarnej debaty liderów szwedzkich partii w riksdagu. „Brak czasu” premiera Perssona oraz jego wcześniejsze, niechętnie stanowisko wobec możliwości udziału Talbotta w szczycie ryskim, wynikały z faktu, że – jak to powiedział Bill Clinton – dokument partnerstwa podpisany niedawno w Waszyngtonie przez prezydentów USA, Estonii, Litwy i Łotwy może w przyszłości państwom bałtyckim uchylić drzwi do NATO. Jest bardzo znamienne, że szwedzka minister spraw zagranicznych, Lena Hjelm-Wallén – przemawiając w Sälen dn. 19 stycznia, w dniu przyjazdu Talbotta do Szwecji – stwierdziła, że oczywiście każdy kraj ma niezbywalne prawo wyboru polityki bezpieczeństwa, ale konstatację tej oczywistości zaopatrzyła zaraz w następujące zastrzeżenie: „Równocześnie jest też ważne, aby każdy kraj umiał zagwarantować swoje własne bezpieczeństwo w sposób umacniający bezpieczeństwo wspólne”.

Mówiąc inaczej, Bałtowie mają niezbywalne prawo do członkostwa w NATO pod warunkiem, że nie wywoła to złości ich sąsiadów, a zwłaszcza Moskwy. Niechęć Perssona wobec możliwości ujrzenia Balticum w NATO tłumaczyć należy nie tylko owym sławnym „strachem przed Rosją” („rysskräck”), jaki Szwedzi mają rzekomo już genetycznie zakodowany. Bałtowie w NATO, to i Finlandia w NATO, a wtedy i Szwecja wpada w objęcia Paktu niczym przejrzały owoc, co przynajmniej dla socjaldemokratów musi mieć poważne konsekwencje wewnętrzne polityczne.

Osobiście za najważniejszy wynik szczytu ryskiego uważam decyzję zwiększenia nakładów finansowych na rozwój IT w regionie oraz potwierdzoną wolę koordynacji rynku i sieci energetycznej dookoła Bałtyku [tzw. projekt Baltic Ring, o którym pisaliśmy w *Kulturze* nr 9/1997]. Wykorzystanie IT, a zwłaszcza wszystkich możliwości, jakie oferują połączenia sieciowe komputerów, po wschodniej stronie Bałtyku wygląda jeszcze jako tako u estońskiego „prymusa”, ale już smętnie w Polsce, na Litwie i Łotwie (o Rosji w ogóle mówić nie warto), szczególnie jeżeli chodzi o wdrażanie do tych technik młodzieży szkolnej. Natomiast wagę wspólnej sieci energetycznej – której praktycznemu utworzeniu poświęcone będzie wkrótce osobne spotkanie techniczne w Oslo – po prostu trudno przecenić. W projektach tego rodzaju Polska z oczywistych względów nie może być równorzędnym partnerem nawet Szwecji, chociażby i dlatego, że polski GDP/capita wynosi 3,5 tysiące USD, szwedzki GDP/capita – 28,9 tysięcy dolarów. Jednak i Polska może coś zrobić o ile obecny rząd zrozumie wagę wprowadzania IT pod dachy szkół czy znaczenie BALTREL-u (Baltic Ring Electricity Cooperation).

Ustalono ponadto, że ministrowie handlu 11 państw CBSS mają wkrótce spotkać się w Sztokholmie lub – w Wilnie i dyskutować o intensyfikacji rozwoju małych i średnich firm w regionie. Szwedzki minister handlu Leif Pagrotsky uważa, że w sumie sprowadzać się to musi do rozmów o przewyżnianiu przeszkód handlowych i inwestycyjnych. Nadmienimy, że w wypadku Polski inwestorzy szwedzcy skarżą się głównie na nieustanną zmienność warunków: analizy przygotowane 4-5 miesięcy temu są już dziś nieaktualne.

Premier Czernomyrdin „odgrzał” w Rydze swój dawny pomysł z września 1997 (przejęty później przez prezydenta Jelcyna) o udzieleniu Bałtom rosyjskich gwarancji bezpieczeństwa. Nikt tego nie traktował poważnie. Ponadto Wiktor Czernomyrdin apelował głównie o pomoc finansową i inwestycje, podkreślał, że region Kaliningradu mógłby stać się „bałtyckim Hongkongiem”. To zresztą prawda.

W sumie więc politycy powinni uznać, że warto jechać do Rygi mimo wszystkich trudności i kontrowersji.

### Aktywność wywiadu rosyjskiego

Nie przypuszczaliśmy, że Rosjanie nadal prowadzą wywiad polityczny w zaprzyjaźnionym i współpracującym z nimi kraju – powiedział minister spraw zagranicznych Norwegii, Knut Vollebaek na pośpiesznie zwołanej konferencji prasowej w dn. 12 marca 1998. Konferencja ta zakończyła trwającą od kilku lat klasyczną grę operacyjną, jaką kontrwywiad norweski prowadził z rosyjską SWR. Jej końcowym efektem jest nie tylko uznanie pięciu dyplomatów rosyjskich w Oslo za osoby niepożądane, ale także odwołanie wizyty premiera Norwegii w Moskwie (Kjell Magne Bondevik miał się tam udać w przyszłym tygodniu).

Zacytowana wypowiedź ministra Vollebaeka nie świadczy bynajmniej, iż jest to człowiek naiwny, który sądzi, że Rosja zlikwidowała swoje służby wywiadowcze. Po prostu w dzisiejszym świecie klasyczny wywiad polityczny traci na znaczeniu, a zyskuje – wywiad naukowo-techniczny (praktycznie zawsze mający znaczenie wojskowe) i wywiad gospodarczy. Błyskawiczna globalizacja postawiła też nowe zadania przed służbami wywiadowczymi. Mówiąc brutalnie, to co zamierza premier Szwecji, Persson, może być informacją mniej lub bardziej interesującą; to, co zamierza Peter Wallenberg i podległe mu – a działające na całym świecie – koncerny jest informacją wartą każdego piędzdy. Pomijam już fakt, że dobry analityk z dużą dozą prawdopodobieństwa odgadnąć może zamiary premiera Perssona, który zależny jest od aparatu swojej partii, uwikłany w konkretne gry polityczne, występujący na przeróżnych spotkaniach, naradach partyjnych i w mediach. Odgadnięcie zamiarów Wallenberga jest prawie niemożliwe, gdyż jego swoboda manewru jest znacznie większa niż premiera, a ponadto Wallenberg z zasady

nie wypowiada się publicznie. To, co mówi się w gabinecie ministra Geremka z natury rzeczy jest mniej interesujące niż narady toczone na 28 piętrze wieżowca HSBC, gdyż po prostu możliwości wpływu państwa polskiego na sytuację polityczną, w różnych częściach świata są znacznie mniejsze niż *Hongkong&Shanghai Banking Corporation* czy innych wielkich firm multinarodowych. Nikogo nie dziwi, że Rosja prowadzi intensywny wywiad naukowo-techniczny i gospodarczy, ale pewnym zaskoczeniem jest fakt, że próbuje infiltrować norweskie kręgi polityczne jak za najlepszych czasów KGB.

Cała afery zaczęła się w roku 1994, gdy ekspert norweskiego ministerstwa administracji, Svein Lamark zauważył narastające zainteresowanie dyplomatów rosyjskich jego osobą i natychmiast zameldował to kontrwywiadowi swojego kraju. Za zgodą służb norweskich Lamark „dał się zwerbować”, wykazując przy tym dużą chciwość na pieniądze. Ta „pazerność agenta” była naturalnie elementem gry: do przeszłości należą dawne dobre czasy, gdy sowieckie wywiady mogły „werbować na Marksa” i dziś agent kontentujący się niskimi stawkami wywołuje natychmiast podejrzenia u swoich mocodawców.

Pominę tu oczywiście całą „kuchnię wywiadowczą” gry Lamarka, jak gdyby zacerpniętą z powieści le Carré’go: opracowywanie tras sprawdzieniowych, częste zmiany środków lokomocji, opróżniania martwych skrzynek *nomen omen* na cmentarzu, tajne, zabezpieczone kontrobservacją, spotkania w parkach, błyskawiczne przekazywanie materiału w toaletach publicznych etc. Skądinąd trzeba podziwiać odwagę Lamarka, który nie bał się nawet samotnie jeździć do Rosji, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że dla podwójnych agentów wywiady bywają przykre, a służby rosyjskie raczej nie słyną z delikatności. Podziwiać też trzeba skandynawskie służby, które dla „szpiega” Lamarka fabrykowały materiały tak kompetentnie, że otrzymywał on za nie od Rosjan pochwały i gratyfikacje. Rosjanie interesowali się oczywiście całym *Norden* i Svein Lamark takie informacje im dostarczał, np. dokumenty o polityce inwestycyjnej i planach współpracy energetycznej, rzekomo skopiowane przez niego w szwedzkim NUTEK, a w rzeczywistości przygotowane przez szwedzki kontrwywiad. Lamarka kontaktowali różni dyplomaci rosyjscy. Gdy Anatolija Żigalowa („Oscar”) zastąpił Jewgienij Sieriebriakow („Gunnar”), akcja zaczęła nabierać tempa. Nowy „prowadzący” domagał się od „agenta”

Lamarka coraz większej ilości informacji, a także tzw. naprowadzeń, a więc danych i charakterystyk osób, które również mogłyby być zwerbowane przez rosyjski wywiad. Svein Lamark, zgodnie ze swoją legendą „chciwego zdrajcy”, piętrzył trudności i domagał się więcej pieniędzy. Wreszcie, po ostatnim spotkaniu Lamarka i „Gunnara” dn. 26 lutego 1998, kontrwywiad norweski skończył grę; kontakt z Rosjanami został zerwany, a dn. 12 marca ambasadora Jurija Kwicińskiego wezwano do norweskiego MSZ i poproszono, aby radca Jewgienij Sieriebriakow i *attaché* Walerij Koszkariow jak najszybciej opuścili Norwegię. Za osoby niepożądane uznano też trzech innych rosyjskich dyplomatów, przebywających obecnie poza Norwegią; są nimi wspomniany już Anatolij Żigalow, Igor Czałyj i Aleksander Monachow. W okresie powojennym wydalila Norwegia za działalność „sprzeczną ze statusem dyplomatycznym” aż 45 sowieckich, a później rosyjskich dyplomatów, przedostatni raz w roku 1992. Jednak aferę ostatnią uznaje się za najpoważniejszą, od roku 1984, gdy jako sowiecki szpieg ujęty został (a później skazany) wysoki urzędnik norweskiego resortu spraw zagranicznych, Arne Treholt. Oficjalne komentarze rosyjskie wyrażają zdziwienie, że z powodu tak *blahego incydentu*, wywołanego działalnością wręcz *rutynową* (sic!), premier Kjell Magne Bondevik odwołał zaplanowaną na 17-18 marca wizytę w Moskwie, gdzie z Wiktorem Czernomyrdinem dyskutować miał m.in. o możliwości współpracy na rynku gazowym.

Czas przejść teraz do uwag ogólniejszych i bardziej istotnej natury. Metodyka pracy wszystkich wywiadów jest podobna. Jedynym i kuriozalnym wyjątkiem jest – będący przedmiotem licznych dowcipów – wywiad polskiego UOP, w którym, jak wykazała tzw. sprawa Oleksego, niszczy się oryginalną dokumentację operacyjną, przygotowuje jakieś „zbitki” i inne kompilacje, namolnie sugeruje agentom odpowiedzi, a dokumenty z języka rosyjskiego tłumaczy ze skutkiem wiadomym absolwent filologii... węgierskiej. Jeżeli jednak pominiemy farsową organizację pana Libery, to tzw. kuchnia wywiadowcza jest zawsze podobna i nie ona jest istotna w całej sprawie. Znacznie bardziej ciekawe jest, czym Rosjanie się interesowali i dlaczego zaakceptowali niewątpliwe ryzyko werbunku.

Mówiąc najogólniej, Rosjan interesowało wszystko, co dotyczy politycznej i gospodarczej współpracy międzynarodowej w regionach Morza Barentsa i Morza Bałtyckiego. Stanowisko

Norwegii odnośnie strategicznej roli archipelagu Svalbard za kołem polarnym, zakres i źródła skandynawskiej wiedzy o zagrożeniach ekologicznych, związanych z bazami rosyjskiej floty na Półwyspie Kola, plany tworzenia energetycznego Baltic Ring, zasady przyznawania przez *Norrländska Handelshuset* pomocy finansowej firmom, które chcą rozpocząć działalność w Rosji i Balticum, konferencja w Lulea i szczyt Rady Państw Morza Bałtyckiego w Rydze, rozbieżności między państwami nordyckimi w sprawie planowanego rozszerzenia Unii Europejskiej, opinie polityków Norwegii o możliwości dalszej ekspansji NATO na kraje bałtyckie i przewidywanej w takiej sytuacji postawie Szwecji i Finlandii, plany *businessu* energetycznego Norwegii, zwłaszcza wobec możliwości budowy tranzytowego gazociągu z Rosji przez Finlandię i Szwecję do Europy Zachodniej, przygotowania premiera Bondevika do wizyty w Moskwie i jego zdanie o możliwościach współpracy norwesko-rosyjskiej na światowym rynku nośników energii, rzeczywiste plany inwestycyjne wielkich koncernów norweskich i szwedzkich odnośnie inwestycji na północy Rosji – tematyczny zakres pytań rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego był bardzo szeroki i – mówiąc szczerze – dość zbliżony do zainteresowań Redaktora *Kultury*, natarczywie domagającego się od piszącego te słowa korespondencji prasowych na podobne tematy. Różnica polega tylko na tym, że Redaktor domaga się publicystyki, a rosyjscy dyplomaci preferowali wykradane kopie dokumentów.

Jest oczywiste, że rosyjscy dyplomaci nadal zajmują się działalnością wywiadowczą, tyle tylko, że aby ich karmić „fałszywkami”, a w razie konieczności – zdemaskować, trzeba mieć kompetentne służby z prawdziwego zdarzenia.

Warunki prowadzenia pracy wywiadowczej w małych ludnościowo krajach typu Norwegii, Finlandii czy Szwecji są odmienne niż w Niemczech czy we Francji. Po prostu w małych krajach urzędnicy wysokiego szczebla na ogół dobrze i od lat znają się ze szkoły, studiów, związków czy przeróżnych zrzeszeń. W tej sytuacji działalność wywiadowcza przypomina szpiegowanie w rodzinie, co ma swoje plusy i minusy: jest łatwiejsze informacyjnie, bo jeżeli nasz agent czegoś nie wie, to prawdopodobnie wie to jego partner od gry w golfa i zręczny agent może się pewnych rzeczy dowiedzieć „kapturowo”; jest trudniejsze operacyjnie, bo nadmierna ciekawość agenta, jego tajemnicze wyjazdy, nadmierne wydatki etc. są w tym mikroświecie

od razu widoczne i od razu zwiększają ryzyko demaskacji. Dlaczego więc Rosjanie zaryzykowali, skoro akurat zależy im na dobrych stosunkach z Norwegią – mało jastrzębim członkiem NATO, a z objęciem przez Bondevika stanowiska premiera wiązali duże nadzieje polityczne? Wystarczy spojrzeć na mapę, aby zrozumieć, że po zmianach w Europie Środkowo-Wschodniej Morze Barentsa stało się dla Rosji najważniejszym rejonem ze strategicznego punktu widzenia. A dlaczego Bałtyk? Jeżeli popatrzymy na wykaz amerykańskich inwestycji, to okaże się, że okrażają one Rosję: amerykańskie spółki i koncerny wolą inwestować w graniczących z Rosją republikach dawnego Związku Sowieckiego niż w samej Rosji. Amerykańskie inwestycje to oczywiście amerykańskie wpływy polityczne. W tej sytuacji, dla Rosji lepszym oknem na świat jest Bałtyk, z neutralną Finlandią i Szwecją, krajami bardzo umiarkowanie proamerykańskimi, niż inne granice. Próby tworzenia osi francusko-niemiecko-rosyjskiej są ważne, bo Rosja może ewentualnie szachować USA tylko w porozumieniu z Francją. Ale Francja nie ma granicy z Rosją i dlatego rosyjskim oknem na świat (i Unię Europejską!) jest Bałtyk. Dlatego też Rosja jest bardzo zainteresowana współpracą z Radą Nordycką i dlatego tak bardzo chce wiedzieć, co się dzieje na tym terenie. I dlatego obszar ten jest terenem tak intensywnej penetracji rosyjskich służb wywiadowczych.

Głównym źródłem powyższej notatki jest norweski *Vardens Gang*, z którym Svein Lamark – w tajemnicy przed norweską służbą bezpieczeństwa POT – nawiązał kontakt już półtora roku temu, a potem udostępnił całą historię. W ten sposób ten 47-letni urzędnik ministerialny okazał się być niejako agentem potrójnym, z niezłym zmysłem do interesów. Jak wiadomo, zachodnie media płacą znacznie lepiej niż rosyjski wywiad.

Stefan ABNER

**Kraj**

## Z ukosa

Znowu spotkanie mojej klasy, tym razem spotykamy się w pubie pod dawną kawiarnią Harenda, w pobliżu Uniwersytetu. Przed kilkunastu laty ta kawiarnia, tania i zawsze zadymiona, była miejscem studenckich spotkań nad kawą i herbatą, bo piwa nie pito wtedy w takich miejscach. To były lata po marcu 68, zakakany czas i takie same studia. Cafe moje myślenie obracało się maniakalnie wokół niezgody na kłamstwo, w którym żyliśmy. Ostatni raz byłem w tej kawiarni tuż po studiach, spotkałem się z W., kolegą z wydziału, był dobrym materiałem na bandytę i pisarza, kiedyś podbił mi oko, a ja naderwałem mu ucho, w jakiś czas potem zakończył życie na ławce w parku, gdzie zamarzył na śmierć. Dzisiaj w miejscu tej kawiarni jest McDonald's, a pod nią pub, w stylowych piwnicach. Gra jazzowa kapela i ze zdumieniem odkrywamy, że to właśnie tu często przychodzą nasze już dorosłe dzieci.

Jest nas tym razem garstka, ale bywało, że spotykaliśmy się w całym krajowym składzie. Wspominałem już kiedyś, że Ola ma kwaciarnię, a Krzysь zakład okulistyczny. Przewidzieli niegdyś, że prędzej czy później będziemy do nich trafiać. Ola obok kwiatów ma również wieńce, często uczestniczy w pogrzebach, by dopilnować tych wieńców. Z jej opowieści o pogrzebach można by uwić tom makabrycznych opowiadań, okrutnie antyklerykalnych.

Marek jest lekarzem. Po latach dobrze pamiętam kto miał jakie polityczne poglądy, bo darliśmy koty o politykę. On, syn pułkownika, był po stronie PRL-u. A po roku 89 stał się ostro antykomunistyczny i prawicowy, teraz w ogóle

przestał się interesować polityką. Wszyscy politycy są chorzy na głowę, gdy on jest specjalistą od innych części ciała. Sam postanowił zająć się swoją duszą, którą tak przez lata zaniedbał. On jeden z wielu zagubionych, który szuka swojego miejsca i jakiejś identyfikacji.

Witek, syn ubeka lekko faszyzował, potem był przez lata w cenzurze. Od dawna nie przychodzi na nasze spotkania. Basia założyła studio fotograficzne i zaczęła odnosić sukcesy, kalendarz jej projektu wygrał jakiś konkurs. Jej siostra, która mieszka w Szwecji miała pecha, że chodziłem z Basią do jednej klasy. Jak to się w życiu wszystko plecie, nigdy nie wiadomo co do czego doprowadzi. Kiedy mieszkałem w Sztokholmie, wzięłem jej siostrę na narty, nagle wróciłem od drzwi by do niej zadzwonić, pamiętam ten moment wahania. Był głęboki śnieg, w dole lśniło zamrożone jezioro. Jechała za mną i wyrzuciła się. Pęknięty obojczyk i zerwane ścięgna, złe ją leczono. I to jej złamało życie. Czy mam mieć wyrzuty sumienia?

Kilka osób ma telefony komórkowe, i jak to w Polsce, zamiast je wyłączyć i schować, wyjmują te oznaki nowego szlachectwa. Rozmawiamy o tych, których nie ma w kraju. Polski los, około 30% składu naszej klasy jest gdzieś w świecie, ale zawsze wiemy gdzie.

A jakich to się człowiek rzeczy dowiaduje po latach. Okazuje się, że dla dziewczyn z mojej klasy wielkim problemem był biust B. Wszystkie jej zazdrościły tego biustu, szczególnie Ola. A ja nie pamiętam tego biustu, za to pamiętam nogi Oli. Ola ma te nogi nadal, ale zdążyła owdowieć, jest też od dawna babcią.

W kilka dni potem wpadam do kwaciarni Oli na Wilczej. Rozmawiamy na zapleczu, gdzie ususzone kwiaty i narzędzia do oprawiania kwiatów tworzą osobliwe połączenie izby tortur i różanego łoża. Jej ojciec był wysokim urzędnikiem partyjnego aparatu. Studiowała w Moskwie, jej mąż przez lata umierał. Czuję gęsty, gorzko-słodki smak jej życia. Potem biegnę w pobliże Nowego Świata do Krzysia, żeby mi coś poprawił w okularach, których używam do czytania. Ustalamy, że pod koniec maja w 30 rocznicę opuszczenia szkoły spotkamy się, my i nasze dzieci. To będzie fizyka i metafizyka.

Ukazał się polecany dla szkół przez Ministerstwo Oświaty podręcznik do wychowania seksualnego. Napisany przez trzy bogobojne rodziny. Moja znajoma, młoda dziennikarka, była na promocji tej książki, ale nie powtórzę, bo wstydzę się jakie miała refleksje na temat wyglądu tych trzech rodzin. Była w jakimś szale antyklerykalnym, uspokojałem ją, ale kiedy biorę do ręki ową księgę, to też mnie szlag trafił. Podręcznik ma ponad 400 stron, tekst jest ciężki. Kto go w szkole strawi? Praca osadza seks w życiu uczuciowym człowieka i bardzo dobrze. Niestety, nagle pojawiają się miejsca żywego obłędu. Autorzy walczą z pigułką antykoncepcyjną, a nawet z prezerwatywą. Ten ostatni fakt i ich uparte powtarzanie, że prezerwatywa nie chroni przed Aids pachnie przestępstwem. Homoseksualizm to zbroczenie i najlepiej ten nałóg szybko porzucić. Wedle autorów życie płciowe przed małżeństwem jest bardzo niewskazane. Gdzie indziej piszą: „Jeśli jesteś w nałogu masturbacji, to staraj się od niego uwolnić. Jeśli nie udaje ci się to od razu, możesz walczyć stopniowo małymi krokami, zaczynając nawet od powstrzymywania się przez 5 minut – ale nie poddawaj się. Pozostawanie w nałogu może mieć bowiem poważne konsekwencje w przyszłym życiu. (...) masturbacja poddaje człowieka nałogowemu uzależnieniu zamykając go w egoizmie”. A co z wysychaniem mózgu? Nie ma. Autorzy poszli więc jednak z duchem czasu.

Domyślałem się, że młodzież w szkołach będzie mieć niezły ubaw z tej książki. A trzy pary małżeńskie posłałbym na kurs seksualny do uczniów trzecich i czwartych klas liceów. Z pewnością taka lekcja zwiększy ich satysfakcję z życia seksualnego, które jak wynika z tej książki jest pocziwe, ale śmiertelnie nudne.

To wszystko jednak nie jest zabawne. Ofensywa myślenia parafialnego trwa. Ministerstwo Edukacji rezygnuje z ONZ-owskich, dużych pieniędzy na książki do wychowania seksualnego dla nauczycieli. Ministerstwu, które jest opanowane przez opcję przykościelną nie podobają się nazwiska polskich seksuologów, którzy mieli firmować tę inicjatywę. Mają za bardzo biologiczne podejście. I pieniądze szlag trafi. Tak oto polska prawica chroni nauczycieli przed zgorzeniem, bo zgorzeni nauczyciele zdeprawują polską młodzież. W tym samym czasie likwidowane są ulgi na pigułki antykoncepcyjne.

Tu aktywnie krząta się pełnomocnik do spraw rodziny, radiomaryjny Kazimierz Kapera.

Przyjmowałbym te szaleństwa spokojnie, a nawet z pewnym zadowoleniem, bo wiadomo, że odchylane wahadło wróci i trzaśnie w zakute łąby. Szkoda mi jednak młodzieży w małych miasteczkach i na wsi.

AWS pracuje na swoją porażkę, ale to kiepski dla nas interes, bo w opróżnione miejsce wejdą triumfalnie postkomuniści, a nie Unia Wolności, bo ona spleciona w miłośno-nienawistnym uścisku z AWS-em. Polska nie ma dzisiaj wolnego politycznego środka, bo ten środek jest zajęty poświęcaniem się dla narodu. Ten środek nie jest zresztą pewien swego środka. Niedawno z socjaldemokratycznej Unii Pracy odeszła do Unii Wolności spora grupa działaczy ze Zbyszkciem Bujakiem na czele. Powinni się tam codziennie prać po pyskach z gdańskimi liberałami, których kiedyś wchłonęła Unia, a jeśli tego nie robią, to jest już po herbacie i Unia Wolności ma przetrącony kręgosłup.

Lech Wałęsa zaciera ręce. Dla niego puste miejsce, to wielka szansa. Jego partia nadal jest karłowata i nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzy w jego powrót na scenę polityczną inny niż groteskowy. Odwyknęliśmy przez ostatnie lata od jego zdumiewających figur retorycznych, teraz jak się go na świeżo słucha, widać w pełnej krasie całą orientálną osobliwość tej postaci.

Coraz więcej moich liberalnych znajomych widzi dramatycznie polską sytuację. Pachnie im obskurantyzmem, amatorszczyzną, skarleniem, zaprzepaszczeniem wszystkich szans. I oto ja, depresyjny pesymista, zaczynam nagle uchodzić za wybitnego, ale głupiego optymistę, bo uważam, że jest... jako tako, a jako tako, to znaczy nieźle. Najważniejsza jest sytuacja ekonomiczna, a ona dobra i wchodzi w życie młode pokolenie, ono też dobre. Tyle już wsiąkło w tę ziemię krwi, łez, ropy, wsiąknie i głupota pierwszej dekady odzyskanej wolności.

Z dobrego nastroju nie wytrąca mnie nawet takie spotkanie. Naprzeciw siada znajomy psychiatra, bardzo dobry lekarz. Patrzy na mnie niespokojnie i prosi abym usiadł na niższym krześle, bo siedzę wyżej od niego, co go niepokoi.

Zniżam się pokornie. Potem opowiada, że miał ciężki okres w życiu, kłopoty finansowe, osobiste. Odkrył, że źródłem wszystkich chorób psychicznych jest wyniesiony z domu brak ładu moralnego. Więc się nawrócił, biega do kościoła, czyta gazety, które ja też czasami czytam. Ale ja po to by się udęczać ludzką głupotą i wiedzieć co piszczy w ksenofobicznej trawie, on czyta te gazety jako źródła prawdy. Lubi ludzi, jest z pewnością nadal dobrym psychiatrą, ale jego stan psychiczny wydaje mi się bliski wielu jego pacjentów. Przyjmuję więc spokojnie gdy mówi, że *holocaust* był karą za grzech uczestnictwa Żydów w komunizmie.

Patrzę i widzę jak na dłoni, że siedzi naprzeciw mnie kolejna ofiara lęku przestrzeni. Żyjemy dosyć luksusowo, ale nie mamy z czym się identyfikować, nie ma spraw, o które warto walczyć, autorytetów o które można się oprzeć. Coraz wygodniej, bardziej luksusowo jedziemy nad krawędzią przepaści, z której wionie nic. Od tego wielu ludzi ucieka w religię, w konserwatyzm, który sztywnieje jak gipsowy kaftan. Spora część Polski tej bezmyślnej i tej myślącej, jest dzisiaj w takim kaftanie, rzesze sztywniaków. Na ile usztywniony konserwatyzm urośnie na żyznej w niepokoję glebie, w rozchwanym krajobrazie końca wieku? Jak na razie nadal rośnie. A po drugiej stronie barykady rośnie niepokój a nawet nienawiść do tej Polski w gorsecie, lęk przed rodzinną odmianą autorytaryzmu. Tym lękiem przeniknięta jest *Gazeta Wyborcza*, bliskie mi pismo i rozumiem jej obawy, a nawet histerię jej redaktora naczelnego. Problem, że z kolei *Gazeta* wpędza w obłęd tych usztywnionych.

Jak to wszystko przekłada się na młodzież, oto jest pytanie. Ta bardziej elitarna, z liceów, dobrze sobie radzi, co potwierdziła ankieta *Kultury*. Jest oczywiście pytanie, jak potem deklaracje przekładają się na życie? A tu mogą być niespodzianki. Dramat jest niżej, wśród młodzieży, która nie kończy szkół, ma patologiczne rodziny, a Polska to kraj miliona alkoholików, ich dzieci dryfują bez żadnej busoli. Prymitywne szczepy kibiców sportowych są postacią skrajną tej choroby.

W księgarni w centrum miasta eksponowana jest książka jakiegoś prawnika o nazwisku Pająk, opisuje pajęczą sieć rozpiętą nad Polską przez jej wrogów, Żydów, masonów, pedantów. Widać od razu, że biedak jest chory. Ale dlaczego obsługa

księgarni eksponuje czyjeś nieszczęście, choroba chorobą, ale to jest w stylu hitlerowskich gadzinówek.

K. który od niedawna sam propagował konserwatywne myślenie, teraz przyznaje, że nieświadomie pomógł uruchomić ciemne moce, nad którymi nikt już nie panuje. Mówi, że w ostatnim roku kilkadziesiąt razy pytano go czy ktoś jest Żydem, a to miało miejsce w środowisku profesorskim wyższej uczelni. „W Polsce za czasów PRL-u nie było tyle głupoty i ciemnoty co teraz”, mówi. No tak, odpowiadam, ale wtedy wszystko było pod cegłą, głupota też.

Wiesław Walendziak, najbliższy człowiek premiera, przyznaje, że ma okrutną wizję, że to „nie my zreformujemy policję ale ona nas, nie my zreformujemy administrację, ale ona nas” itd... „Polska jest chora” – mówi Walendziak, który ma coraz większe konflikty z ministrami w rządzie premiera Buzka, bo ministrom zaczyna być wygodnie z tym jak jest. Wypełnia się więc spodziewany scenariusz zastygania substancji, w którą weszła nowa władza. Przy okazji objawiają się w AWSie postacie różnych Katonów i Robespierów. To oni rozpirzą AWS, to widać jak na dłoni. Czasami rzeczywiście walczą o słuszne sprawy, ale są tak sztywni moralnie, że pokaleczą wszystko i wszystkich a siebie załatwią na końcu.

Polska polityka nagle utonęła w żelatynie. Prasa ujawniła, że niejaki Grabek, właściciel fabryk żelatyny skutecznie chronił swój monopol, a kolejne rządy, nie wyłączając ostatniego, blokowały import żelatyny spoza granic pod pretekstem zdrowotnym.

Z szeroko otwartymi oczami oglądałem w telewizji jak król żelatyny był zagryzany przez posła K. z AWS-u. Ten Grabek robi okropne wrażenie chamo-cwaniaka ale poseł K. wydawał mi się chwilami jeszcze bardziej odpychający. Grabek taki cwany, a w programie na żywo nagadał tyle głupstw, że nazajutrz zamknięto mu fabrykę, właśnie z powodu tego co mówił w telewizji. Co wcale nie znaczy, że nie ma przed sobą przyszłości jako biznesmen, a może nawet polityk. Nie istnieje taka kompromitacja, która nie pozwoli u nas kontynuować dalej kariery. No może gdyby udowodnić, że ktoś zgwałcił a potem zjadł własne dziecko.

Grabek stał się królem żelatyny dzięki pomocy polityków

a odwdzięczał się im, oraz ich partiom, tym co miał, pieniędzmi. Łaził po ministerialnych gabinetach i po kolejnych rządach jak po komnatach swego pałacu. Widać, że trzymał wszystkich w kieszeni, dawne rządy i nową ekipę. Dziurę w tej kieszeni zrobili nie politycy, a *Gazeta Wyborcza*. Dlaczego opozycja milczy, a nowa władza najpierw zaprzeczyła, a gdy ujawniono dokumenty uwikłała się w krętaćta? Wnioski są banalne. Nasz świat biznesu przekupuje polityków jednako z lewej i z prawej strony. Odezwały się nawet głosy na prawicy że to do problemu należy podejść z wyrozumiałością, bo przecież ktoś musiał pomóc finansowo AWS-owi, by ten blok wygrał wybory z postkomunistycznymi gangsterami. Aby ich pokonać trzeba było stosować podobne metody. Godna odnotowania refleksja.

Minęło zaledwie 100 dni rządów nowej ekipy i króluje przede wszystkim amatorstwo. Patrząc gdzie jest ta święta misja, z którą szli do władzy, gdzie aureola, co wisiała nad głową AWS-u? Czy nie przypomina teraz deski sedesowej? Nawet prawicowi publicyści nie oszczędzają swojego rządu, robią analogie do kłamstw i matactwa dawnej władzy. Niektórzy zwalają winę na Unię Wolności, która podstępnie zawładnęła duszą AWS-u. A wielu działaczy Unii Wolności twierdzi, że Unia za łatwo ustępuje AWS-owi, sprzedaje swą duszę. Kiedy idą ze sobą do łóżka dwie osoby, które się nie znoszą, czy to jest prostytutka? Nie, bo robią to dla ratowania ojczyzny. Ale gdy minęło trochę czasu i widać, że w państwie królują te same grzechy co przed ową łózkową sytuacją?

I oto publicyści prawicy piszą, że AWS stała się „bezideową partią władzy”, że nie opiera polityki o wartości chrześcijańskie. A na marginesie, to ciekaw jestem jak należy oprzeć politykę o te religijne wartości? Gdzie jest ten wzór? Czy to Iran? U tych, którym nowy układ wessał tylko nogi a zostawił głowę, występuje element zawiedzionej miłości. Henryk Goryszewski, członek rady naczelnej ZChN mówi – „mamy w klubie za dużo demokracji bezpośredniej, chcemy zrealizować utopię w stylu Rousseau”. Goryszewski miał zostać nowym szefem ZChN-u i ucywilizować tę radykalnie-narodowo-chrześcijańską partię, ale pozostał nim Marian Piłka. Pan Bóg, na którego nieustannie się powołuje, dał mu niestety bardzo mały rozumek.



Senator Romaszewski (ROP) uważa, że zło bierze się głównie z powodu słabości AWS-u. Pytany o premiera Buzka, mówi: „Trudno mi wyjść poza stwierdzenie, że to miły człowiek”. Ja nawet tego nie potrafię dzisiaj powiedzieć o Romaszewskim, a pamiętam go z czasów podziemia jako człowieka szlachetnego. Przepraszam za słowo, jakoś tak się porobiło, że ono mieszka na granicy śmieszności.

Jarosław Kaczyński i Ludwik Dorn, twórcy PC, mówią, że „rząd jest personalnie słaby (...) Ma miejsce budowanie nowej partii klasycznej – partii władzy, czyli RS AWS przy użyciu metod korupcji politycznej – stanowisko w zamian za zamianę lojalności partyjnej”.

Adam Słomka, szef KPN-OP też w AWS-ie chwali się: „my nie staliśmy się partią koniunkturalną, która wchodzi w egzotyczne sojusze i sprzedaje się za stanowiska w rządzie”.

Piotr Wierzbicki, szef *Gazety Polskiej*, pisze: „na naszych oczach władza, która miała zmienić Polskę idzie w rozsypkę, bo jej się jakieś partyjne długi mieszają z interesem narodowym i gdy jeden arogancki przedsiębiorca potrafi na kilka dni sparaliżować normalnie funkcjonujące państwo i ośmieszyć je w oczach społeczeństwa...”. Doprawdy zabawnie obserwować *Gazetę Polską*, wydawała się skrajnie skrajna, jej głównym wrogiem była postkomuna, Żydzi i kręgi demoliberalne, a tu znaleźli po drugiej stronie ścianę w postaci Radia Maryja i tygodnika *Nasza Polska*. Te media tak daleko odjechały w sferę psychozy, że tygodnik zaczyna z nimi walkę. Nic jednak nie zmienia faktu, że *Nasza Polska* to mimo wszystko bliski krewny *Gazety*. W moim kiosku starszy mężczyzna kupuje narodowy pakiet, czyli faszyzującą: *Naszą Polskę*, *Gazetę Polską* a na dokładkę nową gazetę Radia Maryja *Dziennik Polski*. Ja kupuję *Gazetę Wyborczą* i *Rzeczpospolitą*. Patrzymy na siebie z jednakowym obrzydzeniem, jak na osobny ludzki, czy nieludzki gatunek. Może ulegam sugestii, ale jest pewien typ fizyczny narodowca. Mam nawet wrażenie, że w naszym kręgu kulturowym jestem w stanie poznać ów endekoidalny typ, mniej lub bardziej niezawodnie. W Izraelu bez trudu trafiałem w typ żydowskiego endeka. To też jest zapewne jakaś forma rasizmu?

Wierzbicki i jego tygodnik przez lata karmili to spiskowe myślenie, a teraz są w panice, bo widzą, że utuczylu psy-

chopatę, który kompromituje wszystko co prawicowo-narodowe. Jest w tym procesie jakaś żelazna prawidłowość, a też gryząca ironia.

Zapieklność jako sposób myślenia, nie jako przyprawa do myślenia, a jego istota. Zapieklność postkomunistycznej *Trybuny* i wielu polityków SLD. Zapieklność Radia Maryja, zapieklność sporych fragmentów AWS-u. „Zapieklność młodych publicystów prawicowych, którzy w niemal 10 lat po upadku komunizmu nadal szukają komunistycznych smoczycy łbów, które trzeba ściąć mieczem. Kilkanaście milionów ludzi było uwikłanych w ten system, mniej lub bardziej. Jak ciąć, by nie ściąć wszystkich? Ale to nie tylko problem, jak walić toporem tam gdzie jest potrzebny laser, przeszkadza mi myśleć o problemie winy i kary z dawnych lat. W ciągu tych lat po roku 89 narosły nowe podłości, nowa głupota, nowy konformizm. I jak się teraz babrać w archeologii łajdactwa?”

Wedle spiskowego myślenia to „okrągły stół” sprawił, że nie oddzielono dobra od zła, nie potępiono winnych, nie zablokowano kilkunastu karier finansowych przestępców ideologicznych dawnego czasu. Może szkoda, że nie było widowisk symbolizujących upadek komunizmu. Choćby dlatego by brakiem takiego zabiegu nie mydlić dzisiaj ludziom mózgow. Nie było wtedy pola do rewolucji, przegrani przynieśli swoje obcięte głowy na tacy, ale zostawili sobie wolne ręce i tymi rękami zagarnęli co się dało. Gdyby Polska wypełniła się lasem procesów, jaki szpetny byłby to las? System w swoich ostatnich latach nie miał już zębów, gnił. Jak stawiać przed sądem gnicie. Sam kiedyś proponowałem, ale nie całkiem serio, wielkie widowisko, a teraz widzę, że trzeba było je zrobić na poważnie. Zamiast głupio roztrzaskiwać pomnik Dzierżyńskiego, ścina się mu głowę na oczach miliona widzów. Z tułowia tryska fontanna: wina, piwa, wódki, oraz strumienie mleka dla dzieci i niemowląt.

No, ale gdyby nawet to wszystko się stało: symboliczne widowiska, procesy, wielka lustracja, blokada na robienie kariery politycznej i interesów dla byłych działaczy PZPR? Czy naprawdę ktoś przy zdrowych zmysłach wierzy, że po takiej kuracji, Polska byłaby krajem o wiele bardziej uczciwym, czystym, nie byłoby afer, korupcji, nasi politycy biegaliby po scenie ubrani a nie goli, w furii narcyzmów i paranoi, wszyst-

kie stanowiska nareszcie obsadzano by wedle kompetencji, a nie układów? Przecież największe łajdactwa jakie osobiście mnie spotkały po roku 89 były ze strony ludzi dawnej „Solidarności”. Może niektórzy z gromiących okrągły stół mają baśniową wizję ścięcia smoczych łbów, większość jednak używa tego do politycznej gry. Są potrzebni winni, że jest nie tak jakbyśmy chcieli. Dajcie nam wroga, oto wielkie wołanie. A naprawdę winne są nasze ułomności i braki, na które pracowała okrutna historia, nie okrągłe stoły, czerwoni, różowi, demoliberalne kręgi.

Z niesmakiem obserwuję politykę kadrową nowej ekipy. Rzadki przypadek gdy dało się bezbłędnie przepowiedzieć przyszłość. Nie ma żadnego cywilizowanego mechanizmu wyłaniania nowych kadr. R., który jest od niedawna znowu wysoko, mówi mi: „już nic z tego nie rozumiem”. A ja rozumiem, trzeba tylko znać notesy, układy, zobowiązania. Kompetencje są na ostatnim miejscu. Dzwoni do mnie W. Dawno nie słyszałem jego głosu, brzmi tak poważnie, że w pierwszym odruchu wraca mi niepokój z przeszłości – znowu trzeba ewakuować „Umysł Zniewolony” Miłozsa, bo mieszkańie jest zagrożone. Ale okazuje się tylko, że W. nagle stał się doradcą pewnego ministra. Dobrze, że to on, myślę z ulgą, nareszcie jakiś porządny i rozumny człowiek. Pyta o X., bo chcą go pchnąć do góry. Trudno mi mówić, bo zbiera mi się na wymioty. Jeśli w ogóle bierze się kogoś takiego jak X. pod uwagę, to Polska jest ciężko chora. Dzwoni Y., – „czy masz kogoś na...” I tak rozwiązał się worek z telefonami, „czy masz kogoś?”. Tak pytają ci uczciwi, to jest wedle nich sprawozdanie i konsultowanie. Inni pchają swoich, i już!

Rośnie przerażenie naszych narodowców, że reforma administracyjna naruszy integralność Polski. Ich ataki na swoich prawicowych sojuszników, którzy są za tą reformą, skłania nieustannie do refleksji. Jak wytłumaczyć taki brak zaufania do polskiego narodu u jego apologetów? Rozsądne skrzydło AWS-u lansuje 12 silnych województw, a to właśnie nazywane jest planem kolejnego rozbioru Polski. Likwidowane województwa drą szaty i szykują się wielkie protesty.

Polska dzisiaj pełna jest protestów. Wszyscy przeciwko czemuś protestują, zawiązują się komitety w obronie, przeciw

i za czymś. Od spraw wielkich, do maleńkich. Od podwórka ogólnonarodowego do tego podwórka przed domem. Warszawa nie może doczekać się nowego mostu przez Wisłę, a to inwestycja gardłowa, bo przejazdy przez rzekę korkują miasto. Ale mieszkańcy Siekierok nie godzą się na budowanie szosy przez ich tereny. Nie można znaleźć miejsc na wysypisko śmieci pod Warszawą, bo mieszkańcy protestują. Praktycznie każda inwestycja czy inicjatywa budowy jest oprotestowana, tworzą się komitety, dochodzi do form aktywnych, blokad i manifestacji. Gdyby to były przejawy społecznej aktywności, powstawanie społeczeństwa obywatelskiego? Ale z tego jakże często wyłazi szlachecka prywata, myślenie „ja” a nie „my”. Poczucie dobra wspólnego jest chyba najbardziej zagubionym pojęciem naszej już wolnej Polski. Problem, że niemal zawsze protest jest przeciw, by coś zablokować, a nie zbudować, czy choćby pomalować płot. Na moim podwórku od kilku lat nie można zmusić administracji, by wyrównała asfalt przy bramie, jak spadnie deszcz nie da się przejść przez kałużę. Ja już od dawna wiem, że takie rzeczy trzeba robić samemu, ale nie potrafię rozrobić cementu.

Nie mamy tradycji i kultury kompromisu. Każdy konflikt, czy dotyczy budowy domu, czy przeprowadzenia autostrady, powoduje od razu szczękościsk. Jedna szczęka to protestujący, a druga to administracja. Lekcja dialogu i kompromisu nie została jeszcze u nas odrobiona.

Żebractwo w wolnej Polsce stało się plagą. Za PRL-u istniało tylko skromne żebractwo przykościelne, bo ze swojej istoty zebranie za komunizmu było aktem antysocjalistycznym. Teraz nie można po mieście się poruszać, tyle jest wyciągniętych rąk, cygańskiego łapania za łokieć, namolnego błagania. Czasami mnie wzruszają alkoholicy, gdy są prawdomówni: „Panie poratuj”.

To co tak nas męczy we współczesnym żebractwie, to, przepraszam za słowo, postmodernizm. A on też dotarł do polskiej sztuki żebraczej. Nie ma już wyraźnych reguł gry, mieszają się ze sobą wszystkie dawne i nowe formy, jest wiele cytatów, nie tylko z Europy, ale też ze sztuki żebrania z całego świata. Kiedy na rondzie Żwirki i Wigury stoję w korku,

wśród samochodów uwija się osobnik, który z rozporoka rękawa wyłuskuje kikut ręki i podtyka go pod nos kierowcom. Oto jak zmutowały się Indie i Europa.

Formy żebraczego natręctwa przysły do Polski z zewnątrz. Wydaje się, że polski tradycyjny model żebrania, ma swoją spokojną godność, jego pokora jest bliska dumy, jest raczej bierny, nie narusza osobistej przestrzeni przechodnia. To się jednak zmienia, bo zalewają nas obce wzory. Nasza narodowa prawica powinna bardziej energicznie walczyć o zachowanie polskiego, narodowego stylu żebrania. Tego podkościelnego, spokojnego i godnego. Tu też nam grozi utrata narodowej tożsamości i katolickiego pnia.

A przecież Polak potrafi. Powstały nowe, bardzo polskie i oryginalne formy żebrania, czasami bliskie wielkiemu biznesowi. Jestem na poczęcie, a mimo ludzkiego tłumy omiatam wnętrza czułym okiem, bo to kolejna poczta, gdzie wcielono w życie kawałek Europy. Wyświetlane są i wydawane numerki, co likwiduje klasyczny komunistyczny ogon. I oto widzę jakiegoś obszarpanego jegomościa, który za dwa złote oferuje nowo przybyłym numerki bliski kasy. Wsiada na niego jakiś mężczyzna, który robi wielką publiczną awanturę, w czym przeszkadza mu dzwonek przenośnego telefonu. Ów biznesmen stygnąc po awanturze załatwia właśnie jakiś interes, a po sposobie w jaki rozmawia widać, że to interes raczej szemrany.

A oto inna, niezwykła forma zarabiania. W coraz bardziej zatłoczonym centrum Warszawy rzesze kierowców złorzeczą szukając miejsca na parking. Wykorzystują te dramaty osobnicy, którzy blokują miejsce i oczekują na pojazd, który potem łaskawie wpuszczają. Zwykle dobrze, coraz lepiej ubrani wykonują rękami płynne gesty, jakże podobne do baletu policjanta, który kieruje ruchem. Potem obiecują, że będą samochodu pilnować. Większość właścicieli coś im płaci, zadowoleni, że mają gdzie zaparkować wóz, ale też pewnie z obawy, że odtrącony „zajmowacz miejsca” może samochód uszkodzić. Takich pasożytów parkingowych widziałem tylko w Polsce.

Kiedy pytam ludzi, czy dają żebrakom, widać, że dla każdego jest to problem. Człowiek dziwne zwierzę, które porusza się nie tylko z żołądkiem, ale też z sumieniem. Pytanie: „dać”

czy „nie dać” sięga naszych ukrytych sfer psychicznych, lęków, ale też zablokowanych odruchów współczucia.

Na warszawskiej ulicy widziałem dzieci cygańskie, jak dotykały bankomatu, jak dotyka się magicznej kuli, która daje pieniądze. Trzeba tylko znać zaklęcie. Jakie jest to zaklęcie? Ich dłonie błądziły po plastikach bankomatu, a w oczach wielki wysiłek „sezamie otwórz się”. Cały świat coraz wyraźniej dzieli się na tych co znają kod i go nie znają.

Jestem na spotkaniu poświęconym pamięci X. Człowiek żyje tyle lat, płodzi dzieci, wydała tony śmieci, a pisarz zostawia dzieła. Po kilku latach jednak widać, że to są tylko zwłoki dzieł. Świat literatury jak świat ludzi, jest jednym wielkim cmentarzyskiem autorów i książek.

Na spotkanie przychodzi garstka słuchaczy, kilku prelegentów nudzi tak strasznie, że to jest groźne dla życia i zdrowia tej garstki słuchaczy ocalałych z pogromu lat. We wspomnieniach są jakieś obłe figury. A ja który znałem bohatera spotkania, zbierałem też z pewnego powodu o nim informacje od innych ludzi, mam poczucie czystego surrealizmu i tworzenia czystej fikcji. Prawda jest zresztą taka, że każda biografia jest fikcją, mniej lub bardziej uzgodnioną. Nie inaczej jak historia powszechna.

Trzydziesta rocznica Marca 68 ogromnie została nagłośniona, jakby to była najważniejsza data w historii PRL-u. I była ważna. Nie tylko dla tych, co wyjechali. Była ważna dla wszystkich naiwnych, a ten system unaiwniał ludzkie rzesze, dla nich nagle opadła maska z systemu i ukazała się upiorna twarz sowieckiego komunizmu. Światło zostało oddzielone od mroku, ziarno od plewy. Trudno dzisiaj cokolwiek nowego na temat Marca powiedzieć. Ładne wystąpienie prezydenta Kwaśniewskiego, przeprosił tych co musieli wyjechać. Powiedział wszystko co należało, podczas uroczystości nadania orderu Orła Białego za Marzec Jackowi Kuroniowi i Karolowi Modzelewskiemu. Jan Olszewski grzmi, że to nie naród polski winien przeproszać za Marzec, a komuniści i sam Kwaśniewski jako były komunista. Ale szybko dodaje, że to była hańba i należy przywrócić polskie obywatelstwo tym co je stracili. Tu wszystkie większe partie polityczne mówią jednym głosem. Ale dają głowę, że jakby zrobić ankietę, to

zdecydowana większość członków ROP Olszewskiego powiedziałaby „Żydzi won”. Olszewski nie może o tym nie wiedzieć, więc jest w nim jakaś podwójność. Ale od dawna nie staram się już go zrozumieć. A przecież to było niemal wczoraj, gdy spacerowałem z nim ulicą Lekarską, i wspólnie martwiliśmy się o Polskę, myśląc wtedy tak podobnie.

Uczciwie i obszernie pisze o Marcu prawicowe *Życie*, ale już ciut dalej jest granicą za którą snują się błota narodowej prawicy. Zajrzyjmy jak na pierwszej stronie komentuje Marzec 68 katolicki *Nasz Dziennik* związany z Radiem Maryja „(...) o ile większość studentów wychodząc na dziedzińce uczelni i protestując przeciwko zakazowi wystawiania Mickiewiczowskich „Dziadów” rzeczywiście wyrażała swój sprzeciw wobec wasalizacji państwa polskiego, to panowie Michnik, Kuroń, Wujec walczyli o inny sposób realizacji tych samych celów, jakie postawiła przed sobą PZPR. Tych, którzy obecnie zasiadają w Unii Wolności i ówczesnych komunistów różnił jedynie odcień czerwieni. Prezentowanie wewnętrznych tarć ideologicznych jako niepodległościowej walki, które w dodatku nagradza się najwyższym polskim odznaczeniem – Orderem Orła Białego, dziś może budzić tylko niesmak”.

Jak naprawdę duże są usta tego niesmaku w Polsce. Jaki stan zębów w tych ustach i kolor języka?

SMECZ

## Kartki ze skażonej strefy

Źle się dzieje w państwie duńskim. Pomińmy afery i szkodnictwo zamierzone, a spojrzmy na zwyczajny bałagan. Na bezmierny chaos, który przewala się przez nasze ziemie.

Coraz częściej odnoszę wrażenie, że premier nie jest w stanie udźwignąć zadań, jakie na nim spoczywają. Że jest to

po prostu robota ponad jego siły. Ale bo też na premierowanie w Polsce potrzeba dziś herosa.

Jerzego Buzka widzimy często, jak zwiedza zakłady pracy, oprowadzany przez uprzejmy personel (skąd my to znamy?), z uwagą ogląda śrubki i imadła, odwiedza rodziny dotknięte nieszczęściem – to mu wychodzi, jest ciepły i ludzki. Ale czy na tym polega premierowanie?

Inna rzecz, że niesłuchanie trudno rządzić państwem, mając do pomocy nie fachowców, ale zwycięzców politycznych z różnych parafii, których trzeba było obdzielić funkcjami, o jakich często nie mają pojęcia. A przed nimi praca wymagająca konkretnych umiejętności.

Jeżeli reforma administracyjna państwa nie zostanie przeprowadzona zaraz, od ręki, wręcz po dyktatorsku – póki koalicja trzyma jeszcze jako taką zwartość – to przepadnie. Ugrzęźnie we wrzawie lokalnych kłótni. Przedsięwzięcie zapowiadane hucznie w programach wyborczych, merytorycznie przygotowane od lat, gdy dochodzi do realizacji, musi być dokonane jednym zgrabnym cesarskim cięciem. Dziecko to rozumie.

Ale jak można dokonać tak wielkiej operacji, skoro nie sposób udzielić „głupiej” nagany tym posłem AWS-u, którzy złamali dyscyplinę głosowania nad budżetem i ustawą okołobudżetową? Nie sposób, ponieważ na zebraniach z reguły brakuje *quorum*, a tylko przy *quorum* można nagany udzielić. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe.

Uszczelniliśmy granice dla ukrócenia handlu przygranicznego, ale tylko po to, żeby je zaraz „odszczelnić”, bo przepis zrobiono bez pomysłu, są niedopracowane i niezyciowe, tak z formalnego, jak i praktycznego punktu widzenia. Trzeba było protestów, blokad i nerwów ludzkich, żeby rzecz wróciła do stanu poprzedniego. Owszem, Unia Europejska wymaga w tych sprawach regulacji, ale na razie jeszcze do niej nie wchodzimy. Pospiesziliśmy się na swoją niekorzyść, bo póki co, handel ten jest dla wszystkich zainteresowanych ze wszech miar intratny.

Pośpiech, gdzie nie trzeba, za to ślamazarstwo tam, gdzie sprawy domagają się szybkiego działania.

Niepoczytalny zabójca zastrzelił znajomego myśląc, iż ten wiezie go na gestapo. Został puszczony wolno. Przetoczki

między prokuraturą, sądem rejonowym i wojewódzkim w sprawie aresztowania zabójcy trwały aż do pogrzebu ofiary. Rozbrajające było tłumaczenie rzeczników, że opóźnieniu zawinił ruch odnośnych papierów, które przychodziły do urzędów po godzinach pracy. W tym czasie szalencie z bronią kursował sobie spokojnie po mieście.

Zabito kolejnego listonosza rozwozącego emerytury. Zrobiły to miejscowe małolaty. Nic trudnego dopaść w lesie samotnego mężczyznę na rowerze. „Obrywy”, czyli grosiki z końcówek emerytur, które emeryci zwyczajowo zostawiają listonoszowi, są dodatkiem do jego nędznej pensji (ok. 600 zł). Z zagrożeniem życia listonosze będą więc nadal dostarczać renty i emerytury. Tym bardziej, że większość ich odbiorców nie byłaby w stanie udać się na odległą pocztę samodzielnie. Były wprawdzie pomysły, żeby torby listonoszów zabezpieczać specjalnie. Tak, żeby reagowały na wyrwanie. Ale, jak to u nas, na gadaniu się skończyło.

Za to wnętrza urzędów pocztowych zmieniły wystrój. Do okienka podchodzi się za numerkiem mrugającym z automatu. Tu na elektronikę starczyło pieniędzy (dodajmy, że coraz to podwyższanych opłat pocztowych). Poczty wyelegancjały, nie pomyślano jednak o zapleczu. Nadal ciasne. Nie ma gdzie posadzić sortujących. Mówił mi mój listonosz, że w okresach szczytów – Boże Narodzenie, Walentynki, Wielkanoc – nie rozładowane worki z pocztą walają się po kątach, wiele przesyłek się gubi, traci ważność, jest dostarczana z humorystycznym opóźnieniem.

Dochodzę do wniosku, że w Polsce stało się normą, że rzeczy mniej ważne robi się kosztem ważniejszych. Ten właśnie brak umiejętności hierarchizowania spraw powoduje ów ogólny, wszędzie wyczuwalny chaos, o którym mówiłam na wstępie.

Nowy układ, nowi ludzie, ale burdel ten sam. (Przepraszam, nie chciałam użyć tego słowa, samo wyszło.)

Moim zdaniem, dzieje się tak i dlatego, że rządzący patrzą na nas przez szybkę. Są daleko. Odgradzili się od nas dobrobytem, wynikłym z ustanowionych sobie uposażeń, odbiegających zbyt odlegle od średnich zarobków i choć, być może, chcą dobrze, ale siłą rzeczy żyją w odrębnym świecie, pilnujący, żeby go nie utracić.

Chęć izolacji wyraża deklaracja ministra zdrowia o zniesieniu kliniki rządowej, którą indagowany potwierdził, tyle, że okazała się pozorantem. Prawdopodobnie zmienione będą jedynie dotychczasowe budynki, ale tryb leczenia dostojników państwowych i ich rodzin będzie nadal specjalny. „Bo źle by było, gdyby w gorączce poseł wypaplał sali tajemnice państwowe” – tak brzmiał tenor argumentacji.

I po co ta gadka? Przecież wiadomo, że gdyby premier zachorował i tak dano by mu separatkę i w zwyczajnym szpitalu troszczono by się o niego niewyzwyczajnie.

Szpitala, istotnie, są pogrążone w wieloletnim letargu i powoli mrą wraz ze swoimi pacjentami, natomiast gabinety dentystyczne, przeciwnie, rozkwitają. Jest nadzieja, że Polaków już niedługo będzie można rozpoznać jedynie po brudnych butach, a nie jak dotychczas – po butach i zepsutych zębach.

Stomatologia kwitnie, może dlatego, że *de facto*, w całości sprywatyzowana. Społeczne leczenie zębów jest kompletnym pozorem. Opowiadała mi dentystka, że kiedy jeszcze pracowała w przychodni rejonowej, pierwszą rzeczą, którą robiła było sięgnięcie po zeszyt oczekujących. Oczekiwanie było wieloletnie. Brała nazwiska po kolei z listy i dzwoniła, żeby usłyszeć odpowiedź: nie żyje, nie żyje, nie żyje... Nie doczekali – ani plomb, ani protez.

Zęby są małym wycinkiem naszego ciała, więc sprywatyzować ich leczenie stosunkowo łatwo. Nie wiem, czy tę metodę można polecić całemu szpitalnictwu, ale wiem, że wielu pacjentów, starych i młodych, wysupałoby ostatni grosz, żeby leczyć siebie i swoje dzieci w prywatnych szpitalach, których brak staje się coraz dotkliwszy.

Sądzę, że za utrzymaniem *status quo* stoi nie tylko indolencja ministerstwa, ale i sami lekarze. Do prywatnego lecznictwa zaangażowano by najlepszych, cała reszta, a jest nią wielka rzesza – grubo ponad potrzeby – która teraz sfrustrowana obija się po szpitalach – byłaby zagrożona. To oni w gruncie rzeczy hamują reformy.

Dowiedziałam się z pewnym zdziwieniem, że firmy zarządzające promocyjne konferencje prasowe kładą na fotelach dla dziennikarzy, już nie notes, długopis czy kalendarz, ale wielkie torby wypchane kosztownymi gadżetami technicznymi. Niektórzy koledzy przychodzą wcześniej, przed innymi, i przekładają z cudzych toreb co lepsze towary do swoich.

Zawiało komuną. Wtedy też na branżowych konferencjach można było sobie załatwić z dyrekcją niedostępny komplet mebli, lodówkę czy pralkę. Nie było to wcale wstydem, przeciwnie – powodem do dumy. Pamiętam koleżankę, która kazała nam patrzeć, jak się to robi. W zupełnym lekceważeniu byli ci, którzy tego nie robili. Broń Boże, nikt nie przyznawał się, że im etyka nie pozwala.

Słowo „etyka” nie istniało. Granice między dobrem a złem zatarte były dokumentnie. Dlatego okres Gierka, przywoływany i dziś przez niejednego z łezką jako czas otwarcia, uważam za najbardziej deprawacyjny w PRL-u. Było to rzeczywiste otwarcie, ale na wszelką hochsztaplerkę.

Ludzie, którzy wtedy zaczęli od cinkciarstwa, czyli od nielegalnej giełdy ulicznej, dlatego potem porobili fortuny, bo mieli dobrą zaprawę w spekulacjach, których nauczył ich chory system. Szczęściem, większość potrafiła się odnaleźć w systemie prawa i rzetelnego wolnego rynku, ale echa „starego” przetrwały.

Bo „stare” nie rezygnuje tak łatwo; wraca drobną strużką, ale nieustrudzenie. Czy przepchnie się przez świeżo zbudowaną barierę w postaci Rady Etyki Mediów? Zobaczymy.

Co się dzieje z posłanką Unii Wolności, Iwoną Ślezińską-Katarasińską? Przepadła. Kamień w wodę. W czasie kampanii wyborczej niezwykle aktywna, kompetentna, jej głos był sensowny i słyszalny, zdawałoby się bezkonkurencyjna kandydatka na ministra kultury w rządzie Buzka.

I gdy już niemal obejmowała Pałac Potockich na Krakowskim Przedmieściu, wtedy wytknięto jej dwa artykuły sprzed trzydziestu laty, jakie, jako młodziutka adeptka dziennikarstwa popełniła w prasie łódzkiej w „tonacji marcowej”.

Natychmiast wycofała swoją kandydaturę, a ataki skwitowała krótko: „było to z mojej strony głupie i podłe”. I umilkła.

Pamiętam, że gdy w popularnej radiowej Trójce posypały się głosy z wyrazami uznania dla jej odwagi cywilnej, byłam z nimi solidarna.

Dlaczego nie umiemy przebaczyć ludziom błędów Marca, skoro umieliśmy przebaczyć tyłu błędzącym politycznie wcześniej?

Luty 1998 r.

Ewa BERBERYUSZ

## KSIĄŻKI POLSKIE

### ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

#### DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

### ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

### SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

## Sprawy i troski

# Polskie zabiegi o wejście do UE

W związku z mającym nastąpić przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, 10 lutego br. przyjechał do Polski z oficjalną wizytą John Corrie – przewodniczący Komisji do spraw Rolnictwa w Parlamencie Europejskim. John Corrie jest konserwatywnym posłem do Parlamentu Europejskiego z okręgu Leicester. Przewidziane było zebranie dyskusyjne z polskim ministrem rolnictwa Jackiem Janiszewskim, na które John Corrie przygotował kwestionariusz pytań dotyczących spraw, które chciał wyjaśnić. Zebranie odbyło się. Min. Janiszewski powitał gości, wygłosił krótkie przemówienie, po czym wyszedł, zostawiając młodego urzędnika, który przeprosił gości, mówiąc, że pan minister miał inne ważne spotkanie, następnie zamknął zebranie. Pytań ani odpowiedzi nie było.

Podajemy treść spraw i pytań, które pan Corrie chciał przedstawić:

Rolnictwo jest najtrudniejszym dla Polski problemem w staraniach o przyjęcie do Unii Europejskiej.

W UE istnieje nadprodukcja w większości rolniczych sektorów, co pochłania prawie 50% całego budżetu na rzecz Rolniczej Wspólnoty. Konieczne są zmiany.

W sprawach polityki rolniczej jestem osobiście zainteresowany jako szkocki farmer, hodujący bydło i owce. Na mojej farmie, liczącej 2500 hektarów zatrudniam dwóch robotników. W sobotę odwiedziłem parę gospodarstw w Poznańskim, żeby z pierwszej ręki poznać sytuację i doszedłem do wniosku, że w waszym rolnictwie muszą być przeprowadzone większe i poważne zmiany.

Na jednej farmie, którą zwiedzałem było sto krów, ale mleko było prawie całkowicie nie do użytku z powodu wielkiej ilości bakterii. Prowadzi to do bardzo niskiej ceny mleka.

Na farmie tej było 70 sztuk bydła na ubój w różnym wieku. Produkcja zboża z 200 hektarów ornej ziemi wynosiła 300 ton, czyli 30% tego co powinno być. Farma zatrudnia 23 robotników. Przy nowoczesnych maszynach wystarczyłoby sześciu. Produkcja w tym gospodarstwie mogłaby być pięć razy większa przy odpowiednich inwestycjach i lepszej gospodarce.

Moje pytania są bardziej politycznej natury:

W roku 1945 państwo skonfiskowało większość ziem w Polsce. Obecnie, gdy istnieją różni właściciele, sytuacja jest bardzo niejasna i skomplikowana.

Jak zamierzacie sprawiedliwie rozwiązać tę sprawę?

Niektóre majątki, które są prywatną własnością, są wdzierżawione. Właściciel może otrzymać swoją ziemię z powrotem, ale nie może jej uprawiać.

Czy rodziny właścicieli, którzy stracili ziemię w 1945 r. otrzymają ją z powrotem, czy dostaną za nią odszkodowania?

Ziemia, która była własnością państwa i została sprzedana, nie może być zwrócona poprzednim prywatnym właścicielom?

Czy zgadza się Pan, że tytuł własności w rolnictwie jest ważnym elementem, jeżeli będziecie chcieli inwestycji z zagranicy?

Czy cała ziemia będzie sprywatyzowana?

Czy wolno będzie farmerom z krajów Unii Europejskiej kupować ziemię w Polsce?

Czy zgodzicie się na *jointe venture* inwestycyjne?

Polski potencjał produkcji rolniczej jest ogromny w Unii Europejskiej, w której przelewa się od nadprodukcji produktów żywnościowych.

### WIEŚ/MIASTO

1. Zatrudnienie versus mechanizacja.
2. Gatunek produktów.
3. Tytuł własności ziemskiej.

John Corrie jest bardzo przychylny Polakom, jako bliski przyjaciel zmarłego lorda St. Oswalda.

Powyzsze informacje publikujemy za wiedzą posła Johna Corrie.

Na farmie tej było 70 sztuk bydła na udół w różnym wie-  
 kach. Produkcja chłopa z 200 hektarów oraz ziemi wynosiła 300  
 ton, czyli 30% tego co powinno być. Farma zaradniała 25 to-  
 pociników. Przy nowoczesnych maszynach wystarcząby  
 sześć. Produkcja w tym gospodarstwie mogłaby być pięć razy  
 większa. W gospodarstwach i gospodarce

## Sąsiedzi

# Notatki rosyjskie

Decyzja o przełożeniu marcowego spotkania przywódców państw WNP zapadła w ostatniej chwili. Szczyt zaplanowano na 19 marca. Na dwa dni przed tą datą z Kremla wciąż płynęły zapewnienia, że mimo choroby prezydent Jelcyn weźmie udział w obradach. 18 marca wieczorem ogłoszono jednak, że spotkanie odbędzie się pod koniec kwietnia.

„Stan zdrowia rosyjskiego przywódcy nie ma nic do rzeczy – pisze komentator dziennika *Sieгодня*, Gieorgij Bowt (18.03.1998). – O tym, że stan prezydenta jest ciężki, było wiadomo już przed tygodniem. Spotkanie odwołano, gdyż wszystko wskazywało, że zakończy się ono dla Rosji klęską (...). Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Reintegracja Wspólnoty to utopijny projekt moskiewskiej elity politycznej. Owszem, poszczególne republiki będą nawiązywać alianse między sobą. Będą też wchodzić w sojusze z państwami trzecimi. Nie miejmy jednak złudzeń. Sojusze i alianse będą wymierzone przeciw Rosji. Czy w tych warunkach 'strategia nostalgii za Krajem Rad', którą z zapałem realizuje obecna ekipa, ma jakikolwiek sens? Polityka wobec najbliższych sąsiadów powinna się opierać na zdrowym pragmatyzmie i rachunku ekonomicznym” – podkreśla Bowt.

Podobny ton dominuje w pozostałych komentarzach. „Wystarczy spojrzeć na dotychczasowy dorobek WNP, by zrozumieć na czym polega sytuacja wielokrotnie sygnalizowana przez rosyjskich politologów, publicystów i analityków. W ciągu siedmiu lat Rada Szeów Rządów Państw Wspólnoty podpisała 886 dokumentów. Niestety, zaledwie 130 z nich sygnowali przedstawiciele wszystkich dwunastu państw.

Większość porozumień umarła „śmiercią naturalną”. Nie udało się zbudować Zjednoczonych Sił Zbrojnych, nie ma mowy o wspólnej ochronie granic b. ZSSR i o jednolitym systemie pieniężnym...

W ciągu siedmiu lat istnienia WNP zaledwie 5 dokumentów przeszło wszystkie procedury ratyfikacyjne i posiada dziś moc prawną (m.in.: Porozumienie o utworzeniu WNP, Status i Układ o bezpieczeństwie zbiorowym). W pracach Zgromadzenia Międzyparlamentarnego nie bierze udziału Ukraina, Uzbekistan i Turkmenia. W Radzie Ministrów Obrony WNP nie ma przedstawicieli Kiszyniowa, Aszchabadu i Kijowa. Rada Dowódców Wojsk, Ochrony Pogranicza nie może się poszczycić obecnością reprezentantów Ukrainy, Azerbejdżanu, Mołdawii i Turkmenii. W Trybunale Gospodarczym „brakuje” prawników ukraińskich, azerbejdżańskich i turkmeńskich. Największymi *outsiderami* są, jak widać z powyższej wyliczanki, Turkmenia, która nie uczestniczy w pracach 31 instytucji, Gruzja (28) oraz Ukraina (16).

Wspólnota przeżywa głęboki kryzys. Kraje Azji Środkowej oraz przywódcy Gruzji i Azerbejdżanu w ostatnich tygodniach kilkakrotnie dawali do zrozumienia, że traktują WNP jako „przejściową formę kooperacji”. Jeśli dodać do tego rosnące zaangażowanie gospodarcze USA, Niemiec i Wielkiej Brytanii w b. republikach, od razu można zauważyć, że pole geostrategicznego manewru rosyjskiej polityki zostało ograniczone do minimum”.

Czy Moskwa może coś zyskać przekładając termin szczytu? – zastanawiają się komentatorzy. „Kremlowi udało się uniknąć kolejnego skandalu” – twierdzi Siergiej Karlien, komentator Dziennika *Niezawisimaja Gazieta* (18.03.1998). „Po prostu na szczycie w Kiszyniowie władze FR mogły się spodziewać już tylko najgorszego, a mianowicie: kolejnych inicjatyw integracyjnych stanowiących kontrpropozycje wobec Związku Białorusi z Rosją (chodzi o koncepcję stworzenia jednolitego systemu gospodarczego czterech państw: Rosji, Białorusi, Kazachstanu i Kirgizji) oraz ponowienia przez Azerbejdżan i Gruzję prób sabotowania prac WNP. To nie przypadek, że wymawiając się chorobą, rosyjski prezydent polecił jednocześnie wicepremierowi Iwanowi Rybkinowi, ministrowi d/s współpracy z WNP Anatolijowi Admiszynowi



i wiceministrów spraw zagranicznych Borysowi Pastuchowi udać się w długą podróż po stolicach państw WNP w celu „uzgodnienia treści dokumentów”.

„Prezydentowi i jego współpracownikom potrzebny jest dziś sukces” – pisze na łamach gazety *Kommiersant Daily* (18.03.1998) Jurij Czubaszenko. Niezależnie od wysiłków Kremla perspektywa pomyślnego dla Moskwy uregulowania stosunków z b. republikami wciąż się jednak oddala. Ton komentarzy prasowych dotyczących kondycji Wspólnoty i odpowiednio – roli Rosji na obszarze sowieckim staje się zaś coraz bardziej dramatyczny. Czy Rosja jest skazana na porażkę? Aby uzyskać odpowiedź na tak postawione pytanie, trzeba wprawdzie zastanowić się nad przyczynami dotychczasowych niepowodzeń Kremla.

„Odrodzenie Rosji nie będzie możliwe bez powrotu najlepszych tradycji z okresu petersburskiego. Przed przewrotem bolszewickim Rosja stanowiła nieodłączną część Europy. Uczestniczyła aktywnie w jej życiu duchowym i politycznym. Chciała być i była państwem europejskim. Aby odzyskać narodową tożsamość musi zatem ponownie zjednoczyć się ze światem zachodnim...”. Emigracyjny historyk Władimir Weidle napisał te słowa w 1968 r., w przededniu „Praskiej Wiosny”. Po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, nic nie wskazywało na to, że jego marzenia kiedykolwiek się urzeczywistnią. Szansa przezwyciężenia podziałów istniejących w Europie pojawiła się dopiero na początku lat 90., gdy runął system komunistyczny.

Był to warunek konieczny, lecz jak się okazało nie wystarczający. W 1991 r. Rosja otworzyła się na świat z nadzieją, że akceptacja zachodniego systemu wartości i przyjęcie reguł wolnego rynku, przybliży perspektywę wyjścia z kryzysu gospodarczego i społecznego. Spodziewano się napływu obcych kapitałów oraz wielkich inwestycji. Zarazem jednak większość Rosjan bez zastrzeżeń przyjmowała tezę, że po pokonaniu trudności ekonomicznych Federacja Rosyjska odtworzy dawny system zależności na obszarze b. ZSSR i tym samym odzyska „utrącony” prestiż. „Rozsądek przywiedzie do nas na nowo republiki” – twierdził sekretarz stanu Giennadij Burbulis. Warto dodać, że to właśnie jemu opinia publiczna przypisała pomysł likwidacji ZSSR oraz ideę utworzenia Wspólnoty Niepodległych Państw.

Wspólnota miała przypominać struktury europejskie i podobnie jak one służyć dziełu integracji. Tyle tylko, że w wypadku b. republik nie mogło być mowy o zjednoczeniu równych, cieszących się pełnią niepodległości państw. WNP od początku cechowała „asymetryczność” wynikająca z dysproporcji w poziomie rozwoju gospodarczego oraz z faktu, że poszczególne kraje uczestniczą tylko w wybranych formach współpracy. Potencjał surowcowy, militarny i demograficzny Rosji znacznie przewyższa skromne możliwości pozostałych sygnatariuszy „Porozumienia o utworzeniu WNP”. Siłą faktu odgrywa więc on rolę lidera, co dodatkowo pogłębia wspomnianą wyżej asymetrię. Trzeba też pamiętać, że dla jednoczącej się Europy podstawowym układem odniesień jest mit o wspólnocie cywilizacyjnej. W wypadku państw posowieckich poczucie jedności wynika natomiast z niedawnej koegzystencji w sowieckim państwie. Jednostronna zależność republik od Moskwy w czasach, gdy istniał ZSSR, pozostawiła trwałe ślady. Rosyjscy politycy, a także publicyści, do dziś nie oswoili się z myślą, że „wspólna sowiecka historia i trwałe powinowactwa kulturowe”, na które tak często się powołują, stanowią zaledwie część narodowego dziedzictwa Ukrainy, Białorusi czy Kazachstanu.

Wbrew temu, co twierdzą rosyjscy analitycy, nadrzędnym zadaniem WNP nigdy nie było „osiągnięcie poziomu wzrostu gospodarczego z czasów ZSSR”. Wspólnota była przede wszystkim „sposobem na przetrwanie” w okresie zamętu spowodowanego rozpadem ZSSR. Powołanie jej do życia oddaliło groźbę konfliktów i chaosu na terytorium posowieckiej Eurazji. W 1991 r. żywe były obawy, że proces rozpadu ZSSR obejmie nie tylko republiki związkowe, ale również wchodzące w ich skład autonomiczne terytoria narodowościowe. Zarazem jednak z chwilą utworzenia WNP został utrwalony porządek, jaki zarysował się na początku lat 90., a wraz z nim ówczesny układ sił. Wspólnota okazała się instytucjonalną pułapką, z której trudno byłoby się dziś wy dostać bez naruszenia delikatnej równowagi, jaka zapanowała w relacjach między b. republikami i Rosją. Starają się one umocnić swą niezależność, nie zrywając przy tym kontaktów gospodarczych z Moskwą. Ta ostatnia zaś, ostrożnie stymulując tendencje zjednoczeniowe, kieruje się w swej polityce

wobec państw posowieckich przede wszystkim rachunkiem ekonomicznym oraz względami bezpieczeństwa. Stan zawieszenia i brak ostatecznych rozstrzygnięć jest wygodny dla wszystkich stron.

Utrudnia to jednak kontakty z państwami Zachodu, które po klęsce sierpniowego puczu w 1991 r. i likwidacji ZSSR spodziewały się radykalnej „rekonfiguracji przestrzeni posowieckiej”. Proces ten przebiega jednak powoli. Prawdopodobnie rozciągnie się na całe dziesięciolecie. Politykom wywodzącym się z tej części sowieckiej nomenklatury, która przejęła władzę po upadku Michaiła Gorbaczowa, nie zależy zresztą na jego przyspieszaniu. Tyle tylko, że bagatelizowanie przez nich ścisłej zależności, jaka istnieje między relacjami z Europą Zachodnią, polityką państw posowieckich i krystalizującą się dopiero tożsamością rosyjskiej wspólnoty etnicznej, może mieć opłakane skutki. Dalsze zwlekanie z „samookreśleniem się” Rosji może skutkować nasileniem tendencji odśrodkowych. Jeśli władze federalne nie znajdą płaszczyzny, która pozwoliłaby wszystkim republikom autonomicznym, krajom i obwodom utożsamiać się z Rosją (nie zaś z jakąś pozostałością po ZSSR, która kto wie czy znów nie obrośnie utraconymi na pewien czas terytoriami), ponura wizja dezintegracji stanie się faktem...

Związek Sowiecki przestał istnieć jako „podmiot prawa międzynarodowego i byt geopolityczny” w grudniu 1991 r. Dziś wiemy, że był to najbardziej sprzyjający moment dla dokonania zasadniczych przewartościowań w sferze polityki zagranicznej i wewnętrznej. Moment ten przegapiono. Władze „nowej Rosji” długo nie potrafiły udzielić odpowiedzi na pytanie, jakie państwo, w sensie ustrojowym i ekonomicznym, zamierzają stworzyć. Przede wszystkim zaś nie określiły jednoznacznie swego stosunku do niepodległości republik. Moskwa oficjalnie uznała ich niezależność pod koniec 1991 r. Nie zmienia to faktu, że państwa posowieckie były i nadal są widziane jako „bliska zagranica”, „strefa wpływów” lub „niezbywalna część euroazjatyckiego monolitu geopolitycznego”. Intencje Kremla wciąż nie są jasne, co jest szczególnie niepokojące w kontekście decyzji o przyjęciu do Paktu Północnoatlantyckiego Polski, Czech i Węgier. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że postulowane przez Władimira

Weidlego zjednoczenie z Europą ograniczyło się do krótkotrwałego okresu „urzeczenia Zachodem” w latach 1991-1992? Gdy tylko okazało się, że Stany Zjednoczone oraz ich europejscy sojusznicy zamierzają kształtować relacje z niepodległą Ukrainą, Azerbejdżanem czy Gruzją bez oglądania się na Moskwę, w Rosji odżyły nastroje antyzachodnie. Gwoli ścisłości trzeba jednak dodać, że ulegli im przede wszystkim działacze polityczni, analitycy, i zwykli propagandyści.

„To nie przypadek, że przedstawiciele Waszyngtonu prawie nie używają określenia Wspólnota Niepodległych Państw, natomiast wciąż mówią o stosunkach dwustronnych z niezależnymi państwami” – zżyma się autor wydanej niedawno książki „Gieopolitika sowriemiennosti i gieostrategija Rossiji” (Geopolityka w dobie obecnej i geostrategia Rosji) Konstantin Sorokin. „Proces stopniowego ograniczania naszych wpływów jeszcze się nie zakończył. Nowy podział świata skutkował, jak dotąd ‘oderwaniem’ od Rosji krajów Europy Środkowej oraz Południowej, a także państw socjalistycznych w Azji i Afryce. Teraz należy się spodziewać ‘ekstradycji’ Rosji z WNP i ograniczenia jej wpływów do obszaru zajmowanego niegdyś przez Księstwo Moskiewskie”. Konstantin Sorokin jest dyrektorem Instytutu Studiów Strategicznych RAN. W latach 1993-1994 był stypendystą Uniwersytetu w Stanford. Przypisując państwom Europy Zachodniej ekspansjonizm, a Stanom Zjednoczonym zamiar narzucenia Rosji amerykańskiej wizji świata i stylu życia, całym ciężarem winy za zły stan państwa i słabą pozycję na arenie międzynarodowej obarcza rządzących Rosją polityków. „Rosyjska elita jest skorumpowana, w związku z tym trudno od niej oczekiwać, że podejmie wysiłek odzyskania wpływów w dawnych republikach związkowych. Jedyłą siłą, która mogłaby sprostać temu wyzwaniu są rosyjscy przedsiębiorcy. Przede wszystkim zaś – kręgi finansowe”.

Chęć zaszkodzenia Rosji dostrzega w polityce Zachodu również Siergiej Kortunow. W artykule „Kakaja Rossija nużna miru?” (Jakiej Rosji potrzebuje świat?), opublikowanym na łamach kwartalnika *Pro et Contra*, Kortunow napisał: „zwoleńnicy ostatecznej dezintegracji przestrzeni posowieckiej i odpowiednio – rozbitcia Federacji Rosyjskiej, nie powinni zapominać, że rozwiązanie ZSSR, podobnie zresztą, jak proklamowanie końca monarchii w 1917 r., było sprzeczne z pra-

wem (należało przestrzegać jednakowej procedury opuszczenia państwa związkowego przez republiki; prawo do secesji powinno obejmować wszystkie narody i grupy etniczne bez względu na ich liczebność). Z tego punktu widzenia – konkluduje – nowe państwa nie mogą być traktowane tak samo jak inni członkowie wspólnoty międzynarodowej”. Podobnie jak „Rosja mniejsza”, wydzielona z tej większej w 1991 r., wypełniają one „wirtualną przestrzeń ‘Wielkiej Rosji’”. Przestrzeń ta jest niepodzielna.

Ani Kortunow, ani Sorokin nie są przedstawicielami skrzydła nacjonalistycznego. Hasła „mocarstwowość nade wszystko” czy „odbierzmy, co nasze” są im obce. Należy ich uznać raczej za pragmatyków, gdyż postulują – jak Kortunow – zaprzestanie starań o przyznanie Federacji Rosyjskiej statusu supermocarstwa („świadome i spontanicznie podejmowane próby zajęcia przez Rosję miejsca Związku Sowieckiego w światowym systemie gospodarczym i w sferze geopolityki grożą katastrofą”) oraz rewizję relacji z b. republikami. Powinny być one wypadkową narodowych interesów Rosji, i specyficznych uwarunkowań geostrategicznych – uważa Sorokin. „Musimy się zastanowić, co mogą nam zaoferować nasi posowieccy sąsiedzi. Nie wszyscy razem, lecz każdy z osobna”. To samo proponuje wykładowca stosunków międzynarodowych na uniwersytecie w Niżnym Nowgorodzie, Dmitrij Bałujew. „Nie wiedzieć dlaczego ‘asymetryczność’ WNP, o której tyle już napisano, nigdy nie stała się punktem wyjścia analiz dotyczących relacji Rosji z najbliższymi sąsiadami”. Zdaniem Bałujewa „polityczny realizm” (sprowadzający się do obrony interesów państwa z wykorzystaniem posiadanego potencjału i mocy wojskowej) wcale nie wyklucza podejścia liberalnego (zakładającego, że istnienie ponadnarodowych instytucji oraz przestrzeganie powszechnie akceptowanych reguł gry przybliży perspektywę realizacji celów ogólnoludzkich). „Postulaty liberalnego instytucjonalizmu – podkreśla – powinny stać się punktem wyjścia polityki wobec terytoriów, które łączy z Rosją wspólna historia i kultura (...). Warunkiem sukcesu jest wysoki poziom współzależności ekonomicznej oraz duży odsetek ludności rosyjskiej w republikach i przedstawicieli danej mniejszości w Rosji. Takie warunki spełnia dziś tylko Ukraina i Białoruś. W polityce wobec pozostałych

republik należy się trzymać zasad politycznego realizmu”.  
 Czy współczesna Rosja ma dość sił, by zrealizować postulaty politologów? W ciągu minionych lat Kreml nie szczędził wysiłków dyplomatycznych, by przekonać społeczność międzynarodową, że Federacja Rosyjska odziedziczyła po ZSSR nie tylko broń jądrową, ale również status supermocarstwa. W wielu oficjalnych wystąpieniach i dokumentach wagi państwowej (np. w „Założeniach Polityki Zagranicznej FR” z 1992 r. oraz w „Koncepcji Bezpieczeństwa Narodowego FR” zatwierdzonej w grudniu 1997 r.) wskazywano, że Rosja uważa terytorium b. Związku Sowieckiego za „strefę żywotnych interesów”. O sile i znaczeniu państwa decydują jednak nie deklaracje polityków, lecz przede wszystkim potencjał gospodarczy oraz militarny, jakim aktualnie dysponuje. Rosja zaś przeżywa „jeden z największych w swych dziejach kryzysów” – twierdzą zgodnie publicyści. W obecnej sytuacji nie byłaby w stanie urzeczywistnić marzeń o przywróceniu dawnej potęgi i świetności. Koszty społeczne i ekonomiczne odbudowy imperium najprawdopodobniej znacznie przewyższyćby ewentualne korzyści. Ponadto nie ma żadnej gwarancji, że społeczeństwo Rosji poparłoby taki projekt. „Cel jest bez wątpienia szczytny. Wizja państwa powinna jednak odpowiadać rzeczywistym możliwościom. Nasi liderzy muszą to w końcu zrozumieć” – zauważył cytowany już Siergiej Kortunow. „W ocenie sił i środków, którymi dysponuje Rosja, jej przywódca aż nazbyt często wykazuje brak realizmu” – odnotowali z kolei eksperci londyńskiego Instytutu Studiów Strategicznych.  
 Niepowodzenia w sferze polityki zagranicznej, przede wszystkim – fiasko rosyjskiej misji dyplomatycznej na Bałkanach, bezmyślna i okrutna operacja przywracania ładu ustrojowego w Czeczenii oraz sprzeczna z długofalowymi interesami Rosji decyzja o rozszerzeniu NATO na wschód, którą Kreml bezskutecznie usiłował zablokować, nie pozostawiły złudzeń, co do efektywności dotychczasowej strategii Moskwy. Bilans osiągnięć nie wygląda imponująco. To samo można powiedzieć o polityce FR wobec państw posowieckich. „Rosja z zaniepokojeniem odnotowuje zwiększanie się politycznej i gospodarczej obecności państw zachodnich w b. republikach” – oświadczył w lutym 1998 r. wiceminister spraw zagranicznych Borys Pastuchow. Według szacunków resortu „łączna

kwota kredytów uzyskanych przez kraje WNP od państw trzecich w 1997 r. podwoiła się i wynosi obecnie 25 miliardów dolarów. Suma ta wielokrotnie przewyższa kredyty udzielone przez Rosję. Podobna sytuacja ma miejsce w handlu zagranicznym. Państwa Europy Zachodniej i Stany Zjednoczone są głównym partnerem republik (50% wymiany, przy 40-procentowej wymianie z Rosją).

O kryzysie WNP – i odpowiednio klęsce dotychczasowego kursu w polityce wobec „bliskiej zagranicy” – mówią dziś wszyscy. Od kilku miesięcy szeroko rozpisuje się na ten temat prasa. „Rozwój Wspólnoty cechuje brak dynamizmu” – stwierdził ze swej strony prezydent Jelcyn w dorocznym orędziu o stanie państwa (luty 1998 r.). Federacja Rosyjska zamierza się w związku z tym skoncentrować na zacieśnianiu współpracy w ramach tzw. „wielkiej czwórki” składającej się z Rosji, Białorusi, Kazachstanu i Kirgizji oraz na umacnianiu unii państwowej z Republiką Białoruś. W pisemnej wersji orędzia odnotowano: „nie wzywamy nikogo do narażania na szwank własnych interesów narodowych. Sami również będziemy się trzymać tej zasady”. „WNP jest dla nas priorytetem” – oświadczył Jelcyn. W jaki sposób Moskwa zamierza pogodzić sprzeczne cele: ochronę własnych interesów, umacnianie Związku Białorusi z Rosją i konsolidację Wspólnoty, prezydent nie powiedział. Nie jest to jednak istotne. Większe znaczenie ma w tym wypadku fakt, że mimo krytycznych uwag przywódców WNP wypowiedzianych w trakcie szczytu w Kiszyniowie (październik 1997 r.), Jelcyn i jego współpracownicy nadal pozostają wierni obranej przed laty strategii. Jej sens sprowadza się do „przeczekania” trudnego okresu. Jeśli z tego punktu widzenia spojrzeć na politykę Kremla, sprzeczności tracą rzecz jasną na znaczeniu.

„Zróżnicowanie form i tempa integracji w ramach WNP jest zjawiskiem pozytywnym” – powiedział po zakończeniu szczytu w Kiszyniowie minister ds. kontaktów FR z państwami Wspólnoty, Anatolij Adamiszyn. „Na tej podstawie będziemy mogli wypracować optymalny model reintegracji”. Pytanie tylko, czy będzie jeszcze co jednoczyć? Już teraz w ramach WNP, choć poza jej strukturami, funkcjonują trzy wielkie sojusze gospodarczo-polityczne: Związek Białorusi z Rosją, alians Gruzji, Ukrainy, Azerbejdżanu i Mołdawii (tzw.

GUAM) oraz stowarzyszenie kazachstańsko-uzbecko-kirgiskie. W każdym wypadku chodzi o znalezienie nowych dróg transportu surowców energetycznych (gazu ziemnego i ropy naftowej) na Zachód. Jest to, jak wiadomo, poważne źródło dewiz, których nowe państwa bardzo potrzebują. Wydobyciem i transportem kaspijskiej ropy naftowej oraz gazu jest zainteresowana również Rosja. „Niedawne powierzenie Iwanowi Rybkinowi obowiązków wicepremiera odpowiedzialnego w rządzie FR za współpracę z krajami WNP to pierwszy krok na drodze do przejęcia kontroli nad ropo- i gazociągami przez wpływową grupę finansowo-przemysłową Borysa Bieriezowskiego” – uważa komentator dziennika *Kommiersant-Daily*, Iwan Pietrow (3.03.1998). „W następnej kolejności trzeba będzie rozstrzygnąć kwestię przyszłości rosyjskiej części szelfu kaspijskiego oraz rozwiązać sprawę transportu. Stawka jest wysoka. Właśnie dlatego jesteśmy dziś świadkami aliansu koncernu Sibneft’ z koncernem Jukos i awansu posłusznego Bieriezowskiemu Iwana Rybkina”.

„Przed Rosją są trzy drogi – twierdzi Tatiana Aleksiejewa z Instytutu Filozofii RAN – 1) skok technologiczny i odrodzenie gospodarcze, które ułatwią powrót do grona najbardziej rozwiniętych państw świata, 2) dalsze pograżanie się w kryzysie, który uczyni zeń „surowcowe zaplecze mocarstw” lub 3) „przedłużający się stan tymczasowości”. Rosyjskim patriotom najbardziej odpowiadałby wariant pierwszy – podkreśla Aleksiejewa, przyznając jednocześnie, że najbardziej prawdopodobny jest wariant trzeci. Oznacza to, że polityka Moskwy nadal będzie niekonsekwentna i pełna sprzeczności. W tych warunkach nie sposób oczywiście rozwiązać palących problemów, które stoją dziś przed Rosją – zbudować przyjazne stosunki z bliższymi oraz dalszymi sąsiadami (co jest wzajemnie uwarunkowane) i podjąć trud określenia rosyjskiej tożsamości.

Hercen napisał kiedyś, że na wyzwanie rzucone przez Piotra Wielkiego Rosja zareagowała dopiero po kilkudziesięciu latach. Odpowiedzią była poezja Puszkina. Jaka będzie odpowiedź Rosji na wyzwania doby obecnej?

Mariusz SIELSKI

## Wewnętrzne konflikty ukraińskie

Ukraina przed wyborami. Zanim się ta korespondencja ukaze, będzie już po wszystkim. Trudno się bawić w przepowiednie, które z trzydziestu stronnictw wejdą do przyszłego parlamentu. Prognozy są ryzykowne, bo obraz przedwyborczy jest mocno zamazany, pełen cieniów i przejawów. Obiektywnych informacji nie ma, bo nie ma bezstronnych gazet, radiostacji, telewizji. Ukraina jest chyba jedynym w Europie krajem, gdzie rząd ma swoje pismo *Uriadowyj Kurier*, a parlament swoje *Hołos Ukrainy*. To ostatnie skrewiło, bo redaktor naczelny przystał do nowej mającej partii „Hromada” i gazeta służy jak w weneckiej komedii Goldoniego dwóm panom. Takich i podobnych niespodzianek jest mnóstwo i świadczą o płynności życia politycznego.

W siódmym roku niepodległości okazuje się, że Ukrainie nie udało się zbudować solidnych fundamentów niezależnej opinii publicznej. Dziennikarze nie potrafili ustalić zasad niezależności publicystycznej w umowach z wydawcami, a ci na skutek tego traktują redaktorów i reporterów jako swych niewolników. Chyba jedynym pismem, które zdobyło sobie niezawisłość jest lwowski dziennik *Wysokyj Zamok*, który dzięki takiej linii osiągnął ogromny nakład jak na prasę lokalną – ponad dwieście tysięcy egzemplarzy.

W Kijowie, Charkowie, Doniecku i Dniepropetrowsku sytuacja wygląda o wiele gorzej. Żadne pismo nie jest w stanie skomentować wydarzeń wyborczych wszechstronnie i bezstronnie. Przed rokiem powstał *Deń*, zapowiadany jako liberalny dziennik. Start był istotnie pomysłny i wyglądało, że Ukraina nareszcie otrzyma ogólnokrajową trybunę niezależnej publicystyki i informacji. Ale idylla trwała krótko. Okazało się, że trzymający się w cieniu anonimowy wydawca – były szef bezpieczeństwa i niedawny premier – Jewhen Marczuk, chciał czegoś innego, mianowicie bojowego organu w imię

rewanżu eks-premiera z zachowaniem maski liberalności. Doszło do konfliktu pomiędzy anonimowym władcą i oszukaną redakcją. Wygrał oczywiście Marczuk, który radykalnie wymienił skład redakcji. Kierownictwo przejęła jego dawna rzeczniczka z okresu premiershipy Iryna Iwszyna. Na miejsce dziennikarzy, którzy opuścili redakcję, przyszedli nowi, bardziej służalczy wobec żądań patrona.

### *Agresje i zawiści*

Faktycznie są to pierwsze wybory po odzyskaniu niepodległości, rozpisane według demokratycznej ordynacji wyborczej. Ale czy to na skutek długoletniej absencji, czy z powodu nader krótkiego czasu na przygotowanie procedury głosowania, dodatkowo obciążonego niepewnością czy prezydent podpisze ordynację czy ją odrzuci, czy też z braku elementarnej doświadczenia praktycznego, cała kampania wyborcza czyni niekiedy wrażenie mało wesołego, raczej ponurego wodewilu postkomunistycznego. Abstrahując od tego, że niemal przez noc nakociło się mnóstwo najprzeróżniejszych, dotychczas nie istniejących stronnictw, jak na przykład Partia Muzułmanów i to nie spośród Tatarów Krymskich, tylko dziwnym trafem w centrum ciężkiego przemysłu Doniecku, lub dziwacznych sojuszków. Wyborca otrzymał katalog programów, obiecujących znowu raj na ziemi. Jedni pragną przywrócić i ulepszyć raj socjalistyczny, drudzy obiecują reformy pod egidą silnego państwa, trzeci oferują odświeżony system faszystowskiego solidaryzmu narodowego. Ale wszystkie te programy to jeden wielki pic na muchy. Z każdego sformułowania wyziera maska fałszu, a ponieważ twórcy tych obietnic o kapitalistycznych, etatystycznych lub socjalistycznych złotych gruszkach na smutnych czarnobylskich wierzbach ukraińskich, sami widocznie nie wierzą w to co mówią i piszą, więc postanowili omamić wyborców czymś innym. I oto z plakatów jednej partii uśmiecha się ładna buzia aktorki Sumskiej (widocznie autorzy to purytanie, bo powinni byli pokazać jej smukłe nogi) a na innym buja pod obłokami mistrz świata w skoku o tyczce – Bubka, jeszcze gdzie indziej biegnie dla partii po głosy dawny

rekordzista świata Borzow, uśmiecha się, bo na plakacie nie ma głosu popularna śpiewaczka Matwijenko, a w konkurującym stronnictwie wabi okiem jej konkurentka z dziedziny lekkiej piosenki, Zofia Rotaru, ukraińsko-rumuńskiego pochodzenia, żyjąca i walcząca o swój dom w znanej skądinąd Jalcie.

Walka wyborcza toczy się nie o różnice programowe, bo te są dla olbrzymiej większości wyborców niezrozumiałe. Walka idzie o osoby i pomiędzy osobami. To zresztą istnieje również na Zachodzie, ale – jak zwykł był mówić mój przed laty zmarły przyjaciel Borys Łewyckij – „troszczuku inaczej”. Na Ukrainie akcja wyborcza doprowadziła do eksplozji agresji. Widocznie komunistyczna ideologia nienawiści i szukania wroga zapuściła głębsze korzenie, niż się dotąd wielu obserwatorom wydawało. Powstaje wrażenie jakby się czas cofnął. Przed czterema laty podczas ówczesnych wyborów atmosfera była spokojniejsza i bardziej cywilizowana. Dziwne, że socjologowie i psychologowie nie znajdują na to odpowiedzi.

Możliwe, że na zaostrzenie konfliktów wewnętrznych wpłynęła świadomość stabilizacji zewnętrznej państwa, ale to nie wyjaśnia w pełni brutalności w obyczajach politycznych, stosowania wszelkich intryg, pomawiania przeciwnika o najgorsze motywy jego działalności – słowem odwrót od tych czasów z pierwszego okresu niepodległości, kiedy zaczynały ząbkować kontury społeczeństwa obywatelskiego. Może wiatry z północy i z Kaukazu, gdzie się nie patyczkują z odmiennymi poglądami, a może nie przebiegająca w środkach walka ukraińskich klanów mafijno-kapitałowych, zgubiły powstającą demokratyczną kulturę polityczną.

Zawinił też Zachód – w bardzo szerokim pojęciu słowa, od USA, przez Anglię, Francję, Niemcy aż do Polski – bo Polska jest dla Ukraińców z wielu przyczyn i powodów nie tylko geograficzną strefą zachodnią, lecz również dzięki korzystniejszym warunkom historycznym bardziej rozwiniętym modelem politycznym i społecznym. Ryzykuję tezę, że Zachód właśnie wraz z Polską, zmarnował siedem lat w zmaganiach o demokrację na Ukrainie. Rządy nie miały żadnej koncepcji, bardzo często wrogą wobec „niechcianego” państwa, a potem pobłażliwie-zbywającą. Zawiodły zupełnie partie polityczne i związki zawodowe, które w historycznej rzeczywistości pojał-

tańskiej, wbrew głośzonym antykomunistycznym sloganom, obrosły tłuszczem wygodnictwa i oportunistu.

Mało tego, również w obliczu nadchodzących wyborów demokratyczny Zachód nie tylko, że nie poparł swoich prawdziwych sojuszników w Kijowie, ale narobił Ukrainie pełno nieprzyjemności, czy to blokując inwestycje Południowej Korei w przemyśle automobilowym czy w innych kwestiach. Najlepiej stoją akcje Ukrainy w USA, i to dzięki takim ludziom jak Zbigniew Brzeziński, ale w Kongresie istnieje też antyukraińska grupa i to przeważnie wśród republikańskiej większości. W Brukseli i w Strasburgu ukraińskie akcje wyglądają źle. Ukraina nie ma tam żadnego *lobby*. Jedynym rzecznikiem ukraińskich interesów w Parlamencie Europejskim jest chyba Otto von Habsburg. Taka jest rzeczywistość. Przykro, ale trzeba stwierdzić, że ogromna ukraińska emigracja po drugiej wojnie światowej nie zdołała utworzyć swoich grup nacisku na politykę. Początkowo umieli te sprawy prowadzić liberałowie i socjaldemokraci: Mudryj, Markaruszka, Mazepa, Fedenko. Ale ogół ukraińskiej emigracji został zdegradowany politycznie przez banderowców, którzy nie mieli już swoich starych kamratów faszystowskich. A ponieważ swoimi poglądami odstręczyli partie demokratyczne na Zachodzie, obecne nikłe związki z Zachodem są częściowo ich dziełem. Struktura ukraińskiej emigracji powojennej nie potrafiła, z wyjątkiem jednostek i małych grup intelektualnych na Harvardzie czy w Albercie w Kanadzie, zapewnić sprawie ukraińskiej poparcia.

W żadnym kraju (oprócz Rumunii, ale i tam po zmianie nazwy) nie doszło do odrodzenia profaszystowskich organizacji integralnego nacjonalizmu. Na tym tle doszło teraz w okresie walki wyborczej do poważnej scysji pomiędzy demokratami i postbanderowcami. Ale ponieważ na Ukrainie nigdy nie było solidnej debaty na temat rodowodu OUN, nikt teraz niczego nie rozumie.

„Zdrajca” Kuczma i „sprzedawczyk” Czarnowił

Tylko w tak zacofanym ustroju jak na Ukrainie mogło dojść do fenomenu graniczącego z politycznym skandalem, że

formacja związana ongiś z ideologią systemu faszystowskiego w Europie przebrała się w demokratyczne szaty w patriotycznych kolorach. Winni tego są wszyscy w Kijowie. Dawni komuniści pod wodzą Krawczuka bali się awantury z nacjonalistami, bo uwierzyli we własną propagandę o rzekomej potędze OUN na Zachodzie, a demokraci nie mieli zielonego pojęcia o znikomych politycznych wpływach ukraińskiego mini-totalitaryzmu i też nie ruszali getta OUN w zachodnich krajach. W ten sposób doszło do wzajemnego oszustwa. Zaczęła się mozolna degreolada.

A więc jest walka wyborcza i jest wolna gra w tak zwane „kompromęty” czyli w oczernianie kandydatów. I na tym polu niektórzy dokonują „wielkich” czynów. Nie szczczędzą nikogo i walą w każdego, oczywiście oszczędzając siebie. A z drugiej strony widać, że odbywa się tradycyjny nawrót do rozbratu pomiędzy „nimi” i „nami”, jak niegdyś pomiędzy starszyzną kozacką i czernią. Może to stąd, z pospólstwa, wywodzi się atawistyczne żądanie obalenia prezydenta państwa Kuczmy. Takiej frondy przeciwko niemu jeszcze nie było. Wołanie o przedwczesne odwołanie głowy państwa rozlega się z prawa na lewo. Przeciwko Kuczmie powstała pokaźna koalicja. Chociaż do wyborów prezydenta pozostaje jeszcze rok, obecna walka o miejsca w Werchownej Radzie ma już przedsmak jutrzejszych walk o fotel prezydencki. Ci sami ludzie, którzy go windowali w górę, lub zawdzięczali wpływy i karierę, obrzucają go dzisiaj błotem, wykorzystują każdą pomyłkę, każde potknięcie prezydenta, by go ośmieszyć lub osłabić.

Niedawno słychać było tylko pomruki sprzeciwu, teraz ruch oporu staje się coraz głośniejszy. Komuniści i socjaliści zarzucają Kuczmie, że przekształcił Ukrainę w kolonię NATO. Nacjonałiści krzyczą, że zdradził Ukrainę i oddał ją w łapy Moskwy. Dla pierwszych dowodem na oddanie kraju „zachodnim imperialistom” jest zeszłoroczna umowa o współpracy Kijowa z zachodnim sojuszem. Dla drugich powodem do oskarżeń o narodową zdradę jest podpisanie w końcu lutego umowy z Rosją o współpracy gospodarczej do roku 2007. Jest to ramowy układ przewidujący wszechstronny rozwój kooperacji, dający szanse zarówno firmom rosyjskim jak i ukraińskim do zdobywania rynków, ale w niczym nie ogra-

niczający suwerenności Ukrainy. Histeria, którą rozpętali nacjonałiści z Frontu Narodowego, włącznie z pogroźkami, że obalą Kuczme a potem postawią go przed Trybunałem Konstytucyjnym o zdradę stanu, jest ponurą groteską.

W wypadku przywódcy „Ruchu” Wiaczesława Czarnowiła, który pragnął pójść w ślady polskiej Akcji Wyborczej Solidarności i zjednoczyć wokół swojej partii drobniejsze stronnictwa centrowe, rozpętana przeciwko niemu kampania ma inną podszywkę. Kiedy zaproszone do wyborczej koalicji partie odrzuciły ofertę, natychmiast wszczęto przeciwko autorowi tej koncepcji akcję pomawiania go o ambicje wodzowskie, o podwójną grę polegającą na rzekomej opozycyjności, a w istocie wysługiwaniu się reżymowi Kuczmy. Najgłośniej wykrzykują nacjonałiści spod znaku banderowskiego, idący wraz z innymi prawicowymi radykałami do wyborów w ramach Narodowego Frontu. Wtórują im nowo upieczeni socjaldemokraci jak były szef bezpieczeństwa i zdetronizowany przez prezydenta dawny premier Jawhen Marczuk. Jedni wymyślają na Czarnowiła, bo ich denerwuje nienaganna antykomunistyczna przeszłość długoletniego więźnia Gułagu, odciągają tym samym uwagę wyborców od swych rodowodów. Inni oczerniają przywódcę „Ruchu”, szczególnie w Galicji i na Wołyniu w nadziei, że tą drogą uda się im przeciągnąć na swoją stronę dotychczasowych zwolenników wciąż jeszcze popularnej w tych regionach formacji społecznej.

### Groźba polityki „uszczelniania granic”

W obliczu walki wyborczej atrakcyjność współpracy polsko-ukraińskiej siłą rzeczy zeszła na drugi plan. Najgorsze, że w tym okresie ograniczonej aktywności, wyrosło ni stąd, ni zowąd zupełnie nowe i niesłychanie poważne zagrożenie, występujące pod niewinnym pozornie pojęciem „uszczelniania granic”. Jest ono zresztą zaprzeczeniem głoszonej do niedawna przez Kijów i Warszawę tezy o „otwarciu granic”.

W maju ubiegłego roku, przemawiając w Odessie podczas oficjalnej wizyty na Ukrainie, prezydent Aleksander Kwaśniewski wystąpił z koncepcją połączenia Bałtyku z Morzem Czarnym. Plan ten spotkał się z gorącym przyjęciem,

zwłaszcza wśród młodych zapaleńców do współpracy Polski z Ukrainą i Litwą, na razie bez Białorusi, jako brakującej dotychczas wizji przyszłości. Nastąpiło spotkanie prezydentów w Wilnie, wizyta Brazauskasa i Kwaśniewskiego u Giedroycia w Maisons-Laffitte, a wkrótce potem demonstracyjna podróż nowego ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, profesora Bronisława Geremka do Wilna i do Kijowa. A na początku nowego roku doszło do „akordu lwowskiego” prezydentów Polski i Ukrainy i do otwarcia nowego przejścia granicznego w Krakowcu. Lwowskie spotkanie wywołało euforię po obydwu stronach. Bardzo słusznie, bo usunięcie „syndromu lwowskiego” z naszych stosunków było od dawna konieczne. Przy tej okazji Leonid Kuczma wyraził przekonanie, że już niedługo polsko-ukraińska granica nie będzie się niczym różniła od polsko-niemieckiej lub od francusko-niemieckiej, a trochę później przejścia graniczne i wszelkie kontrole znikną raz na zawsze. Wydawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie dla podjęcia nowego etapu współpracy.

Ale minęło kilka tygodni i zwolennicy otwarcia granic dostali zimny prysznic z Warszawy i Brukseli.

Bohdan OSADCZUK

## Katastrofa czarnobylska – 10 lat później

O katastrofie czarnobylskiej mówili specjaliści, którzy byli naoczniymi świadkami awarii, jak również bezpośredni uczestnicy usuwania jej skutków – w książce „Czarnobylska katastrofa” (książka wydana w 1995 r. w wydawnictwie „Naukowa Mysl”, Kijów, Ukraina pod redakcją akademika Narodowej Akademii Nauk Ukrainy W.G. Barjachtara).

Wykład w stacji PAN w Paryżu, prof. L. Sirenko (Kijów, Instytut Hydrobiologii, Narodowa Akademia Nauk Ukrainy)

był poświęcony analizie skutków tej tragedii XX wieku. Oparty był na danych zawartych w wyżej wymienionej książce, jak i oddzielnych publikacjach (W. Kuchar, „Ukraina. Czarnobyl 10 lat później”, czasopismo *Przyroda Ojczyzna* Nr 2-3, 1996, str. 20-26) jak również na wynikach badań własnych autora.

Główną przyczyną awarii, podaną przez ekspertów międzynarodowej grupy konsultacyjnej do spraw pokojowego wykorzystania energii jądrowej był – BRAK KULTURY BEZPIECZEŃSTWA. To pojęcie wychodzi daleko poza granice eksploatacji obiektów atomowych i obejmuje wszystkie rodzaje działalności, a więc zarówno ustawodawczej jak i wykonawczej.

Wiadomo, iż podstawowymi pierwiastkami powodującymi napromienianie są Cs (cez), Sr (stront), Pu (pluton). Największą rolę odgrywa cez. Stront i pluton ogranicza się w zasadzie do 30 km strefy ochronnej wydzielonej wokół elektrowni czarnobylskiej jeszcze w 1986 roku.

W 1992 roku wykonano mapę rozpowszechnienia na terytorium Ukrainy następujących izotopów: Cs-134, Cs-137, Sr-90 i pierwiastków transuranowych. Stwierdzono, że 42.000 km<sup>2</sup> obszarów skażonych jest cezem (od poziomu 10<sup>10</sup>Bq/km<sup>2</sup>), strontem skażone jest 27.500 km<sup>2</sup> (od poziomu 0,5x10<sup>10</sup>Bq/km<sup>2</sup>). Strefa skażenia cezem pół gospodarstw wiejskich przekracza 12.000 km<sup>2</sup>, lasów – 15.000 km<sup>2</sup>. Wyłączono z produkcji 1.800 km<sup>2</sup> powierzchni.

Podstawowa masa odpadów radioaktywnych pokryła dorzecze Dniepru, gdzie żyje około 20 mln ludzi.

W ciągu 10 lat po katastrofie denne osady Dniepru wykazywały sumaryczną zawartość Cs-137 ocenianą na 1,85x10<sup>14</sup>Bq; Sr-90 na 5,5x10<sup>13</sup>Bq.

Podstawowym źródłem zagrożenia w chwili obecnej jest warstwa powierzchniowa w 30 km strefie, gdzie radioaktywne pierwiastki rozpowszechnione są nierównomiernie i około 95% radioaktywnych pierwiastków zalega w warstwie powierzchniowej o grubości 5-6 cm.

**Obrona ludności:** 27 kwietnia 1986 r. w ciągu 3 godzin z osiedla gdzie żyli specjaliści pracujący w elektrowni atomowej (miasteczko Pripjat) wywieziono około 45.000 ludzi, w tym około 17.000 dzieci. Do tego celu wykorzystano 1.100 autobusów, 3 składy pociągowe.



Ludzi wywożono bez rzeczy. W ciągu 1986 roku ze 188 zamieszkałych punktów (w tym Pripjat) wywieziono około 116.000 osób.

Do usuwania skutków awarii po pożarze zatrudniono około 340 tys. żołnierzy, w tym 24 tys. żołnierzy kadrowych.

Dopuszczalny poziom napromieniania dla pracujących ludzi ustalono na 0,25 Sv, tyle bowiem rekomendowała Międzynarodowa Komisja do Ochrony Radiologicznej dla ludzi pracujących w warunkach awarii. W 1987 roku poziom ten obniżono do 0,10 Sv, a w trzecim roku po awarii ustalono na 0,5 Sv.

W obecnym stanie, w sarkofagu (miejscu zabezpieczającym rozerwany blok jądrowy) skupiono około 180 t wypalonego paliwa jądrowego (w przeliczeniu na uran) to jest 96% paliwa znajdującego się w bloku przed awarią. Materiały zawierają więcej niż 20 mln curie, radioaktywnych substancji, wśród których znajdują się biologicznie niebezpieczne i długo żyjące cez-137, stront-90, izotopy plutonu. W obiekcie znajduje się około 10 ton „gorących cząstek” – to drobno zdyspergowane paliwo z cząstkami o wielkości od ułamka mikrona do setek części mikronów. Bardzo istotnym jest fakt, że rozpoczął się proces niszczenia materiałów, z których wykonano sarkofag. Wskazuje to na szybką konieczność budowy nowego sarkofagu, bardziej hermetycznego i długotrwałego sarkofagu-2, którego projekt jest opracowywany.

Awaria nie przeszła bez pozostawienia śladów dla ludzi. Wskazują to statystyki. Tak np. jeśli w 1988 roku wśród ludzi usuwających skutki awarii było 74% zdrowych i 26% chorych, a wśród ewakuowanej ludności odpowiednio 51,5% i 48,5%, to w 1991 roku zdrowych w pierwszej grupie było 33,8% a w drugiej grupie 28,8%.

Tak więc po 10 latach od awarii istnieją wielkie i złożone problemy związane z bezpieczeństwem zniszczonego bloku, dezaktywacją terenu, badaniem i leczeniem napromienionych ludzi, jak i prowadzeniem ekologicznego monitoringu.

Kijów, 6.01.1998

Prof. L. SIRENKO

## Notatki Redaktora

W ostatnich czasach po zapowiedzi przyjazdu pułkownika Kuklińskiego zapanowała w Polsce prawdziwa histeria. Z jednej strony ogłaszano go bohaterem narodowym, Konradem Wallenrodem, domagano się awansu na generała, Kraków przyznał mu tytuł „Honorowego Obywatela” itp., itd. Z drugiej strony przeciwnicy zarzucają mu złamanie przysięgi żołnierskiej, mówią że był zwykłym szpiegiem. Spróbujmy ocenić obiektywnie działalność pułkownika. Pracował on przez szereg lat z wywiadem amerykańskim. Z chwilą gdy groziło mu ujawnienie, został wywieziony tajnie przez CIA wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Przywiózł tam informacje o przygotowywaniu w Polsce stanu wojennego. Ta tak ważna informacja nie została ujawniona i nie spowodowała żadnej reakcji ze strony amerykańskiej. Jedni, jak prof. Richard Pipes, tłumaczyli, że nastąpiło to na skutek nieporządków biurokratycznych w Białym Domu i wobec tego informacja nie dotarła do prezydenta. Inni zaś uważają, że Stany Zjednoczone zajęły pozycję bierną, że generał Jaruzelski potraktował to jako cichą akceptację wprowadzenia przez niego stanu wojennego. Pułkownik Kukliński jednak nie poinformował o tym czynników polskich, tj. Solidarności czy też działaczy niepodległościowych na Zachodzie. Podobno tłumaczy to tym, że obawiał się, że ujawnienie tej informacji może spowodować gwałtowną reakcję Solidarności i doprowadzić do rozlewu krwi czy nawet wojny domowej. W sumie wprowadzenie stanu wojennego było dla kraju całkowitym zaskoczeniem.

Ustalmy, że o złamaniu przysięgi i wierności państwu można mówić tylko w kraju całkowicie niepodległym, a nie w kraju zniewolonym, gdzie pierwszym naczelnym wodzem i marszałkiem zrobiono Rolę-Zymierskiego, który był agentem sowieckim jeszcze przed 1939 rokiem, w kraju, w którym generalicja i wyżsi dowódcy byli na usługach Moskwy, jeśli nie więcej, brali udział w represjach robotników od Poznania do Gdańska oraz gorliwie i sprawnie przeprowadzali stan wojenny. Wielu z nich zajmuje

nadal wysokie stanowiska w wojsku III Rzeczypospolitej.

Reasumując, pułkownik Kukliński niewątpliwie ma wielkie zasługi nie tylko wobec Stanów Zjednoczonych ale również i wolnego świata w wygraniu zimnej wojny, ale jego rola w walce o odzyskanie niepodległości Polski była znikoma.

Nie należy kwestionować zresztą jego dobrej woli i dlatego powinny być uchylone wszystkie skazujące go wyroki, należałoby przenieść go do rezerwy i cały ten rozpętany wokół jego osoby szum wyciszyć. Całą tę sprawę trzeba zostawić przyszłym przyznawcom tzw. małej historii.

Ostatnio miały miejsce demonstracje robotników Ursusa na ulicach Warszawy z rzucaniem petard etc. i zapowiedzią powtórzenia tych demonstracji, jeśli rząd odmówi dalszego finansowania deficytowego przedsiębiorstwa. Sprawami prywatyzacji Ursusa, Stoczni Gdańskiej oraz kopalni rząd powinien zająć się w pierwszej kolejności, gdyż kunktatorskie odkładanie decyzji grozić może wybuchem i nieobliczalnymi konsekwencjami gospodarczymi.

W dalszym ciągu nie ma szczegółowego sprawozdania z akcji powodziowej. Wszyscy czekają na odpowiedź: co zostało zrobione, co pozostało do zrobienia i na szczegółowy wykaz pomocy, która na ten cel wpłynęła i nadal wpływa zarówno z kraju jak i też z ośrodków polonijnych na Zachodzie i instytucji międzynarodowych.

Nieśmiertelne polskie cwaniactwo. Od dłuższego czasu polskie instytucje i poszczególni ludzie są zasypywani prośbami z kraju o pomoc. Te listy przedstawiają nie tylko opis nędzy i potrzeb, ale są zaopatrzone uwierzytelniającymi dokumentami proboszczów, szpitali, etc. Przekonaliśmy się ostatnio, że to są często fałszywki. Wiarygodności takich podań nie jesteśmy w stanie tutaj sprawdzić, a te nadużycia znakomicie zniechęcają ludzi do pomocy, która przecież jest niezbędną, bo nędza w kraju szerzy się zastraszająco. Czy nie można stworzyć w kraju instytucji, która by uwiarygodniała te wszystkie podania? Mógłby to np. robić Caritas czy Czerwony Krzyż.

REDAKTOR

„Człowiek nie do sklasyfikowania” – tak oto określił samego siebie zmarły w Hamburgu pisarz Gabriel Laub. Nigdy nie czuł się związany z żadnym narodem ani językiem. Jako pisarz zadebiutował w swoim trzecim języku a największe sukcesy odniósł w czwartym. Jak słusznie zauważył Leszek Szaruga w opublikowanym w *Kulturze* szkicu o aforyzmach Lauba, „istniał dotąd tylko jeden pisarz, który w czwartym języku uzyskał sukces: Joseph Conrad”<sup>1</sup>.

**Ci, co odeszli**

**Gabriel Laub – uczeń Leca**

Gabriel Laub urodził się w 1928 roku w Bochni jako syn żydowskiego kupca. Jesienią 1939 roku rodzina Lauba uciekła przed Niemcami na wschód. Z zajętej przez Armię Czerwoną części Polski Laubów deportowano za Ural. Po wojnie Gabriel Laub wrócił na krótko do Polski. W Krakowie zdał w 1946 roku maturę, po czym przeniósł się na studia do Czechosłowacji. W Pradze pracował jako dziennikarz. W przeddzień „praskiej wiosny” w 1967 roku opublikował swoją pierwszą książkę, zbiór aforyzmów. Po inwazji wojsk Paktu Warszawskiego jako sympatyk czeskich reform musiał ponownie wyemigrować. Tym razem osiedlił się w Hamburgu, gdzie kontynuował swoją działalność dziennikarską, współpracując z renomowanymi tygodnikami i dziennikami niemieckimi. Rozgłos przyniosły mu nie jego prace dziennikarskie czy satyryczne powieści i opowiadania („Cała władza w ręce szpiegów”, „Powstanie grubasów”) lecz sprzedane w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy aforyzmy. Jako tłumacz przybliżył już w latach siedemdziesiątych niemieckim czytelnikom eseje Vaclava Havla.

Często wskazywał na swoje więzi z „polską szkołą

1. Leszek Szaruga, „Gabriel Laub wraca do Polski”, *Kultura*, Nr 10/565, 1994.

aforystyki”. W Stanisławie Jerzym Lecu widział swojego wielkiego mistrza. Jako wieloletni prezes PEN-Clubu uchodźców utrzymywał kontakty ze środowiskami środkowo-europejskiej emigracji na Zachodzie, także z *Kulturą*. *Kultura* opublikowała w 1994 roku wybór z wydanego w 1993 roku we Wrocławiu pierwszego polskiego zbioru jego aforyzmów („Myślenie psuje charakter”).

W swoim „Małym traktacie o aforyzmach” zastanawiał się nad renesansem aforystyki w powojennej literaturze środkowoeuropejskiej. Doszedł do wniosku, iż widocznie istnieją „czasy bardziej aforystyczne”. Taką epoką aforystyczną był okres istnienia Bloku Sowieckiego. Aforystyka zawdzięczała swój rozkwit swej sile antytotalitarnej. Chciałbym zacytować tutaj ostatnie myśli traktatu o aforyzmach Gabriela Lauba: „W przeciwieństwie do maksym, sentencji i złotych myśli aforyzm jest zawsze sceptyczny. Aforyzm walczy o wolność niezależnego myślenia, a sceptycyzm jest nieuniknionym warunkiem niezależnego myślenia. W swojej wypowiedzi aforyzm jest sceptyczny lecz jednocześnie optymistyczny, ponieważ zakłada, iż próba wytłumaczenia pewnych kwestii człowiekowi nie jest bez sensu. Aforystyka jest prawdopodobnie najbardziej zaangażowanym gatunkiem literackim. Po lekturze aforyzmu, nie ma się wątpliwości co do myślenia autora, co do kwestii, po której stronie stoi. W starogreckim aforyzm to *apophthegma*, spokrewnione ze słowem *apophthegma*, co znaczy ‘powiedzieć własne zdanie’. (...) Aforyzmy są najbardziej osobistą wypowiedzią, są nią bardziej niż wiersze, ponieważ zmuszają autora do określenia swojej pozycji do wielu bardziej ogólnych problemów. (...) Może zbulwersowało kogoś wyznanie pewnego aforysty, iż aforyzm jest półprawdą. Pozwolę sobie zacytować siebie samego: ‘Ceni się aforyzm między innymi dlatego, iż zawiera on pół prawdy. To wyjątkowo dużo’”.

Basil KERSKI

## Kronika kulturalna

### Bogdan Czaykowski i Adam Czerniawski rozmawiają

BOGDAN CZAYKOWSKI: – Od naszej poprzedniej rozmowy upłynęło mniej więcej półtora roku. Twoje wizyty stają się częstsze. Ostatnim razem byłeś w maju, pamiętam piękny zachód słońca nad Zatoką Lwią, kiedy czytałeś swoje wiersze pod egidą Polskiego Instytutu Naukowego. Tym razem pogoda jest gorsza, nieczytalny El Niño, który miał nam przynieść zimę ciepłą, słoneczną, zamiast tego przyniósł wiatry i śloty. Sprzyja to rozmowom o charakterze bardziej intymnym, osobistym, szczególnie w dniu Twoich urodzin. Oczywiście rozmawiamy nie tylko o Twoim życiu romantycznym, ale także o literaturze, o poezji. Jak zwykle, mnie, głębokiemu prowincjuszowi, przybliżasz wielki świat, Europę. Ale nie opowiedziałeś mi jeszcze, jak było w Sztokholmie, podczas wręczania Nagrody Nobla Wisławie Szymborskiej. Musiałeś być samym faktem i uroczystościami wysoce usatysfakcjonowany, skoro jesteś autorem pierwszego wydanego w Anglii w 1990 roku tomu przekładów wierszy Szymborskiej na angielski.

ADAM CZERNIAWSKI: – A jeszcze wcześniej, w roku 1988, zamieściłem w mojej antologii „The Burning Forest” spory wybór jej wierszy; napisałem także obszerne hasło o Szymborskiej dla nowojorskiej serii „World Authors”, a w zredagowanym przeze mnie zbiorze esejów o polskiej poezji, „The Mature Laurel”, zamieściłem wartościowy esej Krzysztofa Karaska o jej poezji. Ale o uroczystościach w Sztokholmie

mie nic Ci nie mogę powiedzieć, bo mnie tam nie było.

B.C.: – Niemożliwe, nie pojechałeś, czy nie zostałeś zaproszony?

A.C.: – Nikt mnie nie zaprosił, natomiast jak tylko dowiedziałem się o jej Noblu, wysłałem jej gratulacje i zaproszenie do mojego szkockiego zamku w razie gdyby chciała uciec na jakiś czas od żurnalistów.

B.C.: – I co, skorzystała?

A.C.: – Po jakimś czasie otrzymałem podpisany przez nią, sporządzony przez jej sekretarkę formalny druczek, że noblistka z czasem rozpatrzy propozycję.

B.C.: – I...

A.C.: – I więcej słowem się nie odezwała.

B.C.: – To co, obraziła się za to, żeś przyczynił się do jej Nobla?

A.C.: – Tak by można było wnioskować. Zaraz po Noblu Ryszard Gil, dyrektor katowickiej firmy wydawniczej Tow. Zachęty Kultury, zaproponował jej w rozmowie telefonicznej dwujęzyczne wydanie wyboru jej wierszy w moim przekładzie. Podczas tej rozmowy wyraziła zgodę, ale jej pisemnie nie potwierdziła. Po jakimś czasie zadzwoniłem do niej, zostałem nagrany na jej sekretarkę i, jak się z czasem okazało, nagrałem się bezskutecznie. Odczekałem więc kilka tygodni, po czym wysłałem jej list, który również pozostał bez odpowiedzi.

B.C.: – Przyznam Ci się, że nie bardzo rozumiem. Przecież, o ile wiem, nie tylko od wielu lat korespondowaliście ze sobą, ale widywałeś się z nią w Polsce, przychodziła na Twoje spotkania autorskie w Krakowie. Jak więc tłumaczysz to nagłe zerwanie kontaktu?

A.C.: – Do Sztokholmu zaprosiła Karla Dedeciusa i Stanisława Barańczaka, którego tom przekładów Szymborskiej na angielski, dokonany przy współpracy Clare Cavanagh, zbiegł się z ogłoszeniem jej Nobla. A Wydawnictwo Literackie, za jej aprobatą, przygotowało teraz dwujęzyczne wydanie jej poezji, oparte na tymże wydaniu amerykańsko-brytyjskim. W przekonaniu, że słusznie preferuje przekłady Barańczaka, utwierdziła ją krytyka w Polsce. Mam przed sobą zrehabilitowany przez Stanisława Balbusa tom esejów na jej cześć, w którym redaktor tomu zachwyca się przekładami Barańczaka, a w wypadku mojego tomu ogranicza się do pochwały, że mnie wyjątkowo przyszło na myśl dać na okładkę reprodukcję rytu Hakagawy, który był inspiracją „Ludzi na moście” Szymborskiej. Nie śledziłem tematu, ale wiem z relacji znajomych w kraju, że stanowisko Balbusa było typowe. Mam jednak satysfakcję, że znani mi Anglicy i Amerykanie preferują moje przekłady, a to ich opinia się liczy.

B.C.: – Więc myślisz, że tu jest pies pogrzebany? Powiedz mi, czy Szymborska zna angielski?

A.C.: – Nie zna. I dlatego swego czasu nie skorzystała z moich propozycji urządzenia jej spotkań autorskich w Anglii.

B.C.: – Tak więc Szymborska nie mogła sama ocenić wartości przekładów jej wierszy na angielski.

A.C.: – Nie mogła.

B.C.: – Wspomniałeś o zaproszeniu Szymborskiej do zamku w Szkocji. Co ty tam właściwie robisz?

A.C.: – Jest to międzynarodowy dom pracy twórczej, z którym jestem związany od jego powstania w roku 1985. Obecnie jestem tam kustoszem, a podczas poprzednich pobytów pracowałem tam między innymi nad przekładem „Trenów” Kochanowskiego i ukończyłem moje wspomnienia z dzieciństwa.

B.C.: – Na czym polega Twoja rola jako kustosza zamku?

A.C.: – Pełnię rolę administratora i gospodarza. Z jednej strony są to normalne funkcje związane z opieką nad posiadłością i służbą, z drugiej – opieka nad goszczącymi tam pisarzami, którzy przybywają na czterotygodniowy pobyt. Każda z przydzielonych im indywidualnie komnat została ochrzczona nazwiskiem wybitnego pisarza; i tak patronują im na przykład powieściopisarka Emily Brontë oraz poeci Robert Herrick i William Yeats; ja mam własną pracownię pod wezwaniem Johna Drummonda, szesnastowiecznego szkockiego poety, ówczesnego właściciela zamku i oczywiście patrona naszej instytucji. Sypiam natomiast pod patronatem Czesława Miłosza; aby zrobić mi przyjemność, pani Drue Heinz, nasza dyrektorka, właścicielka zamku, a przy tym wydawczyni dzieł Miłosza, zaproponowała przeniesienie mojej sypialni pod patronat Wisławy Szymborskiej, gdyż bardzo się uradowała moim „uczestnictwem” w Noblu poetki.

B.C.: – To z jej strony była niewątpliwie przenikliwa propozycja. Chciałem cię bowiem od razu zapytać, jak ci się sypia pod patronatem Miłosza. I co, zgodziłeś się skwapliwie na nowy patronat?

A.C.: – Jak wiesz, byłem jednym z pierwszych, którzy zaczęli pisać poważnie, a mam nadzieję, że i wnikliwie, o tym wybitnym poecie, z którego patronatu tak szczęśliwie korzystam od wielu już lat. Wobec tego odmówiłem z podziękowaniem.

B.C.: – I potem dziwisz się, że nie zostałeś zaproszony na uroczystości noblowskie pani Wisławy!

A.C.: – Wieczorami, po kolacji, zbieramy się w salonie przy kominku; rozmawiamy o literaturze, czytamy utwory własne i cudze. Wśród gości bywają pisarze anglojęzyczni, którzy już coś niecoś wiedzą o naszej poezji, a ja te ich zainteresowania staram się pogłębiać recytacjami poezji Kochanowskiego, Norwida, Różewicza, Szymborskiej, Herberta i innych. Kilku z nich po powrocie na stanowiska akademickie w Stanach poinformowało mnie o swojej decyzji poszerzenia kursów dotyczących poezji współczesnej o polskie nazwiska. Zapewne z biegiem czasu bardzo pomocne okażą im się polskie

biogramy które, jak mi mówisz, redagujesz obecnie dla „Dictionary of Literary Biography”. Kto został wybrany do Słownika?

B.C.: – Wejdz do niego dwudziestu siedmiu autorów. To wydanie Słownika dotyczy tylko autorów XX wieku, więc nie jest to mała liczba. O ile wiem, żaden inny tego rodzaju Słownik nie obejmuje aż tylu polskich nazwisk, a trzeba dodać, że są to obszerne biogramy, od 3000 do 5000 słów. Słownik ukazuje się w dwóch seriach. Pierwsza obejmuje pisarzy urodzonych przed rokiem 1918, druga po tym roku. W serii pierwszej znaleźli się Berent, Leśmian, Witkiewicz, Iwaszkiewicz, Schulz, Parnicki, Dąbrowska, Nałkowska, Kuncewiczowa, Gombrowicz, Miłosz, Andrzejewski. W serii drugiej będzie nieco więcej nazwisk, wśród nich Różewicz, Herbert, Borowski, Szymborska, Mrozek. Muszę Ci powiedzieć, że bardzo się przy tym redagowaniu napracowałem. Ponieważ redakcja główna zdecydowała, że do opracowania biogramów będziemy się starali znaleźć w pierwszym rzędzie autorów władających językiem angielskim, uplasowanie niektórych nazwisk okazało się bardzo trudne. No a potem redagowanie poszczególnych tekstów, w tym uzupełnianie bibliografii, która w takim Słowniku musi być maksymalnie dokładna i wyczerpująca, pochłonęło mnóstwo czasu. Mam jednak poczucie satysfakcji, że stanowi to dalszy i istotny krok w ustalaniu się znajomości i renomy literatury polskiej w krajach języka angielskiego. Tym bardziej, że niektóre opracowania są rzeczywiście bardzo dobre, a w wypadku szeregu pisarzy (np. Leśmian, Nałkowska) nie tylko podstawowe informacje o ich życiu i twórczości, ale i jej krytyczna charakterystyka, po raz pierwszy zostaną udostępnione zainteresowanym czytelnikom w tak podstawowym wydawnictwie.

A.C.: – A ja zredagowałem hasło o polskiej poezji w przekładzie na język angielski dla „The Oxford Guide to Literature in English Translation”. Początkowo redaktor przydzielił mi 3000 słów na przedstawienie całokształtu literatury polskiej w przekładzie, czyli tyle samo słów ile miał mieć w dziale rosyjskim sam Puszkina! Wytargowałem powiększenie działu polskiego o osobne hasło dotyczące prozy i dramatu.

Ale Ty ostatnio redagujesz więcej i szerzej ode mnie. Oprócz Słownika, oraz Antologii poezji polskiej na emigracji, o której mówiliśmy w poprzedniej rozmowie, współredagowałeś *Festschrift* zatytułowany „Holding One's Time in Thought: The Political Philosophy of W.J. Stankiewicz”, poświęcony dorobkowi Władysława Stankiewicza, autora wielu dzieł z dziedziny teorii i filozofii politycznej. Właśnie teraz dałeś mi ten bardzo pięknie wydany tom, w którym zainteresował mnie szczególnie Twój esej o aforystyce Stankiewicza.

B.C.: – Ten esej, choć dotyczy istotnej części pisarstwa Stankiewicza, jest raczej marginesem książki, w której znalazły się opracowania znanych i wybitnych politologów kanadyjskich i amerykańskich obejmujące całokształt myśli politycznej Stankiewicza. Poza tym, są w książce dwa nie drukowane dotąd eseje Stankiewicza, w tym obszerna rozprawka „Ekologia i prawo naturalne”. Książka nie jest konwencjonalnym *Festschriftem*; jest próbą analizy i oceny myśli politycznej Stankiewicza, bardzo odrębnej na tle politologii ostatniego półwiecza.

A Ty przywoziłeś ze sobą właśnie wydaną w Rzeszowie pod redakcją Zbigniewa Andresa i Jana Wolskiego książkę pt. „Poetycki Krąg Kontynentów: Artykuły i szkice”, w którym są zarówno szkice syntetyczne jak i poświęcone prawie wszystkim członkom byłej grupy artykuły krytyczne. Ponieważ znasz osobiście Wolskiego oraz innych pracowników WSP w Rzeszowie – byłeś tam niedawno, zaproszony przez zespół redakcji ich ciekawego pisma *Fraza* – powiedz, skąd bierze się to zainteresowanie dawną grupą „Kontynentów” oraz dorobkiem jej byłych członków?

A.C.: – Jest godne uwagi, że w różnych ośrodkach akademickich w Polsce, a szczególnie w Katowicach pod egidą Mariana Kisiela, w Bydgoszczy, Toruniu, Olsztynie i oczywiście w Rzeszowie, istnieją młodzi uczeni i krytycy, zafascynowani naszym startem w latach pięćdziesiątych w Londynie, oraz tym co z tego wynikło. Inicjatorami tego zainteresowania byli chyba uczeni i krytycy, skupieni w Katowicach, natomiast obecnie tom wydany w Rzeszowie jest jak dotychczas

najpełniejszą próbą analizy twórczości Marii Badowicz, Andrzeja Buszy, Janusza Ihnatowicza, Jana Darowskiego, Floriana Śmieji, Bolesława Taborskiego, Zygmunta Ławrynowicza, Mieczysława Paszkiewicza, Jerzego Sity i Twojej; mnie już Kisiel poświęcił osobną książkę. Ponadto zapowiadane są dalsze tomy. Wiem, że zawierać będą prace Beaty Tarnowskiej z WSP w Olsztynie, która już zademonstrowała wybitną znajomość tematu i umiejętność jego syntetycznego ujęcia.

B.C.: – Jej artykuł „O grupie ‘Kontynentów’: Nowy model biografii emigranta”, którego kopię niedawno mi przesłałeś, jest rzeczywiście świetny, a co równie istotne, klarowny i wyważony. Warto podkreślić, że również w książce rzeszowskiej są pozycje nie tylko wnikliwe ale i ciekawe.

A.C.: – Zapewne inicjatywa rzeszowska wiele zawdzięcza Janowi Wolskiemu, który już na początku lat osiemdziesiątych nawiązał z nami kontakt, przebywając wówczas na studiach w Szwajcarii.

B.C.: – Ale nie odpowiedziałeś jeszcze na pytanie, skąd bierze się to zainteresowanie, w końcu całkiem szerokie?

A.C.: – Nie odpowiedziałem na pytanie, ponieważ moja odpowiedź mogłaby mieć jedynie charakter spekulacji. Ograniczę się tylko do refleksji, czy byłibyśmy przedmiotem czyjegokolwiek zainteresowania, gdybyśmy nie startowali w Londynie wspólnie. Oni sami, o ile wiem, nigdy na podobne pytanie nie odpowiedzieli w druku.

B.C.: – Lub też udzielili częściowych, bardzo różnorodnych odpowiedzi. Chciałoby się wierzyć, że wspólnym mianownikiem tych różnych motywacji i odpowiedzi jest wycucie, że wchodzi w grę dosyć odrębna perspektywa, czy mówiąc krócej, inność.

A.C.: – Ta inność jest dla nich w Polsce najtrudniejsza do zrozumienia. Poprzez nasze pełne wykształcenie i wychowanie poza krajem, jesteśmy unikatowym pokoleniem polskich

pisarzy, których nie można podciągnąć pod twórczość i świadomość czy to Gombrowicza, czy Miłosza, czy tym bardziej Lechonia. Jestem sam coraz dotkliwiej świadom własnej inności wobec kraju ojczystego który, czuję, coraz bardziej oddala się ode mnie ideologicznie, politycznie i kulturalnie. Zanikła obopólna gama celów i interesów, która nas łączyła w błogosławionym okresie zimnej wojny.

B.C.: – Dotknąłeś tu paradoksu, który jest zapewne nieco bolesny. Ale jeśli mamy rację, że zainteresowanie naszą historią, perspektywą i twórczością rozwija się, i to rozwija ciekawie, to być może nie powinniśmy podkreślać tak ostro zaniku wspólnych celów i interesów. Przyznam, że dużo mniej intensywnie śledzę prasę literacką w Polsce obecnie, niż w okresie tzw. zimnej wojny, ale równocześnie to, co o nas czy o sobie czytam, stanowi dla mnie silny bodziec zarówno myślowy jak i twórczy. Po raz pierwszy, a nastąpiło to w końcu bardzo późno, moje oddalenie, czy moja samotność, nie odbywają się w próżni. W sytuacji intelektualnej, którą często określa się mianem postmodernizmu, powstają zarysy nowych stanowisk, rozumień i wizji. To znaczy odczuwam silną dynamikę przemian, może nawet radykalnych. Jeśli mogę sądzić po nowym tomie wierszy, który przygotowałeś do druku. Ty też się dalej zmieniasz. Krystalizujesz. I właśnie inaczej niż jakkolwiek współczesny pisarz w Polsce.

A.C.: – Obyś miał rację. Twój nowy tomik „Okanagańskie sady” jest już w druku w Wydawnictwie Dolnośląskim, mój być może też się ukaze; Katowickie Towarzystwo Zachęty Kultury drukuje moje opowiadania, czyli w Polsce prawie zupełnie nieznaną element mojego dorobku; „Krótkopis”, czyli moją „intelektualną” autobiografię wyda katowicka firma Gnome w ramach nagrody, jaką mi przyznała Fundacja Kultury w Warszawie. Rzecz została wcześniej gniewnie odrzucona przez krakowski „Znak” ponieważ – jak mi oznajmił red. Illg – jest przepojona żółcią. Wystarczy zamieścić w książce garść sceptycznych uwag na temat Miłosza i Barańczaka, by w Krakowie wywołać popłoch. Ty masz zamiar już wkrótce wysłać swoje aforystyczne „Uczucia” do druku w Polsce i pracujesz nad ukończeniem „Autosekwencji”;

wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości, których obszerny fragment ukazał się niedawno w rzeszowskiej *Frazie*. Powinieneś także skończyć wreszcie swój esej „O ‘Zaczarowanym Guciu’”, bo to rzeczywiście ciekawe.

B.C.: – A ja czekam na pisemną wersję Twojej romantycznej powieści, a szczególnie, jakie znajdziesz dla niej „rozwiązanie formalne”.

A.C.: – Jeśli się doczekasz...

Vancouver, 20 grudnia 1997

## Fiłosofow – Czapski – Stempowski

W 1978 roku szczęśliwy przypadek pozwolił mi poznać dr Zofię Dobrowolską (1899-1993). W jej otwockim sanatorium przy ul. Mickiewicza 5, Dymitr Fiłosofow spędził ostatnie lata życia i zmarł tam w 1940 r. Różne okoliczności, a przede wszystkim choroba pani Dobrowolskiej, sprawiły, że kontakty z nią ograniczyły się, niestety, do jednego spotkania i trzech dość długich rozmów telefonicznych. Myślę, że warto odnotować niektóre fragmenty tych rozmów, tak jak je wówczas zapisałem.

Dobrowolska mówiła o Fiłosofowie z dużym szacunkiem (nazywała go stale „Redaktorem”), bardzo ciepło i z wyczuwalnym sentymentem. Wspominała odwiedzających go przyjaciół Rosjan (m.in. Chiriakową, Gomolickiego) i Polaków, wśród których szczególne miejsce zajmowali Czapski – Maria i Józef. Często przyjeżdżała Maria Dąbrowska i Stanisław Stempowski. Stempowski tłumaczył na język polski teksty Fiłosofowa, a Dąbrowska czytała mu kolejne rozdziały „Nocy

i dni”; miał on wówczas powiedzieć do Dobrowolskiej: „Ona nic już więcej na takim poziomie nie napisze”. Najczęściej bywał Józef Czapski. Tuż przed wybuchem wojny, po otrzymaniu karty mobilizacyjnej, przywiózł razem z Ludwikiem Heringiem „dwie fury” swoich obrazów i książek do Otwocka. Pozostały tam do lata 1944, gdy wobec zbliżającego się frontu Maria Czapska uznała, że drewniany dom sanatorium, tuż pod lasem, jest miejscem niebezpiecznym. Obrazy i księgozbiór wróciły do Warszawy, na Bemowo, gdzie spłonęły doszczętnie podczas powstania. Czapska, po wyrzuceniu jej przez Niemców z mieszkania w al. Szucha, mieszkała przez pewien czas u Zofii Dobrowolskiej, która zapamiętała, że posłała ona na prośbę Janusza Korczaka do getta Biblię – był to egzemplarz Dymitra Fiłosofowa. (Czapska wspominała w 1957 r. w *Kulturze*, że podczas spotkania w getcie Korczak prosił ją także o Mszał rzymski.)

Fiłosofow zmarł 5 sierpnia 1940 r. Ustanowił doktor Dobrowolską egzekutorką swego testamentu. Został pochowany na Cmentarzu Prawosławnym na Woli, niedaleko Michaiła Arcybaszewa. Zarząd cmentarza i duchowieństwo odmówili przyjęcia opłat za pogrzeb „wobec zasług Dymitra Fiłosofowa dla Kościoła Prawosławnego”. Grób był zgodnie z wolą zmarłego – ziemny, bez kamiennego nagrobka. Dobrowolska opiekowała się mogiłą jak długo mogła. Potem na tym miejscu zaczęto chować budowniczych Pałacu Kultury i Nauki, którzy zginęli w wypadkach lub zmarli. W 1975 r. Miron Białoszewski zanotował: „Pospacerowałem troszeńkę po cmentarzu. Patrzyłem, gdzie leży stary przyjaciel Józia, Dymitr F. Raz nam (tj. jemu i Heringowi) proboszcz pokazywał, ale dawno”. Żadnych śladów już wtedy znaleźć nie mógł i ubolewał nad stanem niszczonego wówczas cmentarza: „a to taki zabytek. Ze starymi wałami. Stare groby i drzewa. Jedno z tych miejsc w Warszawie prawdziwych.” Dopiero w 1995 r., dzięki staraniom Ziemowita Fedeckiego, powstał symboliczny grób Fiłosofowa w pobliżu dawnej mogiły (zob. *Kultura*, 1996 nr 3).

Zofia Dobrowolska, wykonując wolę Fiłosofowa spaliła jego korespondencję prywatną, a wśród niej listy Dymitra Mereżkowskiego i Zinaidy Gippius („paliłam te kartony w ogrodzie, dym był taki, że przyjechała straż pożarna”). Część

księgozbioru i archiwum zaginęła, oddana na przechowanie po likwidacji sanatorium. Resztę zabraną do domu w Warszawie, miała – jak chciał Fiłosofow – przekazać do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas mojego jedyne go pobytu w mieszkaniu doktor Dobrowolskiej na ul. Fałata, pokazano mi tylko kilka książek z dedykacjami dla Fiłosofowa, zaproszenia i program „Domku w Kołomnie” oraz parę krótkich liścików Czapskiego do Dobrowolskiej, która podarowała mi wówczas kilkanaście fotografii Fiłosofowa z 1939 r. Wśród książek były m.in. „Lutnia Puszkina” z dedykacją Tuwima i „Geniusz sierocy” z dedykacją Dąbrowskiej. W tomie poezji Lermontowa zobaczyłem zakreślony wiersz bez tytułu, który w przekładzie Mieczysława Jastruna zaczyna się słowami:

Patrzę w dni przyszłe pełen trwogi

Patrzę na przeszłe dni z tęsknotą

a kończy:

Dusza uwiędła mi znużona

Tchnieniem fatalnych burz zwarzona

Pod rozpalonym słońcem bytu.

Fiłosofow czytając ten wiersz swojej opiekunce powiedział: „To o mnie, o całym moim życiu”.

Zapowiadane przekazanie Bibliotece Uniwersyteckiej książek i papierów wciąż się odwlekało. Nie udało mi się odwiedzić ponownie pani Dobrowolskiej, choć obiecywała mi pokazać resztę archiwum. Nie zwlekałem więc dłużej i postanowiłem podzielić się choćby tymi niepełnymi wiadomościami z Józefem Czapskim. Odpisał natychmiast. Jego obszerny, dyktowany list (z odręcznymi dopiskami) publikuję tu w całości. Nie zawiera żadnych rewelacji. Czapski wielokrotnie pisał o Fiłosofowie w „Tumulcie i widmach”, w dzienniku. Mówił też o nim w wywiadzie udzielonym pod koniec życia Andrzejowi Mietkowskemu, którego fragment „Mereżkowski i Fiłosofow w Polsce” opublikował *Puls* (1993, nr 60). List Czapskiego z 1986 r. jest przede wszystkim wyrazem jego żalu o pamięci o Fiłosofowie i serdecznego stosunku do Zofii



Dobrowolskiej. Bardzo ucieszyły ją słowa Czapskiego. Na początku 1987 r. zjawiał się w Warszawie Stuart Durrant, historyk z Kanady, rusycysta zajmujący się „srebrnym wiekiem”, interesował go Fiłosofow, z którym – jak mówił – jest spowinowacony (ktoś z tej rodziny w pokoleniu ojca Dymitra F., trafił przez Francję do Kanady). Chciał dotrzeć do archiwum Fiłosofowa, gdyż spodziewał się w nim listów Sergiusza Diagilewa (brat cioteczny Fiłosofowa), którym również się zajmował. Zofia Dobrowolska dała się uprosić i zgodziła na rozmowę z Durrantem. Nie znam dokładnie jej przebiegu, wiem że pozwoliła sfotografować portret Fiłosofowa malowany przez Witkacego, a właściwie zdjęcie tego portretu, bo oryginał zaginął.

Nie są mi w pełni znane losy księgozbioru i papierów Fiłosofowa po śmierci Zofii Dobrowolskiej, która zmarła 18 marca 1993 roku. Jakaś część archiwum pozostaje w rękach rodziny. Do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego nic nie trafiło. Parę rosyjskich broszur, przeważnie tomików wierszy z dedykacjami autorów, podarowała mi siostrzenica Dobrowolskiej.

W 1994 r. w almanachu *Lica* (Moskwa-Petersburg, nr 5) ukazał się obszerny artykuł Stuarta Durranta „Po materiałach archiwa D.W. Fiłosofowa” przynoszący omówienia i cytaty korespondencji Fiłosofowa, m.in. listy Zinaidy Gippius, Dymitra Mereżkowskiego i Borysa Sawinkowa, zachowane – jak pisze Durrant „w osobistym archiwum Fiłosofowa znajdującym się obecnie u autora artykułu w St. John’s w Kanadzie”. Brak bardziej szczegółowych informacji o losach i pochodzeniu tego archiwum.

Drugi ogłaszany tu list o Fiłosofowie napisany był przed wojną w 1932 roku przez Jerzego Stempowskiego. Odpis tego listu, sporządzony ręką Stanisława Stempowskiego, znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego wraz z wieloma listami Fiłosofowa do Marii Dąbrowskiej i Stanisława Stempowskiego. Nie zawiera nazwiska adresata, ale był nim bez wątplenia Waław Lednicki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiego Towarzystwa dla Badań Europy Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Na zaproszenie tego Towarzystwa Jerzy Stempowski wygłosił w Krakowie 15 III 1931 odczyt „Polacy w powieściach Dostojewskiego”.

Nie znane mi są losy projektu wydania wyboru pism Fiłosofowa. (Czapski, w publikowanym tu liście, pisał, że w 1939 r. był gotowy do druku tom przekładów.) Być może uda się jeszcze odnaleźć jakieś ślady w krakowskich archiwach. Wydaje się jednak, że na zaniechanie tej publikacji miała wpływ polemika wokół artykułu Fiłosofowa „Mickiewicz w Odessie i na Krymie”, w którym zarzucał polskim badaczom nieznamość literatury i historii Rosji. Ogłoszona w 1934 r. w *Przeglądzie Współczesnym* rozprawa spotkała się ze sprzeciwami historyków literatury, a burzliwą dyskusję obszernie zrelacjonował Julian Krzyżanowski w *Ruchu Literackim*. Fiłosofowa szczególnie ostro zaatakował Manfred Kridl w artykule pod wymownym tytułem „Niepowołany mentor” opublikowanym przez *Wiadomości Literackie*. W tym samym tygodniku rychło stanęła w obronie Maria Dąbrowska. Warto może przytoczyć obszerniejszy fragment jej artykułu „O dobre obyczaje polemiczne”, mający wyraźny związek z projektem wydania po polsku pism Fiłosofowa:

„Fiłosofow od lat czternastu wiedzie wśród nas twardy żywot emigranta, pogrążonego w niedostatku i pracy. W ciągu tego czasu wszystkie chwile, wolne od zmudnej roboty redakcyjnej, poświęcał niezmiernie studiom nad polską literaturą i dziejami polskich walk o niepodległość. Jest niepoślednim, a kto wie – może nawet niepospolitym, znawcą naszej literatury XIX w. Nie ma bodaj w tej dziedzinie faktu, do którego zbadania nie docierałby ze skrupulatnością i pedanterią zagorzałego miłośnika. Z pracy tej wynika sympatia, aby nie powiedzieć braterska miłość, do naszej ojczyzny zarówno wczorajszej, walczącej o wolność, jak dzisiejszej – triumfującej. To zaś sprawiło, że w redagowanych przez siebie dziennikach rosyjskich (*Swoboda, Za Swobodu, Motwa*) wielokrotnie poruszał polskie sprawy kulturalne i literackie z wielką przenikliwością i trafnością. Artykuły te nie były, niestety, nawet odnotowywane przez nasze przeglądy prasy i stanowiły radość jedynie bardzo nielicznych polskich czytelników. Niejednokrotnie namawiany przez przyjaciół do pisywania w prasie polskiej, ...jego znakomite uwagi, właśnie jako stojącego nieco z boku a tak świetnie obeznanego z przedmiotem cudzoziemca, mogą niejedną z naszych domowych spraw

kulturalnych oświecić w sposób nowy i oryginalny.”

List Jerzego Stempowskiego odwoływał się do innego – jakże dziś aktualnego – argumentu przemawiającego za publikacją prac rosyjskiego pisarza: system sowiecki może na długo zniweczyć znajomość Rosji w Polsce i „na skutek takiej czy innej ewolucji spraw rosyjskich, w stosunkach obu narodów wystąpi niemożliwa prawie do wypełnienia luka”. Zagadnienie to niepokoiło Stempowskiego i dał temu wyraz pisząc kilka lat później w *Scenie Polskiej* (czasopiśmie teatralnym redagowanym przez Tymona Terleckiego):

„Ostatnie szeregi tych, którzy się uczyli rosyjskiego w szkole, dobiegają dziś czterdziestki. Ale i spośród nich nikt prawie nie miał okazji pogłębienia tych elementarnych wiadomości. Jedyna katedra literatury rosyjskiej znajduje się w Krakowie, gdzie z oczywistych przyczyn rusycyści są i będą nieliczni. Zajmujący tę katedrę świetny znawca literatury i rzeczy rosyjskich Waław Lednicki na próżno od lat odbywa tam rodzaj pokuty.

...Kilkunastu zaledwie, w najlepszym razie kilkudziesięciu siwych już dziś panów może się u nas pochwalić, że czytało kiedyś wszystkie te głośnie książki, znane młodszym tylko ze słyszenia. Na wyprzedazach i licytacjach najlepszą, nieraz rzadką, książkę rosyjską można kupić za złotówkę wobec braku popytu na ten towar. *Russicum – non legatur*. W czasopiśmie literackich nawet bezbożne brednie na tematy rosyjskie przechodzą niepostrzeżenie w braku oświeconego w tej dziedzinie czytelnika.”

Trudno się oprzeć wrażeniu, że tutaj historia zatoczyła koło. Język? Przymusowa, nudna nauka mowy Puszkina dała kiepskie rezultaty – uczniowie mówili „lekcje kacapa”. Literatura? Książek rosyjskich latami było aż za wiele i często bezwartościowych. Teraz nie ma wcale. I pism Dymitra Fiłosofowa także.

Jerzy TIMOSZEWICZ

## I. LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO

Maisons-Laffitte, 27 VII 1986

Szanowny i Drogi Panie,

nie umiem Panu powiedzieć wzruszenia i wdzięczności za list Pana, który tylko co otrzymałem. Dał mi Pan wiadomości o Pani dr Zofii Dobrowolskiej, którą podziwialiśmy – moja siostra Maria, która już pięć lat temu zmarła – i ja. Wiem tylko to, że pani Doktor dotrwała aż do śmierci Fiłosofowa przy nim. Jej troska o Fiłosofowa była niezwykła i, jak to Pan aluzyjnie pisze, miała podkład nie tylko wspaniałego i wiernego lekarza, ale człowieka oddanego Fiłosofowi z całą miłością. Trzeba było znać Fiłosofowa, żeby wiedzieć co to znaczy.

Jeżeli dzisiaj wiele myślę o ludziach, których znałem w życiu, nie waham się nazwać Fiłosofowa jednym z najwybitniejszych ludzi, których znałem. Wybitnych nie tylko inteligencją, ale żelazną wolą. Kiedy Polska zawarła pokój z Sowietami, Mereżkowscy, którzy najbardziej głosili braterstwo polsko-rosyjskie, ale to w formie przyszłego w świecie sojuszu trzeciej Rosji i Polski. (Trzecia Rosja, to znaczyło Rosja pierwszej rewolucji, przedkomunistycznej). Rosji demokratycznej, równie przeciwnej Sowietom, z którymi walczyli, jak i powrotowi carskich rządów. Mereżkowscy, w chwili kiedy Piłsudski zawarł pokój z Sowietami, bo fizycznie, materialnie nie był w stanie prowadzić wojny jeszcze dalej na wschód, otóż Mereżkowscy wówczas wyjechali do Paryża. Z tej trójki (Mereżkowski, Zinaida Gippius i Fiłosofow) jeden Fiłosofow pozostał w Polsce redagując przez szereg lat pismo rosyjskie *Za Swobodu*, i które do końca było pismem działającym w kierunku zgody przyszłej Rosji z przyszłą Polską. Ja wiem tylko to, że Fiłosofow w każdej chwili czekał, że Sowiety mogą wkroczyć do Polski i zostawił swoją ostatnią wolę, prośbę być otrutym w razie wejścia Sowietów. Miał zresztą zawsze na nocnym stoliku truciznę. Umarł jak żył, niezłomny wróg Sowietów i człowiek wierny Polsce.

Wszystko to się rozpoczęło od kontaktu Sawinkowa, który – dawny terrorysta sławny – był wówczas na czele socjalrewolucjonistów w Paryżu, i którego przedstawicielem w Warszawie był Fiłosofow. Ja tutaj mogę tylko grać rolę

najskromniejszego obserwatora. Byłem już wówczas w Paryżu jako malarz, ale co roku dojeżdżałem do Polski i kiedy byłem w Warszawie co dzień odwiedzałem Fiłosofowa, który był – dosłownie – i dla mojej siostry, i dla mnie – mistrzem. Otóż wiem, że wtedy Fiłosofow i Sawinkow, który do Warszawy dojeżdżał, spotykali się w Belwederze z Piłsudskim. Były to spotkania tajne. Jednym ze skutków tych kontaktów było ogłoszenie przez Piłsudskiego, że Polska toczy wojnę z Sowietami, a nie z Rosją. I jeszcze w ostatnich dniach przed wyjazdem Mereżkowskich do Paryża (wyjechali oni zaraz gdy się dowiedzieli o zawarciu pokoju z bolszewikami) trwała organizacja paru oddziałów kozackich, które również walczyć chciały z Sowietami. I wtedy – już nie mogę powiedzieć po ilu tygodniach czy miesiącach – Sawinkow, który był na czele tej organizacji rosyjskiej antysowieckiej, ale nie carskiej, zdradził i przeszedł na stronę sowiecką. Ten jego krok był od dłuższego czasu organizowany przez agentów sowieckich. Agentką główną była jakoby pani Dickhoff-Derenhal, kochanka Sawinkowa.

Fiłosofow, jego przedstawiciel w Warszawie, otrzymał nagle list od niego, już z terenów sowieckich, wzywający go również do Rosji, by razem tam prowadzić robotę. Po tej wiadomości Fiłosofow natychmiast wyruszył do Piłsudskiego, który wtedy już nie był Naczelnikiem Państwa i mieszkał pod Warszawą, przekazując mu całą korespondencję Sawinkowa, którą z nim prowadził do momentu jego zdrady. Dotychczas nie wiemy, jakie były plany Sawinkowa. Fakt jest, że natychmiast trafił do Łubianki, że w Moskwie zorganizowano wielki proces, w którym Sawinkow wszystko wysypał. Był on na Łubiance traktowany jednak jako jakaś *persona grata*, bo co dzień auto wywoziło go na spacer i ciągle łudzono go, że nie jest więźniem tylko, ale że chcą mieć z niego sojusznika. Trwało to niedługo i pewnego dnia, według wersji oficjalnej, Sawinkow rozbił szybę korytarza Łubianki i zabił się wyskakując przez okno.

Fiłosofow wtedy po raz ostatni odwiedził Piłsudskiego w Sulejówku i całą sprawę Piłsudskiemu przedłożył, który miał to przyjąć bardzo spokojnie i miał tylko powiedzieć: „No cóż, to wszystko ta jego żona”. Od tego czasu cała sytuacja Fiłosofowa w Polsce była uwarunkowana stosunkiem jego do Piłsudskiego. O spotkaniach Fiłosofowa z Sawinkowem u Piłsudskiego w nocy (te spotkania kończyły się dobrze po północy) wiedziałem na drugi dzień od rana, kiedy mi to

opowiadał Fiłosofow. Mówił mi, że gdy tak radzili u Piłsudskiego, miał wrażenie, że jest w polskim dworze. Przez okna Belwederu widać było tylko drzewa ogrodu Łazienkowskiego. I tyle wiem, że Piłsudski pił bardzo czarną herbatę.

Fiłosofow do śmierci został, wbrew szerokiej opinii rosyjskiej, związany z linią polityczną propolską. I wiem z własnego doświadczenia, że ten, zagoniony pracą Rosjanin, zrobił się naprawdę sojusznikiem Polski, o czym świadczyć może drobny szczegół. Ja z siostrą byliśmy już wtedy w Paryżu i dostawaliśmy co tydzień, czy co dwa tygodnie, paczki z prasą polską od niego. Do tego stopnia pragnął byśmy za granicą pozostali naprawdę Polakami, że nawet zakazywał nam częstszyc stosunków z Rosjanami, żebyśmy się nie zarazili duchem emigrantów: „macie szczęście być dziećmi niepodległego narodu i tego się trzymajcie”.

W 1939 roku był już gotów tom tłumaczonych z rosyjskiego artykułów Fiłosofowa tyczących Polski. Pan teraz pisze o ewentualności wydania jego artykułów. Jest to w warunkach dzisiejszych chyba niemożliwe. Cóż wiemy jak sytuacja historyczna dalej się potoczy i czy jednak ten ślad polsko-rosyjskiej współpracy kiedyś nie będzie mógł być zanotowany w ruchu, który – cóż wiemy – może się rozwinąć? Wspomina Pan również „Domik w Kołomnie”. Taka była nazwa klubu, który stworzył Fiłosofow, gdzie spotykali się intelektualiści polscy i rosyjscy, z wykładami. Był wśród nich m.in. Jerzy Stempowski, Tuwim. Nawet ja miałem odczyt, chyba o Wyspiańskim, o jego witrażach.

Kiedy pojawił się na horyzoncie Hitler, zbudziło to naturalnie ogromne zainteresowanie wśród emigracji rosyjskiej i naturalnie w piśmie Fiłosofowa. Zaraz jednak szybko Fiłosofow stwierdził na przykładach antysemitycznych posunięć Hitlera, że nie ma mowy, żeby z tym ruchem mieć jakiegokolwiek związki i wtedy zrobił odczyt w tej sprawie w jakiejś sali teatralnej, przy względnie nielicznej frekwencji. Kiedy po odczycie odwiedziłem go, jeszcze w teatrze, powiedział mi słowa, które dotychczas pamiętam: „Jeżeli kiedyś będziesz mówił z uczuciem, że nie masz oddźwięku na sali, pamiętaj że może jeden człowiek cię usłyszy, i to już jest wiele”.

Odezwanie się Pana do mnie tak mnie wzruszyło, bo zdaje mi się to prawie jedynym przekazem, który z tamtych czasów dostałem. Chyba dla mnie osobiście najważniejszą rzeczą w Pana liście była wiadomość, że pani doktor Dobro-

wolska jeszcze żyje. Niech Pan Jej przekaże jak bardzo moja siostra i ja Ją czciliśmy i pokochali.

Na razie list mój na tym kończę i pragnąłbym, żeby do rąk Pana dotarł. Jeszcze raz, z głębi serca, dziękuję za list.

Józef CZAPSKI

[Na marginesie, dużymi literami, podobnie jak podpis]  
List dyktowałem bo jestem prawie ślepy. J.C.

## II. LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO

Warszawa, 22 I 1932

Szanowny i Drogi Panie Profesorze,

w ostatnich tygodniach z rozmów między moim ojcem, Józefem i Marią Czapskimi i mną wynikł projekt wydania po polsku artykułów D.W. Filosofowa, odnoszących się do spraw polskich, literackich i społecznych.

Prześlanki ogólne powyższego projektu są następujące:

Od 12 lat wszelkie stosunki kulturalne polsko-rosyjskie są zawieszane. Rosjanie znają Polskę z *Izwestij* i *Krasnoj Gaziety*, Polacy znają Rosję ze swych, że tak powiem, gazet. Oczywiście stan ten, jakkolwiek by długo trwał, należy uważać za przejściowy. Po jego zniknięciu, na skutek takiej czy innej ewolucji spraw rosyjskich, w stosunkach obu narodów wystąpi niemożliwa prawie do wypełnienia luka. Obie strony, w zakresie stosunków kulturalnych, staną zapewne na stanowiskach przedwojennych, nie znajdując w swych wspomnieniach nic, co by odnosiło się do okresu przejściowego, co by oswajało wzajemnie ze zmianami dokonanymi przez fakty polityczne. Ewolucja A.F. Kierenskiego w kierunku nacjonalizmu daje przecucie tego stanu, jaki wówczas może się łatwo wytworzyć.

Pisane na przestrzeni 12 lat artykuły D.W. Filosofowa o literaturze, teatrze, zjawiskach kulturalnych i społecznych

polskich stanowią jedyny w swoim rodzaju pomost łączący dwie epoki stosunków polsko-rosyjskich. Pan sam zna autora i wie ile dobrego smaku, talentu i wnikliwości mają wszystkie jego pisma i wystąpienia. Większość ich ma autentyczną wartość literacką i może być z przyjemnością czytana przez wszystkich amatorów dobrej krytyki.

Zbiór artykułów, o jakim myśleliśmy, pomijałby oczywiście wszystkie sprawy specyficznie rosyjskie i wszystkie sprawy politycznie aktualne. Wybór artykułów kierowałby się w szczegółach zasadniczymi przesłankami, o których piszę wyżej.

Koszta takiego wydawnictwa, przy dzisiejszych niskich kosztach druku, wahałyby się, zależnie od szerokości wyboru, od 800 do 1000 zł.

Oczywiście wartość takiej książki zależałaby w znacznej mierze od charakteru jej wydawców. Dopiero ogłoszenie jej przez poważną instytucję społeczną, stojącą z dala od polityki i świata oficjalnego, nadałoby jej w całej pełni wartość partrzącą w przyszłość, o którą może nam chodzić.

Przypuszczam, że Pan, zasadniczo przynajmniej, podziela te poglądy. W tej supozycji, jak również mając w pamięci nasz zesłoroczny wieczór poświęcony Dostojewskiemu, chciałbym prosić Pana, Drogi Panie Profesorze, o łaskawe zbadanie czy nie udałoby się pozyskać dla opisanego wyżej celu tej samej instytucji, która potrafiła znaleźć w Krakowie tyle nieprzewidzianych wielbicieli Dostojewskiego. W razie zasadniczej zgody szczegóły, jak to wynika z ogólnego charakteru całego przedsięwzięcia, byłyby, jak sędzę, bardzo łatwe do ustalenia.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku łączy szczerze oddany

Jerzy STEMPOWSKI

P.S. Do naszego wydawnictwa weszłyby po kilka artykułów z następujących działów, na które rozbite są dziś wyćinki:

1. Teatr. 2. Literatura polska. 3. Wspomnienia.
4. Cerkiew prawosławna w Polsce. 5. Mniejszości narodowe w Polsce. 6. Emigracja rosyjska w Polsce. 7. Rosja Sowiecka a Polska. 8. Europa a Polska.

## WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

P.O. Box 193, Rose Bay, 2029 AUSTRALIA

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 22.2.1998 r. Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 30 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

Jadwiga JAŁOWIEC-BARTCZAK – za nowatorskie metody pracy nauczycielskiej, Adam BULIŃSKI – za ochronę Opactwa Cystersów w Sulejowie, Mikołaj BUSZKO – za działalność społeczno-kulturalną w Hajnówce, Andrzej CHLEWICKI – za pracę w Domu św. Jacka na Jamnej w Tarnowskim, Edyta DEGUTIENE – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Alicja GAŁUSTOWA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Jan GÓRA – za pracę w Domu św. Jacka na Jamnej w Tarnowskim, Irena KOCH – za pracę na rzecz niewidomych i innych chorych, Krystyna KORPIŃSKA – za pracę w przytulisku dla bezdomnych kobiet w Krakowie, Antoni KRAUS – za pracę w „Domu Ciepła” w Rembertowie, Grzegorz LINKOWSKI – za twórczość filmową na rzecz tolerancji, Anna MADEYSKA – za pracę w fundacji „Lutnia Staropolska” w Jordanowie, Andrej MAJSIAJONAK – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Włodzimierz MARCHEL – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Helena MAŚLANA – za pracę artystyczną wśród osób niepełnosprawnych, Jakub MIAZEK – za ochronę Opactwa Cystersów w Sulejowie, Aleksander MILINKIEWICZ – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Mieczysław MYCZAKOWSKI – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Romuald NARUNIEC – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej, Regina OSOWICKA – za pracę społeczną w Piaśnicy koło Wejherowa, Piotr PAWŁOWSKI – za pracę w piśmie *Integracja*, Mieczysław PIĄTEK – za pracę społeczną wśród mieszkańców Krakowa, Antoni PILCH – za pracę w fundacji „Lutnia Staropolska” w Jordanowie, Krystyna REDLIĆKA – za pracę na rzecz dzieci niepełnosprawnych na Ziemi Puckiej, Maria TWORZYK – za pracę w przytulisku dla bezdomnych kobiet w Krakowie, Stanisław WAŁKIEWICZ – za pracę na rzecz upośledzonych umysłowo w Pakówce, Jerzy WASZKIEWICZ – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-białoruskiej, Zbigniew WIERZBIĆKI – za zwalczanie patologii społecznej, Andrzej WOLSKI – za pracę terapeutyczną wśród dzieci autystycznych, Tadeusz ZASKÓRSKI – za ochronę Opactwa Cystersów w Sulejowie.

**Książki****Polskie patriotyzmy**

Polityczne *credo* Aleksandra Halla „Polskie patriotyzmy”<sup>\*</sup> jest dedykowane przyjaciółom, koleżankom i kolegom z Ruchu Młodej Polski. Osiemnaście lat temu, u schyłku epoki gierkowskiej, Hall wraz z grupą przyjaciół sformułował deklarację ideową Ruchu Młodej Polski – ugrupowania, które w centrum swej uwagi stawiało naród.

Dziś, na ponad stu stronach nowej książki, Hall jako jeden z liderów Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego przedstawia swoje przemyślenia historyczne i ich zastosowanie do „wielkiej polityki”. Hall swoim stylem pisania przypomina mistrza krótkiego, ale jasnego wykładu – Wojciecha Wasiutyńskiego. Cechuje go jasność myśli i wniosków, logika argumentacji, oraz trochę dydaktyczny styl.

Myślą przewodnią książki Halla jest stwierdzenie, że interes narodowy powinien być głównym kryterium polskiej polityki i że ten interes da się pogodzić z wejściem do ponadpaństwowych struktur euroatlantyckich.

W pierwszym rozdziale, który został zatytułowany „Co otrzymaliśmy od historii” autor dokonuje podsumowania różnych kierunków polskiej myśli politycznej, obszernie pisząc o krakowskiej szkole „Stańczyków” oraz o myśli narodowej Romana Dmowskiego, jak również o wkładzie Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego w rozwój myśli narodowej w czasach PRL.

Te historyczne reminiscencje służą Hallowi do postawienia pytania, jaki patriotyzm jest nam dzisiaj potrzebny. W chwili odzyskania niepodległości i suwerenności – pojawiło

\* Aleksander Hall, „Polskie patriotyzmy”, Wydawnictwo INFO-TRADE, Gdańsk, str. 104.

się zagrożenie dla polskiego myślenia o narodzie, państwie, a nawet o kształtowaniu postaw patriotycznych.

Hall uważa, że współczesny polski patriotyzm powinien się kształtować w odniesieniach narodu do instytucji demokratycznego państwa i gospodarki rynkowej, do Kościoła oraz europejskich procesów integracyjnych. Jego zdaniem „Polska wybrała słuszną drogę, decydując się na radykalną reformę rynkową w latach 1989-90 i osiągnęła wiele w walce z inflacją, deficytem budżetowym. Niemalże osiągnięcia ma w procesach prywatyzacyjnych i korzystne wskaźniki wzrostu gospodarczego. Polska jest jednak nadal – po czterdziestu z górą latami gospodarki socjalistycznej – krajem biednym. Produkt narodowy brutto na jednego mieszkańca jest ponad dwa razy mniejszy niż Grecji, najuboższego kraju Unii Europejskiej.”

Stosunki z sąsiadami Polska powinna kształtować nie na zasadzie konfrontacji z nimi, lecz we współpracy z nimi. Polski interes narodowy wymaga przystąpienia do NATO i Unii Europejskiej. Sporo miejsca Hall poświęca stosunkom polsko-niemieckim, twierdząc, że u progu III Rzeczypospolitej dokonał się naprawdę historyczny przełom. Jego wrazem było podpisanie 14 listopada 1990 roku pomiędzy Polską a Republiką Federalną traktatu potwierdzającego obecną granicę i zawarcie 17 czerwca 1991 roku traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Zbieżność interesów polsko-niemieckich Autor zbytnio opiera na osobie kanclerza Kohla – a to może się diametralnie zmienić, w momencie objęcia władzy przez socjaldemokratów, lub też zmiany Kohla na innego polityka rządzącej koalicji. Najnowsze badania opinii w Niemczech wykazują, że aż 87% Niemców niestety uważa Polaków za gorszych od siebie (według tych opinii, Polacy „specjalizują” się w kradzieży aut) gwałtownie wzrasta liczba popularnych programów telewizyjnych wyśmiewających Polaków.

Hall twierdzi, że stosunki z Niemcami są trwałe, natomiast ostrzega przed niebezpieczeństwami ze strony Rosji, która powinna ostatecznie pogodzić się z faktem, że nasz kraj nie leży już w „szarej strefie” między Zachodem a Rosją i nie wróci w orbitę wpływów wschodniego sąsiada. Trudno się zgodzić z taką opinią dotyczącą relacji z naszymi dwoma potężnymi sąsiadami – jest na to jeszcze za wcześnie. I Rosja nadal jest chora na imperializm. Autor twierdząc, że ostra walka między narodami europejskimi należy do przeszłości –

myli się – ona zmieniała tylko formy. Każdego tygodnia w Brukseli spotykają się ministrowie poszczególnych resortów tocząc za stołem obrad ostre walki z użyciem prawa weta i ciągle zmieniając sojusze. Rywalizacja interesów narodowych trwa i będzie trwać zawsze.

Najbardziej dyskusyjną częścią książki jest rozdział poświęcony rozrachunkowi z czasami PRL. Autor jest mało krytyczny co do następstw „grubej kreski”. Hall uważa, że „Dla narodu byłoby lepiej, gdyby trwały i racjonalny podział polityczny na prawicę i lewicę wyrażał się w rywalizacji przeciwników, a nie politycznych wrogów. A to wymaga spełnienia trzech warunków: upływu czasu, który goi rany; wygrania wyborów przez Siły Polski Posierpniowej; przeobrażeń w SLD, osłabiających związek tego ugrupowania z tradycją Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Książka Aleksandra Halla została starannie wydana przez wydawnictwo INFOTRADE w Gdańsku i jest poważnym zaproszeniem do dyskusji o najnowszej historii Polski.

Andrzej PASTERNAK

## Nadane nowości wydawnicze

- BRZOWSKA (Zofia). *Impresje czombrowskie*. Str. 111. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- BANASIKOWSKI (Edmund) pseud. „Jeż”. *Na zew Ziemi Wileńskiej*. Str. 520. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- Polonica zagraniczne*. Bibliografia. 1989. Str. 309. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1997.
- CHRZCZONOWICZ (Piotr). *Premijanie. Le temps qui s'enfuit*. Str. 64. Wyd. L'ESPRESSO, Wrocław 1997.
- LUCKYJ (Georges S.N.) *An Overview of the Twentieth Century*. Str. 815. Seria: The Annals of the Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the U.S., Inc., vols. 17-19, Nos 43-46. Wyd. The Ukrainian Academy of Arts and Sciences and Ukrainian Academic Press, New York-Englewood 1997.
- HEMAR (Marian). *Za dawno, za dobrze się znamy...* Piosenki i skecze. Oprac. A. Majewska i A. Mieszkowska. Str. 327. Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1997.
- LUBCZYŃSKI (Krzysztof). *Paryż*. Przewodnik literacko-historyczny.

- Str. 240. Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Instytut Polski w Paryżu, Paryż-Lublin 1997.
- TOMASZEWSKI (Adam). *Młodość została nad Obrą*. Str. 215. Wyd. Miejska Biblioteka Publiczna, Kościan 1996.
- Jesteś wszędzie, Itako*. Świat prozy Adama Tomaszewskiego. Red. S. Sterna-Wachowiak. Str. 83. Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Poznań 1997.
- CROCE (Elena). *Wspomnienia rodzinne*. Str. 75. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- KOLEK (Leszek S.). *Polish Culture an Historical Introduction*. Str. 264. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- BURAS (Jacek St.). *Bibliographie deutscher Literatur in polnischer Übersetzung*. Vom 16. Jahrhundert bis 1994. Str. 791. Veröffentlichungen des Deutschen Polen-Instituts Darmstadt, Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 1996.
- MAREK (Edmond). *Lacaussade et Mickiewicz*. Une fraternité politique et poétique. Une amitié franco-polonaise injustement oubliée. Str. 48. Publications du Club Polonia-Nord, Lille 1997.
- La nuit de Noël*. Une légende de Zygmunt Krasiński traduite par Auguste Lacussade, poète Réunionnaise. Str. 71. Lille 1997.
- SNASTIN (Wiktor). *Inspektorat „F”*. Materiały do historii Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej. Str. 223. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- RACHAŁSKI (Alfred). *Matadorzy i eutanaści*. Str. 53. Wyd. Marabut, Gdańsk 1997.
- DURSKI (Jacek). *Wśród krzywych luster*. Str. 99. Katowice 1997.
- TYTKO (Marek Mariusz). *Spotkanie innego*. Str. 127. Kraków 1997.
- Nasza klasa*. Antologia Formacji Artystycznej Szesnaście. Nr 6. Str. 71. Kraków 1997.
- Blues*. Antologia Formacji Artystycznej Szesnaście. Nr 5. Str. 67. Kraków 1997.
- SPLITT (Jerzy A.). *Świt średniowiecznego Ostrowa*. Str. 76. Ostrow Wielkopolski 1997. Wyd. Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego.
- Świadectwo obecności*. Antologia. Wybór wierszy i opracowanie W. Gawłowski. Str. 75. Wyd. Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego, 1996.
- BAK (Wojciech). *W samotności*. Str. 63. Wyd. „W drodze”. Ostrow Wielkopolski-Poznań 1997.
- KASJAN (Jan Mirosław). *Obnażona ziemia*. Str. 73. Toruń 1996.
- MIECZKOWSKI (Romuald). *Sen w ogrodach Moneta*. Str. 32. Zielona Góra 1996.
- Jerzy Wolff*. Wystawa malarstwa ze zbiorów prywatnych 14 V – 6 VI 1997. Galeria in spe, Warszawa.
- KRAWCHUK (Andrii). *Christian Social Ethics in Ukraine*. The Legacy of Andrei Sheptytsky. Str. 404. Canadia Institute of Ukrainian Studies Press, Metropolitan Andrey Sheptytsky Institute of Eastern Christian Studies, and the Basilian Press, Edmonton-Ottawa-Toronto 1997.
- FLASZEN (Ludwik). *Cyrograf*. Str. 360. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- FIK (Marta). *Autorytecie wróć?* Szkice o postawach polskich intelektualistów po październiku 1956. Str. 243. Oficyna Wydawnicza Er-rata, Warszawa 1997.
- TOMSIA (Teresa). *Der Ewige Fluss. Wieczna rzeka*. Str. 110. Wyd. „W drodze”, Poznań 1996.
- GOMBROWICZ (Witold). *Ferdynurke*. Lekcja literatury z Jerzym Jarzębskim i Andrzejem Zawadz-kim. Str. 285. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

25.2.98

Zmarła w Warszawie w wieku lat 90 Wanda Jakubowska, reżyser filmowy.

26.2.98

Profesor Jerzy Kłoczowski odebrał na KUL-u jubileuszową księgę przygotowaną przez jego uczniów i przyjaciół w obecności b. żołnierzy AK, ambasadorów Francji i Ukrainy i przedstawicieli świata polityki i nauki, m.in. bp. Bronisława Dembowskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka, Władysława Bartoszewskiego i Henryka Samsonowicza.

27.2.98

Przewodniczący OBWE, minister spraw zagranicznych, Bronisław Geremek, otworzył biuro Doradczo-Obserwacyjnej Grupy OBWE w Mińsku.

1.3.98

Na Uniwersytecie Śląskim zostało założone Towarzystwo Literackie im. Teodora Parnickiego. Zadaniem Towarzystwa jest koordynacja i rozwój badań nad twórczością Parnickiego. Towarzystwo zaprasza do współpracy wszystkich zainteresowanych. Prosi również o kontakt osoby, które posiadają dokumenty, listy, fotografie i inne materiały dotyczące Parnickiego.

4.3.98

Zmarł w Warszawie w wieku 98 lat Adam Bień. Był ostatnim żyjącym spośród przywódców Polski Podziemnej skazanych w moskiewskim procesie 16-tu.

10.3.98

Znany filozof prof. Adam Schaff obchodził 85-tą rocznicę urodzin.

15.3.98

Prof. Jan Kott został laureatem Nagrody im. Tadeusza Kantora przyznawanej przez Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie. Nagroda ta przyznawana jest od 1992 roku. Wręczenie nagrody nastąpi w Los Angeles.

27.3.98

Zmarł w wieku 78 lat Maciej Słomczyński, pisarz i tłumacz. Największym osiągnięciem translatorskim był jego przekład „Ulissesa” Joyce’a. Przetłumaczył na język polski wszystkie dzieła Szekspira. Ponadto pisał również pod pseudonimem Joe Alex powieści kryminalne, cieszące się ogromnym powodzeniem i przetłumaczone na 16 języków.

## ZACHÓD

24.1.98

Zmarł w Boca-Raton (USA) w wieku 75 lat, Wacław Hilary Bniński, porucznik AK, który po wojnie był współpracownikiem Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. ■ Zmarł w Montrealu Tadeusz Sypniewski dziennikarz i publicysta do wojny mieszkający w Wolnym Mieście Gdańsku. We wrześniu 1939 współpracował z biurem prasowym Ambasady RP w Bukareszcie, później w 2 Korpusie gen. Andersa. Redagował młodzieżowe pismo *Junak*, pisał do wychodzącego w Kairze tygodnika *Parada*. Bezpośrednio po wojnie redagował tygodnik *Orzeł Biały* w Brukseli. Następnie wyjechał do Kanady gdzie pracował w polskiej sekcji Radia Canada w Montrealu.

17.2.98

W Instytucie Polskim w Paryżu miała miejsce wystawa fotografii „Les paysages polonais dans l'objectif de Paweł Pierściński”.

8.3.98

Zmarł w Kanadzie w wieku 63 lat Andrzej Brycht, znany pisarz. W 1971 roku wybrał wolność, w 1972 roku osiadł w Kanadzie. W *Kulturze* zamieścił w 1971 roku opowiadanie „Słowa z chaosu” i „Chmury”, a w 1972 opowiadanie „Żywi”. W Kanadzie pisał scenariusze filmowe i telewizyjne oraz wydał powieść „Zoom”. W 1986 r. wydał w Polsce „Opowieści z tranzytu”. Ponadto ogłosił „Azyl polityczny” – pamflet na emigrację.

12.3.98

W Bibliotece Polskiej w Paryżu została wystawiona sztuka teatralna Kazimierza Brauna pt. „Helena – królowa emigrantów”, z udziałem Niny Polan (Janina Katelbach) – dyrektora Polskiego Instytutu Teatralnego w USA.

13.3.98

W Centre du Dialogue w Paryżu Mirosław Supruniuk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przedstawił książkę „Pierwsza książka o Libelli i galerii Romanowiczów”. Poprzednio, 6-go marca, miał miejsce odczyt prof. Wojciecha Kurpika, rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie na temat „Problemy konserwatorskie obrazu Czarnej Madonny Sanktuarium Maryjnego na Jasnej Górze”.

17.3.98

W Instytucie Polskim w Paryżu miała miejsce dyskusja na temat „Różne spojrzenia uczestników i historyków na Marzec '68”. Dyskusję zagalambador RP w Paryżu Stefan Meller. W dyskusji wzięli udział Teresa Bogucka, Jerzy Eisler, Jakub Karpiń-

ski, Jan Lityński, Karol Modzelewski, Andrzej Seweryn i Kazimierz Wóycicki.

18.3.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbyła się konferencja Karola Modzelewskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, pt. „Postface au Livre Noir: 'décommunisation' et culture démocratique”. Zebraniu przewodniczył Krzysztof Pomian. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu z okazji ukazania się w Editions PUF książki „Histoire des idées politiques de l'Europe Centrale” odbyło się zebranie dyskusyjne z udziałem prof. J. Kłoczowskiego z Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie i Elisabeth Ducreux z CNRS.

24.3.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Mirosław Handke, minister edukacji narodowej, wygłosił odczyt na temat „Reforma edukacji w Polsce: założenia i realizacja”.

25.3.98

W Stacji Naukowej PAN w Rzymie p. Krystyna Jaworska, prof. uniwersytetu w Turynie, wygłosiła odczyt pt. „L'attività letteraria dell'Esercito Polacco in Italia (1944-1946)”.

26.3.98

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z Hanną Krall z okazji ukazania się jej książki „Preuves d'existence” w wydawnictwie Editions Autrement. 25-go marca odbyło się w Instytucie spotkanie z Olgą Tokarczuk z okazji ukazania się jej książki „Dieu, le Temps, les hommes et les anges” w Editions Robert Laffont. Autorkę przedstawiła Zofia Bobowicz.

27.3.98

Andrzej Krzeczunowicz, b. Ambasador RP w Brukseli wygłosił w Centre du Dialogue w Paryżu odczyt na temat „Wchodzenie Polski do NATO”.

2.4.98

W uniwersytecie harwardzkim w ramach The Wiktor Weintraub Memorial Lecture, Thomas Venclova wygłosił odczyt „Native Realm Revisited: Mickiewicz's Lithuania and Mickiewicz in Lithuania”.

4.4.98

W Espace Culturel François Mitterrand (70 km na północ od Paryża) miał miejsce wernisaż prac Elżbiety Wierzbickiej.



miętam, ale łatwo ją ustalić, przyjechał do Warszawy naczelny *Le Monde*'u, H. Beuve-Méry i zrobił wywiad z Władysławem Gomułką (który oczywiście ukazał się w *Le Monde*, być może był też publikowany w prasie polskiej). Z Warszawy Beuve-Méry przyjechał do Krakowa, pragnął odwiedzić obóz zagłady w Oświęcimiu, miałem możliwość towarzyszyć mu w podróży do Oświęcimia i z powrotem do Krakowa, samochodem użyczonym w tym celu przez konsula francuskiego w Krakowie. Beuve-Méry powiedział mi, że w czasie ich rozmowy Gomułka zapewniał go – *off the record* – „zobaczy Pan, że za 5 lat Polska będzie krajem równie demokratycznym jak Francja”. Odpowiedziałem, że nie wykluczam tego, iż Gomułka wierzył w to co mówi, ale świadczyłoby to tylko, że nie miał pojęcia co to jest demokracja.

W trakcie tej podróży miałem oczywiście możliwość przedstawienia Beuve-Méry'emu sytuacji w PRL-u i mojej – dość pesymistycznej – oceny sytuacji. Gdy wróciliśmy do Krakowa i odprowadzałem go do hotelu, idąc przez miasto, w pewnej chwili Beuve-Méry powiedział: „Patrząc w twarze ludzi, którzy nas mijają i jeśli sytuacja jest taka jak Pan ją przedstawia, to ci ludzie nie wyglądają na szczególnie nieszczęśliwych czy przygnębionych”. Odpowiedziałem: „Ta sytuacja trwa już kilkanaście lat. Ludzie żyją, pracują, mają rodziny, odpoczywają, chłopcy kochają dziewczęta, chodzą do kina, mają swoje codzienne troski i radości. Czy Pan sądzi, że powinni mieć stale na twarzach wyryte piętno cierpienia?”. Nie wiem czy go przekonałem.

Serdeczne pozdrowienia łączę

J. TUROWICZ

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

**Z.W. Warszawa i J.K., Zielona Góra:** – Panów listów do redakcji nie zamieścimy.

**Eliza SM., USA** – Szkoda, że na ogół interesująco rozpoczęte utwory zamienia Pani w rozgadane opowieści. Proszę spróbować wyciągnąć z wiersza tylko to, co konieczne.

**Władysław W., Francja:** – Sądząc po ilości Pana utworów, jest Pan na ich pisanie skazany. Lecz odkrycia polegające na tym, że kot czuje się zbyt mądry by być człowiekiem, nie wydają się najwyższymi wlotami poetyckiej wyobraźni.

**Grzegorz F., Polska:** – Nie brak Panu pomysłów lingwistycznych, o czym świadczy dobry neologizm „gadaklizm”, lecz są to, niestety, jedyne walory wierszy, w których „wiraż przekracza oczekiwa-

## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Transmitowana na zagranicę warszawska Telewizja „Polonia” poinformowała w dniu 14 marca br., że pełnomocnik rządu R.P. do spraw integracji europejskiej, p. Ryszard Czarnecki przemawiając w Łodzi na rzecz przystąpienia Polski do Unii Europejskiej wezwał do integracji na podstawie „wartości chrześcijańskich” i zaapelował do społeczeństwa – cytując za TV – „nie dajmy zawłaszczyć Europy lewicowcom i kosmopolitom”. TV „Polonia” nie wyjaśniła, czy p. Czarnecki dokładniej zdefiniował oba te pojęcia, kogo mianowicie uznać należy za „lewicowca” lub „kosmopolitę” ale można się domyślać, że jego zdaniem są to określenia raczej pejoratywne i nie dające się pogodzić z „chrześcijańskimi wartościami”.

Samą ideę można by w zasadzie uznać za szlachetną, chociaż nasuwa się pewna wątpliwość, czy w znacznej części „lewicowa” i „kosmopolityczna” Europa, do której pretendują także pewne „nie chrześcijańskie” narody, jak Turcy, Bośniacy lub izraelscy Żydzi, zechce się w pełni zintegrować z p. Czarneckim, jeśli wystąpi on z podobnym apelem nie tylko w Łodzi ale i w Brukseli?

Ciekawe również, czy mówiąc o „wartościach chrześcijańskich” p. Czarnecki miał na myśli Dekalog? Owych 10 Przykazań Jehowa przekazał jak wiadomo Mojżeszowi, który wszakże nie był chrześcijaninem. Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z pewnym rodzajem rzeczywistego zawłaszczenia?

Z serdecznymi pozdrowieniami i głębokim szacunkiem

Andrzej ALBRECHT

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem czytałem artykuł pani Marton-Domeyko (*Kultura*, nr 1-2/1998) o tym jak o PRL-u w latach 1949-1957 pisał paryski *Le Monde*. Byłoby rzeczą pożyteczną gdyby sama autorka lub kto inny dokonał podobnej analizy za lata 1957-1989, czy nawet po dzień dzisiejszy.

Przy sposobności drobny przyczynek, może wart odnotowania. Wkrótce po październiku, chyba na początku 1957, daty nie pa-

nie" zaś „amok fikcji” sprawia, iż bohater „pyta o coś przypalona kaszę, aż zadrżała na gieldzie”.

**Ryszard H., Polska:** – W wierszu „Grzybowisko” cieszy narratora szczęście nie wytropionych i nie spożytkowanych muchomorów i grzybów szatańskich – niestety ilość zatruc tymi grzybami nie pozwala uznać utworu za realistyczny. W innym wierszu bohater sypie przed wieprzem jedną, jedyną perłę. Jak on to robi?

**Wiesław Janusz M., Polska:** – Fakt, iż – jak Pan pisze – ma Pan w swym dorobku „ponad tysiąc publikacji krajowych i polonijnych” (gratulacje) dowodzi jedynie, że wielu redaktorom podobają się Pana utwory. Nasza decyzja dowodzi z kolei, że nie są to wszyscy redaktorzy.

**Maria H., Polska:** – Nadesłane przez Panią zapisy są klasycznym przykładem utworów publicystycznych, słusznych w zasadzie lecz nie przekonujących artystycznie.

**Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE**

**91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.**

**Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.**

**Commission Paritaire N° 60789.**

**Dépôt légal: 2<sup>ème</sup> trimestre 1998.**

**Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:**

**Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obl.,**

**164409 SOŁOWKI**

**Skład komputerowy: MacWire Diffusion.**

**Imprimé en France.**

# KULTURA

**REDAKTOR: JERZY GIEDROYC**

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04**

**Fax: 01-39-62-57-52**

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1998</b>			
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultura» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 325-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

**W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru – F 600.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.**

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 502 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO DWUDZIESTY TRZECI

zawiera opracowania: B. Nitschke: *Polacy wobec Niemców. – Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne*; M. Radomski: *Sprawa pozbawienia prawa wykładu docenta UJ, dra Włodzimierza Kubijowicza w czerwcu 1939 roku*; K. Rutkowski: *W stronę poezji czynnej. Adam Mickiewicz w Collège de France*; Adam Mickiewicz: *Wykłady literatury słowiańskiej*; A. Grzywacz: *Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Kłeski Wrześniowej*; J.J. Milewski: *Polsko-białoruskie komisje podręcznikowe*; A. Suchcitz: *Jeszcze o ochotnicze PWSK Ligii Żółkiewskiej*; J. Lewandowski: *Gen. Sikorski a Zagłada*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**